

Arkadij i Borys Strugaccy
Drapieżność naszego wieku
Przełożyła Ewa Skórska
Chiszcznyje Wieszczi Wika
Data wydania rosyjskiego?
Data wydania polskiego 2003 r.

*Jest tylko jedyny problem,
Jeden jedyny na świecie –
Przywrócić ludziom duchową treść,
Duchowe troski.*

A. de Eaint-Exupéry

1.

Celnik miał poczciwą okrągłą twarz wyrażającą najlepsze uczucia. Był uprzejmy, serdeczny i pełen szacunku.

- Serdecznie witamy - powiedział niezbyt głośno. - Jak się panu podoba nasze słońce?
- Zerknął na paszport w mojej dłoni. - Piękny poranek, nieprawdaż?

Podąłem mu paszport i postawiłem walizkę na białej barierce. Celnik szybko przekartkował strony długimi ostrożnymi palcami. Miał na sobie biały mundur ze srebrnymi guzikami i srebrnymi sznurami na ramionach. Odłożył paszport i musnął palcem walizkę.

- Zabawne - powiedział. - Pokrowiec jeszcze nie wysechł. Trudno sobie wyobrazić, że gdzieś może padać deszcz.

- U nas jest już jesień - westchnąłem, otwierając walizkę. Celnik uśmiechnął się współczująco i z roztargnieniem zajrzał do środka.

- W naszym słońcu trudno wyobrazić sobie jesień - powiedział. - Dziękuję, to w zupełności wystarczy... Deszcz, mokre dachy, wiatr...

- A jeśli coś schowałem pod bielizną? - zapytałem. Nie lubię rozmów o pogodzie.
Roześmiał się serdecznie.

- To tylko formalność - oznajmił. - Tradycja. Lub jeśli pan woli, odruch wszystkich celników. - Podał mi kartkę papieru. - A to jeszcze jeden odruch. Proszę przeczytać, to dość niezwykle. I podpisać, jeśli nie sprawi to panu kłopotu.

Przeczytałem. Było to prawo o emigracji wydrukowane elegancką czcionką w czterech językach. Imigracja była kategorycznie zabroniona. Celnik patrzył na mnie.

- Ciekawe, prawda? - powiedział.

- W każdym razie intrygujące - odparłem, wyjmując długopis. - Gdzie mam podpisać?

- Gdzie i jak pan chce. Choćby w poprzek.

Podpisałem się pod rosyjskim tekstem w poprzek linijki "z imigracją się zapoznałem (-am)".

- Dziękuję panu. - Celnik schował dokumenty do biurka. - Teraz poznał pan praktycznie wszystkie nasze prawa. I przez cały czas... jak długo planuje pan u nas pozostać?

Wzruszyłem ramionami.

- Trudno przewidzieć. W zależności od tego, jak pójdzie praca.

- Powiedzmy - miesiąc?

- Chyba tak. Niech będzie miesiąc.

- I w ciągu całego miesiąca... - pochylił się, robiąc jakąś notatkę w paszporcie. - W ciągu całego tego miesiąca nie będzie pan potrzebował żadnych innych praw. - Podał mi paszport. - Nie mówię już o tym, że może pan przedłużyć pobyt o dowolny rozsądny czas. A na razie niech będzie trzydzieści dni. Jeśli zechce pan zostać dłużej, proszę wstąpić szesnastego maja na policję, wpłacić dolara... ma pan przecież dolary?

- Tak.

- Doskonale. Zresztą niekoniecznie musi to być dolar. Przyjmujemy dowolną walutę. Ruble, funty, cruzeiro...

- Nie mam cruzeiro - powiedziałem. - Mam tylko dolary, ruble i trochę angielskich funtów. Czy to wystarczy?

- W zupełności. Właśnie, byłbym zapomniał. Proszę wpłacić dziewięćdziesiąt dolarów i siedemdziesiąt dwa centy.

- Z przyjemnością. A w jakim celu?

- Taka jest zasada. W celu zabezpieczenia minimum potrzeb. Jeszcze nigdy nie przyjeżdżał do nas człowiek niemający żadnych potrzeb.

Odliczyłem dziewięćdziesiąt jeden dolarów i on, nie siadając, zaczął wypisywać pokwitowanie. W niewygodnej pozie szyja mu poczerwieniała. Obejrzałem się. Biała bariera ciągnęła się wzdłuż całego pawilonu. Po tamtej stronie bariery, uśmiechając się albo śmiejąc, celnicy coś uprzejmie objaśniali turystom. Po tej stronie pstrokaci pasażerowie niecierpliwie przestępowali z nogi na nogę, pstrykali zamkami walizek, rozglądali się z podnieceniem. Całą drogę gorączkowo przeglądali prospekty reklamowe, robili na głos wszelkie możliwe plany, po cichu i głośno delektując się przedsmakiem pełnych słodczych dni, i teraz pragnęli jak najszybciej przekroczyć białą barierę. Zblazowani londyńscy urzędnicy i ich narzeczone o sportowym wyglądzie, bezceremonialni farmerzy z Oklahomy w kolorowych koszulkach, szerokich spodniach do kolan i sandałach, robotnicy z Turynu ze swoimi rumianymi żonami i gromadkami dzieci, drobni partyjni bossowie z Argentyny, drwale z Finlandii z grzecznie zgaszonymi fajeczkami w zębach, węgierscy koszykarze, irańscy studenci, czarni działacze związkowi z Zambii...

Celnik wręczył mi pokwitowanie i odliczył dwadzieścia osiem centów reszty.

- Oto i wszystkie formalności. Mam nadzieję, że nie zatrzymałem pana zbyt długo. Życzę miłego dnia.

- Dziękuję. - Wziąłem walizkę.

Celnik patrzył na mnie, lekko przechylając na bok gładką, uśmiechniętą twarz.

- Przez tę bramkę, bardzo proszę - powiedział. - Do widzenia. Pozwoli pan, że jeszcze raz złożę panu życzenia wszystkiego najlepszego.

Wyszedłem na plac za włoską parą z czwórką dzieci i dwoma mechanicznymi bagażowymi.

Słońce wisiało wysoko nad niebieskimi górami. Wszystko na placu było błyszczące, kolorowe i jaskrawe. Nieco zbyt kolorowe i jaskrawe, jak to zwykle bywa w kurortach. Błyszczące czerwone i pomarańczowe autobusy, obok których już tłoczyli się turyści. Błyszcząca glansowana zieleń skwerów z białymi, niebieskimi, żółtymi, złotymi pawilonami, straganami i kioskami. Lustrzane płaszczyzny, wertykalne, horyzontalne i pochyłe, rozpalające się oślepiającymi, płonącymi zajęczkami. Gładkie matowe sześciokąty pod nogami ludzi i kołami pojazdów - czerwone, czarne, szare, ledwie zauważalnie sprężynujące, tłumiące kroki... Postawiłem walizkę i założyłem ciemne okulary.

Ze wszystkich słonecznych miast, w jakich kiedykolwiek zdarzyło mi się być, to miasto było zapewne najbardziej słoneczne. Zupełnie niepotrzebnie. Wolałbym, żeby było tu brudno i dżdżyscie, żeby tamten pawilon był szary i miał cementowe ściany, żeby na mokrym cemencie ktoś z nudów wydrapał jakieś świństwo, smętne i bezmyślne. Wtedy na pewno od razu poczułbym chęć działania. Takie rzeczy drażnią i popychają do roboty... Jednak trudno przywyknąć do tego, że ubóstwo też może być bogate... I dlatego nie czuję zwykłego zapału, bynajmniej nie rwę się do pracy, mam za to chęć wsiąść do jednego z autobusów, do tego czerwonego z niebieskim na przykład, i pojechać na plażę, popływać z akwalungiem, poopalać się, umówić się z jakąś fajną dziewczyną. Albo poszukać Pecka, położyć się z nim w chłodnym pokoju na podłodze i powspominać najlepsze czasy, i żeby on pytał mnie o Bykowa i Transpluton, o nowe statki, na których znam się już coraz mniej, ale i tak lepiej niż on, i żeby mówił o buncie, chwalił się bliznami i swoją wysoką pozycją społeczną... To by było bardzo wygodne, gdyby Peck miał wysoką pozycję społeczną. Nie zaszkodziłoby, gdyby był, powiedzmy, merem...

W moją stronę szedł niespiesznie, ocierając wargi chusteczką, smagły tęgi człowiek w białym ubraniu i okrągłej białej czapce na bakier. Czapka miała przezroczysty zielony daszek z zieloną taśmą i napisem: "Serdecznie witamy". Na płątku prawego ucha błyszczał kolczyk-nadajnik.

- Witam - powiedział mężczyzna.

- Dzień dobry - odparłem.

- Serdecznie witamy. Nazywam się Amad.

- A ja Iwan. Miło mi.

Skinęliśmy sobie głowami i zaczęliśmy patrzeć, jak turyści wsiadają do autobusów. Słychać było wesoły gwar, a ciepły wiaterek przewiewał przez plac w naszą stronę niedopałki i kolorowe papierki od cukierków. Na twarz Amada padał zielony cień daszku.

- Turyści - powiedział. - Beztroscy i głośni. Zaraz wylądują w hotelach i natychmiast pobiegną na plażę.

- Z przyjemnością pojeździłbym na nartach wodnych - zauważyłem.

- Naprawdę? Nigdy bym nie pomyślał. Zupełnie nie wygląda pan na turystę.

- I tak powinno być. Przyjechałem tu pracować.

- Pracować? Cóż, zdarzają się ludzie, którzy przyjeżdżają do nas w tym celu. Dwa lata temu przyjechał Jonatan Craise malować obraz. - Amad zaśmiał się. - Potem w Rzymie pobił go jakiś nuncjusz papieski, nie pamiętam nazwiska.

- Z powodu obrazu?

- Nie sądzę. Nic tu nie namalował. Całymi dniami i nocami przesiadywał w kasynie. Chodźmy, napijemy się czegoś.

- Chodźmy - powiedziałem. - Poradzi mi pan coś.

- Doradzanie to mój przyjemny obowiązek.

Jednocześnie się nachyliliśmy do rączki walizki.

- Nie trzeba, ja sam...

- Nie - sprzeciwił się Amad. - Pan jest gościem, a ja gospodarzem... Chodźmy do tamtego baru. Teraz jest tam pusto.

Weszliśmy pod błękitny namiot. Amad usadził mnie przy stoliku, postawił walizkę na pustym krześle i ruszył do baru. Było chłodno, dało się słyszeć pracę klimatyzatora. Amad wrócił z tacą, na której stały dwie wysokie szklanki i płaskie talerzyki ze złocistymi od masła plasterkami.

- Niezbyt mocne - powiedział Amad - za to naprawdę orzeźwiający.

- Ja też nie lubię mocnych trunków z rana.

Wziąłem szklankę i napiłem się. Smaczne.

- Łyk, plasterek - poradził Amad. - Łyk, plasterek. Właśnie tak.

Plasterki chrzęściły i rozpływały się na języku. Moim zdaniem były zupełnie niepotrzebne. Przez jakiś czas milczeliśmy, patrząc spod namiotu na plac. Autobusy z niegłośnym szumem jeden za drugim wjeżdżały w zadrzewione aleje. Wydawały się ogromne i ciężkie, ale nawet w tym ich ogromie była pewna elegancja.

- Mimo wszystko zbyt tam głośno - rzekł Amad. - Wspaniałe domki, wiele kobiet - na każdy gust, morze tuż obok, ale żadnej prywatności. Sądzę, że panu by to nie odpowiadało.

- Tak - przyznałem. - Hałas mi przeszkadza. Poza tym nie lubię tego rodzaju turystów, Amadzie. Nie znoszę, gdy ludzie wypoczywają z taką gorliwością.

Amad skinął głową i ostrożnie włożył do ust kolejny plasterek. Patrzyłem, jak gryzie. Skupione ruchy jego dolnej szczęki wyglądały niemal profesjonalnie. Przełknął i powiedział:

- Jednak syntetyka nie wytrzymuje porównania z naturalnym produktem. Nie ta gama... - poruszył wargami, cichutko cmoknął i kontynuował: - Są jeszcze dwa luksusowe hotele w centrum miasta, ale moim zdaniem...

- Tak, to również mi nie odpowiada - powiedziałem. - Hotel pociąga za sobą określone zobowiązania. I jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś zdołał napisać w hotelu coś porządnego.

- Z tym bym się nie zgodził - zaprotestował Amad, oglądając krytycznie ostatni plasterek. - Czytałem pewną książkę i tam było napisane, że powstała właśnie w hotelu. Hotel Floryda.

- Aha - powiedziałem. - Ma pan rację. Ale wasze miasto nie jest ostrzeliwane z armat.

- Z armat? Oczywiście, że nie. W każdym razie z reguły nie jest.

- Tak właśnie myślałem. A tam wspomniano, że porządną książkę można napisać tylko w hotelu pod obstrzałem.

Amad mimo wszystko wziął plasterek.

- Niełatwo to zorganizować - stwierdził. - W naszych czasach trudno o armatę. No i byłyby to bardzo kosztowna impreza. Hotel mógłby stracić klientelę.

- Hotel Floryda również w swoim czasie stracił klientelę. Hemingway mieszkał tam sam.

- Kto?

- Hemingway.

- A... ale to przecież było bardzo dawno temu, jeszcze za faszystów. Mimo wszystko czasy się zmieniły, Iwanie.

- Tak - odparłem. - W naszych czasach pisanie w hotelach nie ma sensu.

- Bóg z hotelami - powiedział Amad. - Wiem, czego pan potrzebuje. Pensjonatu. - Wyjął notes. - Proszę podać warunki, spróbujemy wybrać coś odpowiedniego.

- Pensjonat - powtórzyłem. - Nie wiem. Nie sądzę. Proszę zrozumieć, nie chcę poznawać ludzi, których poznawać nie chcę. To po pierwsze. Po drugie, kto mieszka w tych pensjonatach? Również turyści, tylko tacy, którym nie starczyło pieniędzy na osobną willę. Tak samo gorliwie odpoczywają. Urządzają pikniki, walki klanowe i wieczorki przy muzyce. Nocami grają na banjo. Łapią każdego, kogo zdołają dorwać, i zmuszają do udziału w konkursie na najdłuższy pocałunek. No i przede wszystkim - są przyjezdni. A mnie interesuje

wasz kraj, Amadzie. Wasze miasto. Wasi mieszkańcy. Powiem panu, czego potrzebuję. Potrzebuję przytulnego domku z ogrodem. Niezbyt daleko od centrum. Niezbyt głośna rodzina, szacowna gospodyni. Mile widziana młoda córka. Rozumie pan?

Amad wziął puste szklanki, poszedł do baru i wrócił z pełnymi. Teraz w szklankach był bezbarwny płyn, a na talerzykach - mikroskopijne wielopiętrowe kanapki.

- Znam taki przytulny domek - oznajmił. - Wdowa ma czterdzieści pięć lat, córka dwadzieścia, syn jedenaście. Wypijemy i pojedziemy. Myślę, że tam się panu spodoba. Opłata zwyczajowa, chociaż oczywiście drożej niż w pensjonacie. Na długo pan przyjechał?

- Na miesiąc.

- Mój Boże! Tylko miesiąc?

- Nie wiem, jak się wszystko ułoży. Możliwe, że zostanę dłużej.

- Niech pan koniecznie zostanie - powiedział Amad. - Widzę, że nie do końca pan rozumie, dokąd przyjechał. Zwyczajnie nie wie pan, jak tu u nas wesoło. Nie trzeba o niczym myśleć.

Wypiliśmy i poszliśmy pod palącym słońcem do postoju samochodów. Amad szedł szybko, luźnym krokiem, nasuwając zielony daszek na oczy i niedbale wymachując walizką. Z pawilonu celników wysypała się kolejna porcja turystów.

- Chce pan, to powiem szczerze - odezwał się nagle Amad.

- Chcę. - Cóż mogłem odpowiedzieć? Czterdzieści lat żyję na tym świecie i ciągle nie nauczyłem się uprzejmego uniku przed tym nieprzyjemnym pytaniem.

- Nic pan tu nie napisze - oznajmił Amad. - Będzie panu trudno cokolwiek napisać.

- Napisanie czegokolwiek nigdy nie jest łatwe - zauważyłem. Dobrze, że nie jestem pisarzem.

- Chętnie wierzę. Ale u nas jest to po prostu niemożliwe. Przynajmniej dla przyjeźdźnego.

- Zaniepokoił mnie pan.

- Proszę się nie bać. Po prostu nie będzie miał pan ochoty pracować. Nie usiedzi pan przy maszynie. Będzie panu przykro siedzieć przy maszynie. Wie pan, co to takiego radość życia?

- Jak by to panu powiedzieć...

- Nic pan nie wie, Iwanie. Na razie nic pan o tym nie wie. Przejdzie pan przez dwanaście kręgów rajy. To śmieszne, ale zazdrozczę panu...

Zatrzymaliśmy się przed długim kabrioletem. Amad rzucił na tylne siedzenie walizkę i otworzył przede mną drzwi.

- Proszę - powiedział.

- Pan, jak rozumiem, już przeszedł - zauważyłem, wsiadając.

Zajął miejsce za kierownicą i włączył silnik.

- Co takiego?

- Dwanaście kręgów raju.

- Ja, Iwanie, już dawno wybrałem sobie ulubiony krąg - odparł Amad. Samochód ruszył bezszelestnie. - Pozostałe od dawna dla mnie nie istnieją. Niestety. To jak starość. Ze wszystkimi jej przywilejami i wadami.

Samochód mknął przez park, jechał po zaciemnionej ulicy. Rozglądałem się z zainteresowaniem, ale niczego nie poznawałem. Byłem głupi, myśląc, że cokolwiek rozpoznam. Wyszadzi nas nocą, lał deszcz, siedem tysięcy znękanych turystów stało na pirsach, patrząc na dopalający się liniowiec. Miasta nie widzieliśmy - była tylko czarna mokra pustka mrugająca czerwonymi światełkami. Wewnątrz pustki trzeszczało, huczało, zgrzytało. "Wyfluką nas w tej ciemności jak króliki" - powiedział Robert i ja pogoniłem go z powrotem na prom do wyładunku samochodu opancerzonego. Trap się złamał, samochód wpadł do wody. Peck wyciągnął Roberta, który - siny z zimna - podszedł do mnie i dzwoniąc zębami, powiedział: "Przecież panu mówiłem, że jest ciemno".

Amad powiedział nagle:

- Jak byłem chłopcem, mieszkałem obok portu i przychodziliśmy tutaj bić tych z fabryki. Wielu z nich miało kastety i złamali mi nos. Chodziłem z krzywym nosem, aż wreszcie naprawili mi go w zeszłym roku. W młodości lubiłem się bić. Miałem kawałek ołowianej rury, raz odsiedziałem nawet pół roku, ale i tak nie pomogło.

Na jego ustach błędził uśmiezek. Odczekałem chwilę i powiedziałem:

- Nie można już zdobyć porządnej ołowianej rury. Teraz w modzie są gumowe pałki. Kupują je od policjantów.

- Dokładnie tak - przyznał Amad. - Albo kupią hantle, odpiłują jedną kulę i używają. Ale to już nie te same chłopaki. Teraz za to wysyłają.

- Tak. Czym jeszcze zajmował się pan w młodości?

- A pan?

- Chciałem zostać astronautą i trenowałem przeciążenia. Poza tym urządzałem zawody, kto zanurkuje głębiej.

- My też. Na dziesięć metrów - po automaty i whisky. Tam, za pirsami, leżały całe skrzynie. Z nosa płynęła mi krew... A gdy zaczęła się wojna, zaczęliśmy znajdować tam trupy z szynami na szyi, i rzuciliśmy to w diabły.

- Nieprzyjemny widok taki trup pod wodą - powiedziałem - zwłaszcza gdy jest prąd.

Amad uśmiechnął się krzywo.

- Nie takie rzeczy widziałem. Pracowałem w policji.

- Już po wojnie?

- Dużo później. Gdy wyszło prawo o gangsterach.

- U was też mówią na nich "gangsterzy"?

- A jak mają mówić? Przecież nie rozbójnicy. "Banda rozbójników, uzbrojonych w miotacze ognia i bomby gazowe, zaatakowała zarząd miejski" - powiedział z emfazą. - To nie brzmi, czuje pan? Rozbójnik to topór, kiścień, wąsy, pałasz...

- Ołowiana rurka - podsunąłem.

Amad zachichotał.

- Co pan robi dziś wieczorem? - zapytał.

- Wypoczywam.

- Ma pan tu znajomych?

- Mam. A co?

- To zmienia postać rzeczy.

- Dlaczego?

- Chciałem panu coś zaproponować, ale skoro ma pan znajomych...

- A właśnie - powiedziałem. - Kto jest u was merem?

- Merem? Diabli wiedzą, nie pamiętam. Wybrali kogoś...

- Nie Peck Zenay przypadkiem?

- Nie wiem - powiedział Amad z żalem. - Nie chcę kłamać.

- A nie zna pan człowieka o takim nazwisku?

- Zenay... Peck Zenay... Nie, nie znam. Nie słyszałem. A co, to pański przyjaciel?

- Tak, stary przyjaciel. Mam tu jeszcze innych znajomych, ale samych przyjezdnych.

- Jednym słowem tak - podsumował Amad. - Jeśli będzie się panu nudziło i do głowy zaczną przychodzić różne myśli, niech pan wali do mnie. Każdego bożego wieczoru od siódmej siedzę w Łasuchu. Lubi pan smaczne jedzenie?

- Pewnie.

- Żołądek w porządku?

- Jak u strusia.

- No to niech pan przyjdzie. Będzie wesoło i nie trzeba będzie o niczym myśleć.

Amad wyhamował i ostrożnie skręcił do bramy, która otworzyła się bezszelestnie. Samochód wjechał na podwórze.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Amad. - Oto pański dom.

Dom był piętrowy, błękitno-biały. Okna od wewnątrz zasłonięte roletami. Czyściutkie podwórko wyłożone kolorowymi płytkami było puste, wokół owocowy sad, gałęzie jabłoni drapały ściany.

- A gdzie wdowa? - zapytałem.

- Wejźmy do domu - zaproponował Amad.

Wszedł na werandę, kartkując notes. Rozglądając się, poszedłem za nim. Sad mi się spodobał. Amad znalazł właściwą stronę, wybrał kombinację cyfr na malutkiej tarczy obok dzwonka i drzwi się otworzyły. W domu pachniało chłodnym świeżym powietrzem. Było ciemno, ale ledwie weszliśmy do holu, zapłonęło światło. Amad, chowając notes, powiedział:

- Po prawej strone jest połowa gospodarzy, po lewej pańska. Proszę... tutaj jest pokój gościnny. To bar, zaraz się napijemy. Proszę dalej. To pański gabinet. Ma pan fonor?

- Nie.

- Zresztą to nieistotne. Tutaj jest wszystko. Przejdźmy dalej. To sypialnia. Tu jest pilot ochrony akustycznej. Umie się pan nim posługiwać?

- Zorientuję się.

- Dobrze. Ochrona jest trzystopniowa, może pan tu sobie urządzić grób albo burdel, wedle życzenia. Tu jest sterowanie klimatyzacją. Trochę niewygodnie zrobione - sterować można tylko z sypialni.

- Jakoś to wytrzymam.

- Co? Aha... tam jest łazienka i toaleta.

- Interesuje mnie wdowa. I córka.

- Zdąży pan. Podnieść rolety?

- Po co?

- Słusznie, nie ma po co. Chodźmy się napić.

Wróciliśmy do gościnnego i Amad po pas zanurkował w barku.

- Coś mocnego? - zapytał.

- Przeciwnie.

- Jajecznicę? Kanapkę?

- Raczej dziękuję.

- Nie - powiedział Amad. - Jajecznicę. Z pomidorami. Nie wiem dlaczego, ale ten automat przygotowuje doskonałą jajecznicę z pomidorami. Ja też coś przekąszę.

Wyciągnął spod lady tacę, postawił na niziutkim stoliku przed półokrągłym tapczanem. Usiedliśmy.

- A co z wdową? - przypomniałem. - Chciałbym się przedstawić.

- Pokoje się panu podobają?

- W porządku.

- No, wdowa też jest w porządku. Córka, przy okazji, również. - Z bocznej kieszeni wyjął płaski skórzany futerał. W futerale jak pociski w magazynku leżały ampułki z różnokolorowymi płynami. Amad poszperał w nich palcem, w skupieniu powąchał jajecznicę, zawahał się, wybrał ampułkę z czymś zielonym, ostrożnie nadłamał i kapnął na pomidory. W pokoju rozszedł się zapach. Nie był nieprzyjemny, ale jak na mój gust miał niewiele wspólnego z jedzeniem. - Ale teraz jeszcze śpią - ciągnął Amad. Jego spojrzenie stało się roztargnione. - Śpią i śnią...

Popatrzyłem na zegarek.

- Ależ...

Amad jadł.

- Już wpół do jedenastej - powiedziałem.

Amad jadł. Czapeczka zsunęła mu się na kark, a zielony daszek sterczał pionowo, niczym grzebień rozdrażnionego mimikrodona. Oczy miał przymknięte.

Przełknął kolejny plasterek pomidora, odłamał skórkę białego chleba i starannie wyczyścił nią patelnię. Patrzył przytomnie.

- Co pan mówił? - zapytał. - Wpół do jedenastej? Jutro pan też wstanie o wpół do jedenastej. A może nawet w południe. Ja na przykład wstaję w południe.

Przeciągnął się z przyjemnością, trzeszcząc stawami.

- Uf - sapnął. - Można wreszcie pojechać do domu. To moja wizytówka, Iwanie. Proszę ją postawić na biurku i nie wyrzucać aż do odjazdu. - Podeszedł do płaskiej skrzynki obok baru i wsunął do szczeliny drugą wizytówkę. Rozległ się głośny szcęk. - A to - powiedział, oglądając wizytówkę pod światło - proszę przekazać wdowie z moimi najserdeczniejszymi życzeniami.

- O co chodzi? - zapytałem.

- O pieniądze. Mam nadzieję, że nie jest pan amatorem targów? Wdowa poda panu sumę i nie powinien się pan targować. To nie jest przyjęte.

- Postaram się - powiedziałem. - Chociaż ciekawie byłoby spróbować.

Amad uniósł brwi.

- Skoro pan tak chce, proszę bardzo. Niech pan zawsze robi tylko to, na co ma pan ochotę, a nie będzie pan miał żadnych kłopotów z trawieniem. Zaraz przyniosę walizkę.

- Potrzebne mi foldery - zauważyłem. - Potrzebne mi przewodniki. Jestem pisarzem, Amadzie. Będę potrzebował broszur o sytuacji gospodarczej mas, statystyk. Gdzie mógłbym to wszystko dostać? I kiedy?

- Przewodnik dam panu od razu - powiedział Amad. - W przewodniku jest statystyka, adresy, telefony i tak dalej. Co się tyczy mas, u nas takich głupot chyba nie wydają. Można oczywiście wysłać zamówienie przez UNESCO, tylko po co? Sam pan wszystko zobaczy... Proszę poczekać, przyniosę walizkę i przewodnik.

Wyszedł i szybko wrócił, z walizką w jednej ręce i opasłym tomikiem w drugiej. Wstałem.

- Sądząc po pańskiej minie - powiedział z uśmiechem - zastanawia się pan, czy wypada dać mi napiwek.

- Szczerze mówiąc, tak - przyznałem.

- No i jak? Chciałby pan to zrobić czy nie?

- Szczerze mówiąc, nie - powiedziałem.

- Ma pan zdrową, mocną naturę - zauważył z aprobatą Amad. - Niech pan nie daje. Nigdy nikomu nie daję napiwków. Można dostać w mordę, zwłaszcza od dziewcząt. Ale za to niech się pan nigdy nie targuje. Też można oberwać. Zresztą to bez znaczenia. Skąd mogę wiedzieć, może lubi pan dostawać po gębie, jak ten Jonatan Craise na przykład... Wszystkiego dobrego, Iwanie. Niech pan się bawi. I niech pan zajrzy do Łasucha. Każdego wieczoru po siódmej. A przede wszystkim niech pan o niczym nie myśli.

Pomachał mi ręką i wyszedł. Usiadłem, wziąłem spotniałą szklankę z koktajlem i otworzyłem przewodnik.

2.

Przewodnik był wydrukowany na papierze kredowym ze złożonym brzegiem. Oprócz pięknych zdjęć zawierał również ciekawe informacje. W mieście mieszkało pięćdziesiąt tysięcy ludzi, półtora tysiąca kotów, dwadzieścia tysięcy gołębi i dwa tysiące psów (w tym siedemset medalistów). Było tu piętnaście tysięcy samochodów osobowych, pięćset helikopterów, tysiąc taksówek (z kierowcami i bez), dziewięćset automatycznych śmieciarzy, czterysta stałych barów i kawiarni, jednaście restauracji, cztery hotele klasy międzynarodowej i kurort obsługujący co roku do stu tysięcy ludzi. Było tu też sześćdziesiąt tysięcy telewizorów, pięćdziesiąt kin, osiem parków, dwa salony dobrego nastroju, szesnaście salonów piękności, czterdzieści bibliotek i sto osiemdziesiąt automatów fryzjerskich. Osiemdziesiąt procent dorosłej ludności pracowało w sektorze usług, pozostali - w dwóch prywatnych cukierniczych syntez-kombinatach i jednej państwowej remontowni statków.

W mieście było sześć szkół i jeden uniwersytet, znajdujący się w starodawnym zamku rycerza krzyżowego Ulricha de Kazy. Funkcjonowało osiem towarzystw obywatelskich, w tym: Towarzystwo Gorliwych Degustatorów, Towarzystwo Znaczców i Koneserów i towarzystwo "O Starą Dobrą Ojczyznę, przeciwko Szkodliwym Wpływow". Półtora tysiąca ludzi należało do siedmiuset jeden kółek, gdzie śpiewali, odgrywali skecze, uczyli się meblowania domu, karmienia dzieci piersią i leczenia kotów. Pod względem spożycia napojów alkoholowych, naturalnego mięsa i tlenu na osobę miasto zajmowało w Europie odpowiednio szóste, dwunaste i trzynaste miejsce. W mieście było osiem męskich i pięć damskich klubów oraz kluby sportowe Byki i Nosorożce. Merem miasta został (z przewagą czterdziestu sześciu głosów) niejaki Flim Gao. Wśród członków rady miasta Pecka nie było...

Odłożyłem przewodnik, zdjąłem marynarkę i przystąpiłem do szczegółowych oględzin swoich włości. Pokój gościnny mi się podobał. Był w kolorze błękitnym, a ja lubię ten kolor. Bar okazał się wypełniony butelkami i jedzeniem, mógłbym nawet w tej chwili przyjąć tuzin wygłodzonych gości.

Wszedłem do gabinetu. Pod oknem stało duże biurko z wygodnym fotelem. Pod ścianami ciągnęły się półki szczelnie zastawione książkami. Czyste kolorowe grzbiety zostały ustawione z wielką znajomością rzeczy i tworzyły przyjemną gamę kolorystyczną. Górną półkę zajmowała pięćdziesięciotomowa encyklopedia UNESCO, a na dolnej pstrzyły się kryminały w błyszczących miękkich okładkach.

Na biurku przede wszystkim rzucił mi się w oczy telefon. Podniosłem słuchawkę i przysiadając na fotelu, wykręciłem numer Rimeiera. W słuchawce rozległ się sygnał.

Czekałem, obracając w rękę zostawiony przez kogoś malutki dyktafon. Rimeier nie odpowiadał. Odłożyłem słuchawkę i obejrzałem dyktafon. Taśma była przewinięta do połowy, cofnąłem i włączyłem.

- Cześć, cześć i jeszcze raz cześć! - powiedział wesoły męski głos. - Ściskam dłoń lub całuję w policzek, w zależności od twojej płci i wieku. Mieszkałem tu dwa miesiące i zaświadczam, że było mi bardzo dobrze. Pozwolę sobie dać ci kilka rad. Najlepsza restauracja w mieście - Hoyty Toyty w Parku Marzeń. Najfajniejsza dziewczyna w mieście - Basia z Domu Modelek. Najfajniejszy chłopak - ja, ale już wyjechałem. W telewizji warto oglądać program dziewiąty, reszta to syf. Nie zadawaj się z intelami i trzymaj się jak najdalej od Nosorożców. Nie bierz nic na kredyt - będziesz miał furę kłopotów. Wdowa to dobra kobieta, ale lubi sobie pogadać i w ogóle... Wuzi nie zastałem, była u babci za granicą. Myślę, że jest milutka, wdowa miała w albumie zdjęcie, ale wziąłem je ze sobą. Jeszcze jedno. Przyjadę tutaj w przyszłym roku w marcu, więc bądź przyjacielem i jeśli zdecydujesz się wrócić, wybierz inny termin. No, życzę miłej zabawy...

Zabrzmiała muzyka. Posłuchałem trochę i wyłączyłem dyktafon. Żadnego tomu nie udało mi się wyciągnąć; albo były tak mocno wbite, albo sklezione. Prócz tego w gabinecie nic interesującego nie widziałem, więc poszedłem do sypialni.

W sypialni było szczególnie chłodno i przytulnie. Zawsze chciałem mieć taką właśnie sypialnię, ale nigdy nie starczyło mi czasu, żeby się tym zająć. Łóżko było duże i niskie. Na szafce nocnej stał bardzo elegancki fonor i mały pilot do telewizora. Ekran telewizora wisiał na wysokim oparciu w nogach łóżka. A nad wezgłowiem wdowa powiesiła obraz z naturalistycznymi świeżymi kwiatami polnymi w kryształowym wazonie. Obraz świecił się kolorami, krople rosy na płatkach połyskiwały w półmroku sypialni.

Położyłem się i włączyłem telewizor. Łóżko było miękkie i jednocześnie jakby sprężynujące. Telewizor wrzasnął. Z ekranu wyskoczył nietrzeźwy mężczyzna, złamał jakąś poręcz i spadł z dużej wysokości do dymiącego się naczynia. Usłyszałem głośny plusk, z fonora zapachniało. Mężczyzna skrył się w bulgoczącym płynie, a potem wynurzył się, trzymając w zębach coś przypominającego rozgotowany but. Niewidoczne audytorium zareagowało rzeniem... wyciśnięcie. Cicha liryczna muzyka. Z zielonego lasu wyszedł na mnie biały koń zaprzężony do bryczki. W bryczce siedziała śliczna dziewczyna w kostiumie kąpielowym. Wyłączyłem telewizor, wstałem i zajrzałem do łazienki.

W łazience pachniało sosną i migotały bakteriobójcze lampy. Rozebrałem się, wrzuciłem bieliznę do utylizatora i wszedłem pod prysznic. Potem niespiesznie ubrałem się przed lustrem, uczesałem i zacząłem golić. Na półce stały rzędy flakoników, pudełka z

higienicznymi przyssawkami i sterylizatorami, tubki z pastami i mazidłami. A na brzegu leżała górka płaskich pudełek z kolorową etykietką "Devon". Wyłączyłem golarkę i wziąłem jedno opakowanie. W lustrze migotała bakteriobójcza rurka. Dokładnie tak samo migotała wtedy i ja dokładnie tak samo stałem przed lustrem i starannie oglądałem identyczne opakowanie, bo nie chciałem wychodzić do sypialni, gdzie Rafka Rejman głośno kłócił się o coś z lekarzem, a w wannie jeszcze kołysała się zielona oleista woda, nad nią unosiła się para i ryczało radio powieszzone na porcelanowym haczyku na ręczniki, wyło, huczało i charczało, dopóki Rafka nie wyłączył go rozdrażniony... To było w Wiedniu i tam, tak samo jak tutaj, dziwne wrażenie sprawiał leżący w łazience devon, popularne panaceum odstraszające komary, moskity, meszki i innych krwiopijców, o których dawno temu zapomniano i w Wiedniu, i tutaj, w nadmorskim kurorcie... tylko w Wiedniu był jeszcze strach.

Pudełko, które trzymałem w ręku, było prawie puste, została tylko jedna tabletką. Pozostałe opakowania nie były otwarte. Skończyłem golenie i wróciłem do sypialni. Znowu poczułem pragnienie zadzwonienia do Rimeiera, ale wtedy dom ożył. Z lekkim świstem zwinęły się rolety, szyby okienne wśliznęły się w szczeliny i do sypialni wpadło ciepłe, przesycone zapachem jabłek powietrze. Ktoś gdzieś coś mówił, nad moją głową rozległy się lekkie kroki i surowy kobiecy głos powiedział: "Wuzi! Zjedz chociaż pierożka, słyszysz?...". Szybko nadałem ubraniu pewną niedbałość (zgodnie z obecną modą), przygładziłem skronie i wyszedłem do holu, biorąc ze sobą wizytówkę Amada.

Wdowa okazała się kobietą w sile wieku, nieco omdlewającą, ale o świeżej, przyjemnej twarzy.

- Jak miło! - powiedziała na mój widok. - Już pan wstał? Dzień dobry, nazywam się Wajna Tuur, ale może pan mówić po prostu Wajna.

- Bardzo mi miło - skłoniłem się. - Nazywam się Iwan.

- Jak miło! - powtórzyła ciocia Wajna. - Jakie oryginalne, miękkie imię! Jadł pan już, Iwanie?

- Za pani pozwoleniem, planowałem zjeść śniadanie na mieście - powiedziałem i podałem jej wizytówkę.

- Ach! - Ciocia Wajna oglądała wizytówkę pod światło. - Ten Amad... gdyby pan wiedział, jaki to miły, czarujący człowiek! Ale proszę, lunch zje pan na mieście, a teraz poczęstuję pana moimi grzankami. Generał pułkownik Tuur mawiał, że nigdzie na świecie nie można zjeść takich grzanek.

- Z przyjemnością. - Ukłoniłem się ponownie.

Drzwi za plecami cioci Wajny otworzyły się i do holu, dźwięcznie stukając obcasikami, wpadła śliczna dziewczyna w krótkiej niebieskiej spódnicy i białej bluzce z dekoltem. W ręku trzymała kawałek ciastka, pod nosem nuciła modną piosenkę. Na mój widok przystanęła, zręcznie przerzuciła przez ramię torebkę na długim pasku, pochyliła głowę i przełknęła.

Ciocia Wajna zacisnęła wargi.

- Wuzi, to Iwan.

- Niezły! - zawołała Wuzi. - Cześć!

- Wuzi! - wykrzyknęła karcąco ciocia Wajna.

- Przyjechał pan z żoną? - zapytała Wuzi, podając mi rękę.

- Nie - odparłem. Palce miała chłodne i delikatne. - Sam.

- Wszystko panu pokażę - oznajmiła. - Wieczorem. Teraz muszę lecieć, ale wieczorem pójdziemy.

- Wuzi! - powtórzyła z wyrzutem ciocia Wajna.

- Koniecznie - powiedziałem.

Wuzi wsunęła do ust resztkę ciastka, cmoknęła mamę w policzek i pomknęła do wyjścia. Miała gładkie opalone nogi, długie i zgrabne, i ostrzyżony kark.

- Ach, Iwanie - westchnęła ciocia Wajna, też patrząc w ślad za nią - w naszych czasach tak trudno postępować z młodymi dziewczętami! Tak wcześnie dojrzewają, tak szybko nas porzucają... Odkąd pracuje w tym salonie...

- Jest krawcową? - zapytałem.

- O nie! Pracuje w salonie dobrego nastroju, w dziale dla starszych pań. I wie pan, jest tam ceniona. Ale w zeszłym roku raz się spóźniła i teraz musi bardzo uważać. Sam pan widzi, nie miała ani chwili na rozmowę, całkiem możliwe, że już na nią czeka klientka. Może pan nie uwierzy, ale ona ma już swoje własne klientki... ale dlaczego my stoimy? Grzanki ostygną...

Przeszliśmy na połowę gospodarzy. Ze wszystkich sił starałem się zachowywać jak należy, choć miałem bardzo niejasne pojęcie, co właściwie należy. Ciocia Wajna usadziła mnie przy stoliku, przeprosiła i wyszła. Rozejrzałem się. To była dokładna kopia mojego pokoju gościnnego, jedynie ściany nie były błękitne, lecz różowe, a za werandą nie było morza, tylko niskie ogrodzenie oddzielające podwórze od ulicy. Ciocia Wajna wróciła z tacą. Postawiła przede mną filizankę ze śmietanką i talerzyk z grzankami.

- Wie pan, ja też zjem - powiedziała. - Lekarz nie zaleca mi jedzenia śniadań w ogóle, a śmietany wręcz zabrania, ale tak przywykliśmy. To ulubione śniadanie generała pułkownika.

Staram się wynajmować dom jedynie mężczyznom, ten miły Amad doskonale mnie rozumie. On wie, jakie mi to potrzebne, choć od czasu do czasu posiedzieć tak, jak siedzimy teraz z panem, przy filiżance śmietanki...

- Pani śmietanka jest zdumiewająco dobra - zauważyłem szczerze.

- Ach, Iwanie! - ciocia Wajna odstawiła filiżankę i lekko klasnęła w rękę. - Powiedział pan to prawie tak samo jak generał pułkownik... i o dziwo, jest pan nawet do niego podobny. Tylko on miał węższą twarz i zawsze jadł śniadanie w mundurze...

- Tak - powiedziałem z zalem. - Munduru niestety nie mam.

- Ale kiedyś pan miał! - pogroziła mi filuternie palcem. - To przecież widać! Jakie to wszystko bez sensu! Ludzie muszą wstydzić się swojej wojskowej przeszłości. Prawda, że to głupie? Ale zawsze zdradza postawa, ta szczególna męska postawa. Tego nie da się ukryć, Iwanie.

Zrobiłem skomplikowany nieokreślony gest, powiedziałem "hmm" i wziąłem grzanekę.

- Jakie to wszystko głupie, prawda? - ciągnęła z ożywieniem ciocia Wajna. - Jak można mieszać tak kompletnie różne pojęcia jak wojna i wojsko! Wszyscy nienawidzimy wojny. Wojna to koszmar. Moja matka opowiadała mi, była wtedy młodą dziewczyną, ale wszystko pamięta: nagle przychodzą żołnierze, obcy, chamscy, mówią w obcym języku, bekają, oficerowie są bezceremonialni i niekulturalni, śmieją się głośno, obrażają pokojówki i za przeproszeniem śmierdzą... i jeszcze ta bezsensowna godzina policyjna... ale to przecież wojna! Wojna godna jest najwyższego potępienia! A wojsko to zupełnie co innego. Wie pan, Iwanie, pan powinien pamiętać ten widok - wojska, ustawione batalionami, surowość linii, męskie twarze pod hełmami, błyszczą broń, błyszczą akselbanty, potem dowódca specjalnym wojskowym samochodem objeżdża front, wita się, a bataliony odpowiadają posłusznie i krótko, jak jeden mąż!

- Niewątpliwie - powiedziałem. - Niewątpliwie, na wielu ludziach robiło to wrażenie.

- Tak! Na bardzo wielu! U nas zawsze mówiono, że trzeba się natychmiast rozbroić, ale czy można niszczyć wojsko? Tę ostatnią ostoję męskości w naszych czasach wszelkiego upadku obyczajów?... To dzikie, to śmieszne - państwo bez wojska...

- Śmieszne - przyznałem. - Nie uwierzy pani, ale od podpisania aktu nie przestaję się śmiać.

- Rozumiem pana - powiedziała ciocia Wajna. - Nic innego nam nie pozostało. Możemy się tylko sarkastycznie śmiać. Generał pułkownik Tuur - wyjęła chusteczkę - tak właśnie umarł. Z sarkastycznym uśmiechem na ustach... - przyłożyła chusteczkę do oczu. - Mówił nam: "Przyjaciele, mam jeszcze tylko nadzieję dożyć dnia, gdy to wszystko się

rozwali”. Złamany, pozbawiony sensu istnienia... nie zniósł pustki w sercu. - Nagle drgnęła. - Proszę spojrzeć, Iwanie...

Żwawo pobiegła do sąsiedniego pokoju i przyniosła ciężki staromodny album. Od razu spojrzałem na zegarek, ale ciocia Wajna nie zwróciła na to uwagi i siadając obok mnie, otworzyła album na pierwszej stronie.

- Oto generał pułkownik.

Generał pułkownik wyglądał niczym orzeł. Miał wąską kościstą twarz i przezroczyście oczy. Jego długi tułów był usiany orderami. Największy order, w kształcie wieloramiennej gwiazdy obramowanej wieńcem laurowym, błyszczał w rejonie wyrostka. W lewej ręce generał zaciskał rękawiczki, prawa spoczywała na rękojeści kordu. Wysoki kołnierz ze złotą lamówką podpierał dolną szczękę.

- A to generał pułkownik na manewrach.

Generał pułkownik tutaj też był orłem. Wydawał rozkazy oficerom pochylonym nad mapą rozłożoną na pancerzu gigantycznego czołgu. Po kształcie śladów i zarysach wieżyczki poznałem ciężki szturmowy czołg Mamut przeznaczony do pokonywania strefy działań atomowych, a obecnie z powodzeniem wykorzystywany przez podwodniaków.

- A to generał pułkownik w dniu pięćdziesiątych urodzin.

Generał pułkownik był orłem również tutaj. Stał przy nakrytym stole z kieliszkiem w ręku i słuchał toastów na swoją cześć. Lewy dolny róg zdjęcia zajmowała rozmyta łysina z elektrycznym odbłyskiem flesza, a przy generale, wpatrując się w niego zachwyconymi oczami, siedziała bardzo młoda i bardzo ładna ciocia Wajna. Spróbowałem ukradkiem ocenić grubość albumu.

- A to generał pułkownik na urlopie.

Nawet na urlopie generał pułkownik pozostawał orłem. Szeroko rozstawiając nogi, stał na plaży w tygrysiach slipkach i przez lornetkę polową spoglądał na zamglony horyzont. Pod jego nogami bawiło się w piasku dziecko w wieku trzech czy czterech lat. Generał był żyłasty i muskularny, najwyraźniej grzanki i śmietanka nie zepsuły mu figury. Zacząłem głośno nakręcać zegarek.

- A to... - Ciocia Wajna znowu przewracała stronę, ale wtedy do pokoju wszedł bez pukania niewysoki grubawy mężczyzna, którego twarz i ubranie (zwłaszcza ubranie) wydały mi się niezwykle znajome.

- Dzień dobry - powiedział, lekko przechylając na bok gładką uśmiechniętą twarz.

To był ten sam celnik, w tym samym białym mundurze ze srebrnymi guzikami i srebrzystymi sznurami na ramionach.

- Ach, Peti! - wykrzyknęła ciocia Wajna. - Już przyszedłeś? Poznajcie się, to Iwan... Iwanie, to Peti, przyjaciel naszego domu.

Celnik mnie nie poznał. Pochylił głowę i trzasnął obcasami. Ciocia Wajna przełożyła album na moje kolana i wstała.

- Siadaj, Peti - powiedziała - przyniosę ci śmietankę.

Peti jeszcze raz trzasnął obcasami i usiadł obok mnie.

- Może chciałby pan obejrzeć? - zapytałem od razu, przekładając album na jego kolana. - Oto generał pułkownik Tuur. Tutaj jest tak po prostu - opowiadałem. W oczach celnika pojawił się dziwny wyraz. - A tu generał pułkownik na manewrach, widzi pan? A tutaj...

- Dziękuję panu - wyjąkał. - Proszę nie robić sobie kłopotu, ponieważ...

Ciocia Wajna wróciła z grzankami i śmietanką. Już od progu oznajmiła:

- Jak przyjemnie widzieć człowieka w mundurze, prawda, Iwanie? - Postawiła tacę na stole. - Peti, wcześniej dziś przyszedłeś. Coś się stało? Piękna pogoda, takie słońce...

Śmietankę dla Petiego nalano do specjalnej filiżanki, na której widniał monogram - litera T otoczona czterema gwiazdkami.

- W nocy budziłam się i wiem, że padał deszcz - ciągnęła ciocia Wajna. - A teraz, proszę spojrzeć, nawet jednego obłoczka... Iwanie, jeszcze filiżankę?

Wstałem.

- Dziękuję bardzo. Pozwoli pani, że państwa opuszczę. Mam ważne spotkanie.

Ostrożnie zamykając za sobą drzwi, usłyszałem, jak wdowa mówi: "Nie sądzisz, że jest zdumiewająco podobny do sztab-majora Pola?...".

W sypialni rozpakowałem walizkę, przełożyłem ubrania do szafy i znowu zadzwoniłem do Rimeiera. I znowu nikt nie odebrał telefonu. Wtedy usiadłem przy biurku w gabinecie i zacząłem przeglądać zawartość szuflad. W jednej znalazłem przenośną maszynę do pisania, w drugiej znaczki i koperty oraz pustą butelkę po smarze do arytmicznych silników. Pozostałe szuflady były puste, jeśli nie liczyć paczki pogniecionych pokwitowań, zepsutego długopisu i niedbale złożonej kartki, na której były namalowane twarze. Rozłożyłem kartkę. Wyglądało to na brudnopis telegramu. "Grin umarł u rybaków odbierz ciało niedziela kondolencje huger marta chłopcy". Przeczytałem tekst dwukrotnie, odwróciłem kartkę, przyjrzałem się narysowanym twarzom i przeczytałem po raz trzeci. Widocznie Huger i Marta nie wiedzieli, że normalni ludzie, powiadamiając innych o śmierci, mówią przede wszystkim, dlaczego i jak umarł człowiek, a nie u kogo umarł. Ja bym napisał: "Grin umarł w czasie połowu ryb". Pewnie był pijany. A właśnie, jaki ja mam teraz adres?

Wróciłem do holu. Przed drzwiami prowadzącymi na połowę gospodarzy siedział w kucki chudziutki chłopiec w krótkich spodenkach. Zaciskając pod pachą długą srebrzystą rurkę, sapiąc i sycząc, pospiesznie rozkręcał kłębek sznurka.

- Cześć - powiedziałem.

Nie mam już tego refleksu co kiedyś, ale mimo wszystko zdążyłem się uchylić. Długi czarny strumień przeleciał tuż obok mojego ucha i pacnął na ścianę. W zdumieniu popatrzyłem na chłopca, a on patrzył na mnie, leżąc na boku i wystawiając przed siebie swoją rurkę. Twarz miał mokrą, usta otwarte i wykrzywione. Obejrzałem się. Po ścianie spływał czarny płyn. Znowu spojrzałem na chłopca. Powoli wstawał, nie opuszczając rurki.

- Coś ty, bracie, taki nerwowy? - zapytałem.

- Niech się pan nie rusza z miejsca - wychrypiał chłopiec. - Nie wymieniałem pańskiego nazwiska.

- Co ty powiesz - odparłem. - Ty też się nie przedstawiłeś, a strzelasz do mnie jak do tarczy.

- Niech się pan nie rusza - powtórzył chłopiec. - Niech pan stoi. - Cofnął się i nagle zaczął bardzo szybko mówić: - Odejdź od włosów moich, odejdź od kości moich, odejdź od mięsa mojego...

- Nie mogę. - Usiłowałem zrozumieć, czy to wyglup, czy on naprawdę się mnie boi.

- Dlaczego? - zapytał stropiony chłopiec. - Przecież mówię wszystko jak trzeba.

- Nie mogę odejść, nie ruszając się z miejsca. - Wyjaśniłem. - I stojąc.

Znowu rozchylił buzię.

- Huger - powiedział niepewnie. - Mówię ci, Huger, zgiń!

- Dlaczego Huger? - zdumiałem się. - Mylisz mnie z kimś. Nie jestem Huger, jestem Iwan.

Wtedy chłopiec zamknął oczy i z pochyloną głową ruszył w moją stronę, wystawiając przed siebie rurkę.

- Poddaję się - uprzedziłem. - Uważaj, żebyś nie wystrzelił.

Gdy rurka oparła się o mój brzuch, chłopiec wypuścił ją, ręce mu obwisły i jakoś tak oklapł. Pochyliłem się i zajrzałem mu w twarz. Teraz był cały czerwony. Podniosłem rurkę. To było coś w rodzaju automatu zabawki - z wygodną, żebrowaną rękojeścią i płaskim prostokątnym balonem umocowanym od dołu jak magazynek.

- Co to jest? - zapytałem.

- Chlapnik - wyjaśnił posępnie. - Niech pan to da.

Oddałem zabawkę.

- Chlapnik - powiedziałem - którym się, jak rozumiem, chlapie. A gdybyś tak trafił we mnie? Tego się już nie da zmyć, trzeba będzie wymienić całą ścianę.

Chłopiec popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Przecież to chlapa.

- Naprawdę? A ja myślałem, że lemoniada.

Jego twarz nabrała w końcu normalnego koloru. Wykazywała pewne podobieństwo do męskich rysów generała pułkownika Tuura.

- Nie - powiedział. - To chlapa.

- No i...?

- Wyschnie.

- I dopiero wtedy nic nie da się z nią zrobić?

- Skąd. Po prostu nic z niej nie zostanie.

- Hmm - mruknąłem. - Pewnie wiesz lepiej. Ale mimo wszystko cieszę się, że to nie zostanie na ścianie, a nie na mojej twarzy. Jak się nazywasz?

- Zygryd - rzekł chłopiec.

- A po zastanowieniu?

- Lucyfer.

- Jak?

- Lucyfer.

- Lucyfer - powtórzyłem. - Belial. Astaroth. Belzebul i Azazel. Nic krótszego nie masz? Bardzo nieporęcznie wołać na pomoc człowieka o imieniu Lucyfer...

- Przecież drzwi są zamknięte - rzekł i cofnął się o krok. Jego twarz pobladła.

- No to co?

Nie odpowiedział i dalej się cofał. Przywarł plecami do ściany, sunął bokiem, przeciskając się do drzwi i nie spuszczał ze mnie wzroku. Zrozumiałem wreszcie, że wziął mnie za złodzieja albo zabójcę i chce uciec, ale z jakiegoś powodu nie wzywa pomocy. Nie pobiegł do pokoju matki, tylko przekradał się pod jej drzwiami i nadal skradał się pod ścianą do wyjścia.

- Zygrydzie - powiedziałem. - Zygrydzie-Lucyferze, jesteś strasznym tchórzem. Za kogo ty mnie bierzesz? - Specjalnie nie ruszałem się z miejsca i tylko odwracałem się w jego stronę. - Jestem waszym nowym mieszkańcem, twoja mama napoiła mnie śmietanką i nakarmiła grzankami, a ty omal mnie nie ochlapałeś i teraz jeszcze się mnie boisz. To ja powinienem bać się ciebie.

Bardzo przypominało to scenę w internacie w Anjudinie, gdzie przywieziono mi prawie takiego samego chłopca, syna chłysta. Mój Boże, czy ja naprawdę tak bardzo przypominam gangstera?

- Wiesz, do kogo jesteś podobny? - mówiłem dalej. - Do piżmaka Czuczundry, który przez całe życie płakał, bo nie starczyło mu odwagi, żeby wyjść na środek pokoju. Twój nos ze strachu zrobił się niebieski, uszy stały się zimne, a spodnie mokre i teraz zostawiasz za sobą mokrą strużkę...

W takiej sytuacji możesz mówić cokolwiek. Chodzi o to, żeby mówić spokojnie i nie robić gwałtownych ruchów. Twarz chłopca nie zmieniała wyrazu, ale gdy powiedziałem o strużce, on na sekundę zrobił zeza, żeby popatrzeć - tylko na sekundę. Potem skoczył do drzwi wyjściowych, miotał się przy nich, szarpiąc zasuwę, i wypadł na podwórko. Mignęły brudne podeszwy sandałów. Wyszedłem za nim.

Stał w krzaku bzu i widziałem tylko bladą buzię. To tak jakby uciekający kot zatrzymał się na chwilę, żeby zerknąć przez ramię.

- No dobrze - powiedziałem. - Wyjaśnij mi, proszę, co mam zrobić. Muszę podać rodzinie swój nowy adres. Adres tego domu. Domu, w którym teraz mieszkam. - Patrzył na mnie w milczeniu. - Do twojej mamy niezręcznie mi iść. Po pierwsze, ma gościa, po drugie...

- Druga Podmiejska siedemdziesiąt osiem - rzekł.

Bez pośpiechu usiadłem na werandzie. Dzieliło nas dziesięć metrów.

- Ale masz głosik! - zauważyłem poufale. - Jak pewien mój znajomy barman w Mirza Charle.

- Kiedy pan przyjechał? - zapytał.

- Dopiero co. - Spojrzałem na zegarek. - Półtorej godziny temu.

- Przed panem mieszkał tu taki jeden - odezwał się i zaczął patrzeć w bok. - Łajdak. Podarował mi slipki w paski. Poszedłem się wykapać, a one się rozpuściły w wodzie.

- Ajajaj. Potwór, a nie człowiek. Trzeba go było utopić w chłapie.

- Nie zdążyłem. Chciałem, ale już wyjechał.

- To był ten Huger? - zapytałem. - Z Martą i chłopcami?

- Nie. Dlaczego? Huger mieszkał później.

- Też łajdak?

Nie odpowiedział. Oparłem się plecami o ścianę i przypatrywałem ulicy. Z bramy naprzeciwko wyjechał samochód, wykręcił, ryknął silnikiem i odjechał. Zaraz za nim pomknął jeszcze jeden, identyczny. Zapachniało benzyną aromatyczną. Potem samochody jechały jeden za drugim. Poczułem, że mieni mi się w oczach. Na niebie pojawiło się kilka

helikopterów. To były tak zwane bezgłośne helikoptery, ale ponieważ leciały dość nisko, nie dało się rozmawiać. Zresztą chłopiec nie miał zamiaru rozmawiać. Nie miał również zamiaru wychodzić z krzaków. Coś tam majstrował przy swoim chlapniku w krzakach i od czasu do czasu zerkał w moją stronę. Żeby tylko nie chlapnął stamtąd we mnie, pomyślałem. Helikoptery leciały i leciały, a samochody jechały i jechały, i miałem wrażenie, że całe piętnaście tysięcy samochodów osobowych wyjechało na Drugą Podmiejską, i wszystkie pięćset helikopterów zawisło nad domem numer siedemdziesiąt osiem. Trwało to z dziesięć minut i chłopiec zupełnie przestał zwracać na mnie uwagę, a ja siedziałem i myślałem, jakie pytania zadać Rimeierowi. A potem wszystko wróciło do normy - ulica opustoszała, rozwiął się zapach benzyny i niebo stało się czyste.

- Dokąd one tak wszystkie jednocześnie? - zapytałem.

Chłopiec zaszeleścił w krzakach.

- A co, nie wie pan? - zdziwił się.

- Skąd mam wiedzieć?

- Nie wiem. Hugera pan skądś zna.

- Hugera... - powtórzyłem.

- Hugera znam zupełnie przypadkiem. A o was nie wiem nic. Jak tu żyjecie, czym się zajmujecie... co tam teraz robisz?

- Bezpiecznik się zepsuł.

- Dawaj, naprawię! Czemu się mnie tak boisz? Przypominam jakiegoś łajdaka?

- Oni wszyscy pojechali do pracy - wyjaśnił chłopiec.

- Późno tu u was zaczynają pracę. Już pora na obiad, a wy dopiero do pracy... Wiesz, gdzie jest hotel Olimpik?

- Jasne, że wiem.

- Zaprowadzisz mnie?

Chłopiec zwlekał.

- Nie - powiedział w końcu.

- Dlaczego?

- Zaraz skończy się szkoła. Muszę iść do domu.

- Aha, więc to tak! - zawołałem. - To znaczy, że wagarujesz? W której jesteś klasie?

- W trzeciej.

- Ja też kiedyś byłem w trzeciej.

Wysunął się z krzaków.

- A potem?

- A potem w czwartej. - Wstałem. - Dobrze. Rozmawiać nie chcesz, zaprowadzić mnie nie chcesz, spodnie masz mokre, idę sobie. No, co tak patrzysz? Nie chcesz mi nawet powiedzieć, jak masz na imię...

Patrzył na mnie w milczeniu i oddychał ustami. Poszedłem do siebie. Kremowy hol był zapaskudzony, jak mi się zdawało, nieodwracalnie. Ogromny czarny kleks na ścianie nie miał zamiaru wysychać. Ktoś tu dzisiaj oberwie, pomyślałem. Pod nogami zaplątał mi się kłębek sznurka. Podniosłem go. Koniec sznurka był przywiązany do klamki drzwi prowadzących na połowę gospodarzy. Tak, pomyślałem, jasna sprawa. Odwiązałem sznurek i wsunąłem kłębek do kieszeni.

W gabinecie wyjąłem z biurka kartkę papieru i napisałem telegram do Marii: "Dotarłem szczęśliwie druga podmiejska siedemdziesiąt osiem całuję iwan". W przewodniku znalazłem numer telefonu biura obsługi, przedyktowałem telegram i znowu zadzwoniłem do Rimeiera. I znowu Rimeier nie odpowiedział. Wtedy włożyłem marynarkę, przejrzałem się w lustrze, przeliczyłem pieniądze i już miałem wyjść, gdy zauważyłem, że drzwi do salonu są uchylone i przez szczelinę zagląda oko. Oczywiście udałem, że nic nie widziałem. Obejrzałem uważnie swój garnitur, wróciłem do łazienki i pogwizdując, przez jakiś czas czyściłem się odkurzaczem. Gdy wróciłem do gabinetu, wsunięta przez uchylone drzwi głowa momentalnie się schowała - teraz sterczała tylko srebrzysta rurka chlapnika. Usiadłem w fotelu, po kolei otworzyłem i zamknąłem wszystkie dwanaście szuflad, włączając tajne, i dopiero wtedy znowu spojrzałem na drzwi. Chłopiec stał na progu.

- Nazywam się Len - powiedział.

- Witaj, Len - rzuciłem z roztargnieniem. - Ja jestem Iwan. Wejdz. Co prawda, właśnie miałem zamiar pójść na obiad. Nie jadłeś jeszcze dziś obiadu?

- Nie.

- To świetnie. Powiedz mamie i pójdziemy razem.

Len bez słowa patrzył w podłogę.

- Jeszcze za wcześnie - wymamrotał.

- Na co za wcześnie? Na obiad?

- Nie, żeby przyjść... tutaj. Szkoła skończy się dopiero za dwadzieścia minut - znowu zamilkł. - W dodatku tam siedzi ten tłusty typ ze sznurami.

- Łajdak? - zapytałem.

- Tak - odparł Len. - Naprawdę pan teraz wychodzi?

- Tak, wychodzę. - Sięgnąłem do kieszeni po kłębek sznurka. - Weź... a gdyby to mama wyszła pierwsza?

Wzruszył ramionami.

- Jeśli naprawdę pan wychodzi, mógłbym u pana posiedzieć?

- Pewnie, posiedź.

- A nie ma tu nikogo więcej?

- Nie ma.

Nie podszedł, by wziąć swój sznurek, ale pozwolił podejść mnie i nawet wziąć się za ucho. Ucho rzeczywiście miał zimne. Pociągnąłem go, leciutko popchnąłem do biurka.

- Siedź, ile chcesz. Nieprędko wrócę.

- Prześpię się tutaj - powiedział Len.

3.

Hotel Olimpik miał czternaście pięter i był czerwono-czarny. Plac przed nim zastawiały samochody, a na środku, na niewielkim klombie, wznosił się monument przedstawiający człowieka z dumnie uniesioną głową. Omijając pomnik, spostrzegłem nagle, że skądś znam tego człowieka. Zatrzymałem się zdumiony. Tablica nie pozostawiała wątpliwości - w śmiesznym staromodnym ubraniu, opierając się ręką o niezrozumiały aparat, który wziąłem za przedłużenie abstrakcyjnego postumentu, wpatrzony zmrużonymi wzgardliwie oczami w nieskończoność stał "Władimir Siergiejewicz Jurkowski, 5 grudnia, rok Wagi".

Nie uwierzyłem, ponieważ było to absolutnie niemożliwe. Jurkowskim nie stawia się pomników. Dopóki żyją, wyznacza się ich na mniej lub bardziej odpowiedzialne stanowiska, czei na jubileuszach, wybiera na członków akademii. Nagradza orderami i nadaje nagrody państwowe. A gdy umierają (albo giną), pisze się o nich książki, cytuje się ich, powołuje na ich prace, im więcej czasu mija, tym rzadziej, aż wreszcie się o nich zapomina. Odchodzą z pamięci i zostają tylko w książkach. Władimir Siergiejewicz był generałem nauki i wspaniałym człowiekiem. Ale nie można stawiać pomników wszystkim generałom i wszystkim wspaniałym ludziom. Tym bardziej w krajach, z którymi nigdy nie mieli nic wspólnego, i w miastach, gdzie jeśli nawet byli, to najwyżej przejazdem. A w tym ich roku Wagi Jurkowski nie był nawet generałem. W marcu razem z Dauge kończył badania Plamy Amorficznej na Uranie i jedna sonda bombowa wybuchła w naszym przedziale roboczym, oberwali wszyscy i gdy we wrześniu wróciliśmy na Planetę, Jurkowski był zły, cały w fioletowych lizajach, i mówił, że jak tylko sobie do woli popływa i poopala się, to zaraz weźmie się do projektu nowej sondy, bo stary to gówno... Obejrzałem się na hotel. Pozostawało wyciągnąć wniosek, że życie miasta znajduje się w tajemniczej zależności od Plamy Amorficznej na Uranie. Albo niegdyś się znajdowało... Jurkowski uśmiechał się z wyższością. Zasadniczo rzeźba była w porządku, nie wiedziałem tylko, o co opiera się Jurkowski. Sondy to nie przypominało...

Coś zasyczało nad moim uchem. Odwróciłem głowę, mimo woli się odsuwając. Obok mnie, tępo wpatrując się w postument, stał niewysoki chudy człowiek, od stóp do głowy zawinięty w jakąś szarą łuskę, w ogromnym sześciennym hełmie na głowie. Twarz mu zasłaniała szklana płytką z dziurkami. Z dziurek w rytm oddechu wypływały strużki dymu. Wycieńczona twarz za szybką była zlna potem. Policzki drgały. Początkowo wziąłem go za

kosmitę, potem pomyślałem, że to turysta, któremu zalecono szczególne procedury lecznicze, dopiero później domyśliłem się, że to artik.

- Przepraszam - powiedziałem. - Mógłby mi pan powiedzieć, co to za pomnik?

Mokra twarz się skrzywiła.

- Co? - dobiegło spod hełmu.

Pochyliłem się.

- Pytam, co to za pomnik.

Znowu zapatrzył się w postument. Wydobywający się z dziurek dym zgęstniał. I znowu rozległo się głośne syczenie.

- "Władimir Jurkowski - przeczytał. - Piąty grudnia. Rok Wagi". Aha... grudzień... no... to pewnie jakiś Żyd albo Polak...

- A kto postawił ten pomnik?

- Nie wiem. Nie jest napisane. Po co to panu?

- To mój znajomy - wyjaśniłem.

- No to czemu pan mnie pyta? Niech pan zapyta jego.

- On nie żyje.

- Aaa... może jest tutaj pochowany?...

- Nie - powiedziałem. - Pochowano go daleko stąd.

- Gdzie?

- Daleko! A co to jest ta rzecz, na której on się opiera?

- Jaka rzecz? To erula.

- Co?

- Erula. Ruletka elektroniczna.

Wytrzeszczyłem oczy.

- Co ma do rzeczy ruletka?

- Gdzie?

- Tutaj, na pomniku.

- Nie wiem - rzekł po chwili zastanowienia. - Może pański przyjaciel ją wynalazł?

- Wątpię. Pracował w innej dziedzinie.

- W jakiej?

- Był planetologiem i astronautą.

- Aaa... no, jeśli on ją wynalazł, to brawo. Pożyteczna rzecz. Trzeba zapamiętać, Jurkowski Władimir. Łebski Żyd...

- Nie sądzę, żeby ją wynalazł - przerwałem mu. - Przecież mówię, był astronautą.

Popatrzył na mnie.

- Skoro jej nie wynalazł, czemu tu z nią stoi?

- O to właśnie chodzi. Sam się dziwię.

- Kłamiesz - powiedział nieoczekiwanie. - Kłamiesz i sam nie wiesz, co gadasz... Już od rana pijany... Alkoholik! - odwrócił się i poszedł dalej, powłócząc chudymi nogami i głośno sycząc.

Wzruszyłem ramionami, jeszcze raz spojrzałem na Władimira Siergiejewicza i przez wielki jak lotnisko plac poszedłem do hotelu.

Gigantyczny szwajcar odsunął przede mną drzwi i dźwięcznie powiedział: "Serdecznie zapraszamy". Zatrzymałem się.

- Przepraszam bardzo. Nie wie pan czasem, co to za pomnik?

Szwajcar popatrzył nad moją głową na plac. Na jego twarzy pojawiło się zmieszanie.

- A czy tam... nie jest napisane?

- Jest. Ale kto postawił ten pomnik? Za co?

Szwajcar przestąpił z nogi na nogę.

- Bardzo przepraszam - rzekł w końcu - ale w żaden sposób nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Pomnik stoi tu od dawna, a ja jestem od niedawna... boję się pana wprowadzić w błąd. Może portier...

Westchnąłem.

- Dobrze, proszę się nie denerwować. Gdzie jest telefon?

- Na prawo, bardzo proszę - powiedział szwajcar ucieszony.

Portier już do mnie szedł, ale ja pokręciłem głową, podniosłem słuchawkę i wybrałem numer Rimeiera. Tym razem telefon był zajęty. Skierowałem się do windy i wjechałem na dziewiąte piętro.

Rimeier, z nienormalnie obrzękniętą twarzą, powitał mnie w szlafroku, spod którego widać było nogi w spodniach i butach. W pokoju unosił się zapach zastarzałego dymu papierosowego, popielniczka na stole była pełna. Generalnie panował tu bajzel. Jeden fotel był przewrócony, na dywanie leżał zwinięty w kłębek podkoszulek, wyraźnie damski, pod parapetem i stołem błyszcząły baterie pustych butelek.

- Czym mogę służyć? - zapytał nieprzyjaźnie Rimeier, patrząc na mój podbródek. Chyba niedawno wyszedł spod prysznica, rzadkie jasne włosy na jego długiej czaszce były mokre.

W milczeniu podałem mu swoją wizytówkę. Rimeier przeczytał ją uważnie, powoli wsunął do kieszeni szlafropa i nadal patrząc na mój podbródek, powiedział:

- Niech pan usiądzie.

Usiadłem.

- Niedobrze się złożyło - wyjaśnił. - Jestem cholernie zajęty i nie mam ani minuty.

- Dzwoniłem dziś do pana kilka razy.

- Dopiero wróciłem... jak się pan nazywa?

- Iwan.

- A nazwisko?

- Żylin.

- Widzi pan, Żylin... Krótko mówiąc, powinienem się zaraz ubrać i wyjść znowu - zamilkł, potarł dłońmi obwisłe policzki. - Tak, właściwie... zresztą, jeśli pan chce, proszę tu na mnie zaczekać. Jeśli nie wrócę za godzinę, niech pan idzie i przyjedzie jutro około dwunastej. I proszę mi zostawić swój adres i telefon, niech pan zapisze na stole... - zrzucił szlafrok i wlokąc go po podłodze, poszedł do sąsiedniego pokoju. - A na razie niech pan obejrzy miasto. Straszne miasteczko... ale tak czy inaczej trzeba się tym zajmować. Mnie już mdli od niego... - Wrócił, zawiązując krawat. Ręce mu drżały, skórę na twarzy miał pomiętą i szarą. Nagle poczułem, że mu nie ufam. Sprawiał przykre wrażenie, jak zaniedbany i chory.

- Źle pan wygląda - powiedziałem. - Bardzo się pan zmienił.

Rimeier po raz pierwszy spojrział mi w oczy.

- Skąd pan wie, jak wyglądałem wcześniej?

- Widziałem pana u Marii... Dużo pan pali, Rimeier, a teraz wszędzie do tytoniu dodają różne świństwa.

- Tytoń to głupstwo - rzekł z nieoczekiwanym rozdrażnieniem. - Tutaj wszystko nasączają świństwem... ale zasadniczo ma pan rację, pewnie trzeba będzie rzucić. - Powoli włożył marynarkę. - Trzeba rzucić... - powtórzył. - I nie trzeba było zaczynać.

- Jak idzie praca?

- Bywało gorzej. Wyjątkowo zajmująca praca - uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Idę. Czekają na mnie, jestem już spóźniony. Więc albo za godzinę, albo jutro w południe.

Skinął mi głową i wyszedł.

Podchodząc do stolika, aby zapisać swój adres i telefon, wpadłem w stertę butelek. Praca rzeczywiście musiała być zajmująca. Zadzwoiłem do portiera i poprosiłem, żeby do pokoju przysła sprzątaczkę. Uprzejmy głos wyjaśnił mi, że mieszkaniec pokoju kategorycznie zabronił personelowi obsługującemu zjawiać się w pokoju podczas swojej nieobecności, i właśnie przed chwilą, opuszczając hotel, powtórzył ten zakaz.

- Aha - powiedziałem i odłożyłem słuchawkę. Niezbyt mi się to spodobało. Sam nigdy nie wydaję takich poleceń, nigdy nic przed nikim nie ukrywam, nawet notesu. Udawanie jest głupie, lepiej po prostu mniej pić. Podniosłem przewrócony fotel, usiadłem i zacząłem czekać, próbując stłumić uczucie niezadowolenia i rozczarowania.

Nie czekałem długo. Dziesięć minut później drzwi się uchyliły i do pokoju wsunęła się śliczna buzia.

- Hej! - powiedziała buzia nieco schrypniętym głosem. - Rimeier u siebie?

- Rimeiera nie ma - odparłem. - Ale proszę wejść.

Weszła lekkim, tanecznym krokiem i ujmując się pod boki, stanęła przede mną. Miała krótki zadarty nosek i rozczochrane, krótko obcięte włosy. Włosy były rude, szorty jaskrawoczerwone, bluzka żółta. Wyrazista kobieta i dość sympatyczna. Mogła mieć dwadzieścia pięć lat.

- Czekasz pan? - zapytała.

Oczy miała błyszczące, pachniało od niej winem, tytoniem i perfumami.

- Czekam - potwierdziłem. - Niech pani siada, będziemy czekać razem.

Położyła się na tapczanie naprzeciwko mnie i zadarła nogi na stolik z telefonem.

- Niech pan rzuci papierosa człowiekowi pracy - powiedziała. - Pięć godzin nie paliłam.

- Nie palę... Zadzwoń, żeby przynieśli?

- Mój Boże, i tu też smutas... niech pan da spokój z telefonem, bo znowu przyjdzie ta baba... proszę pogrzebać w popielniczce i znaleźć jak najdłuższy niedopałek!

W popielniczce było pełno długich niedopałków.

- Wszystkie są w szmince - zauważyłem.

- Proszę dać, to moja szminka. Jak się pan nazywa?

- Iwan.

Pstryknęła zapalniczką.

- A ja Ilina. Też jest pan cudzoziemcem? Wszyscy cudzoziemcy jacyś tacy szerocy. Co pan tu robi?

- Czekam na Rimeiera.

- Ależ nie o to pytam. Co pana do nas przywiało? Ucieka pan przed żoną?

- Nie jestem żonaty. Przyjechałem napisać książkę.

- Książkę... ale ten Rimeier ma znajomych... książkę przyjechał napisać. Problem płci sportowców impotentów. Jak u pana z problemem płci?

- Dla mnie to nie problem - odparłem skromnie. - A dla pani?

Spuściła nogi ze stolika.

- No, no... Ostrożnie. Tu nie Paryż. Najpierw kudły obetnij... Siedzi jak persz...

- Jak kto? - Byłem bardzo cierpliwy, w końcu miałem tu czekać jeszcze czterdzieści pięć minut.

- Jak persz. Chodzą tacy, no wiesz... - zrobiła wokół uszu nieokreślone ruchy dłońmi.

- Nie wiem. Jestem tu od niedawna. Jeszcze nic nie wiem. Niech pani opowie, to interesujące.

- O nie, na pewno nie ja. U nas się nie gada. My tylko podajemy, sprzątamy, uśmiechamy się i milczymy. Tajemnica zawodowa. Słyszałeś o takim zwierzęciu?

- Słyszałem - powiedziałem. - Co znaczy to "u nas"? U lekarzy?

Bardzo ją to rozbawiło.

- U lekarzy! No nie! - chichotała. - A z ciebie chłopak całkiem do rzeczy, język masz cięty... u nas w biurze też jest taki jeden. Jak coś powie, to wszyscy leżą. Jak obsługujemy rybaków, zawsze go wyznaczają, rybacy lubią się pośmiać.

- Kto nie lubi...

- Nie gadaj. Intelę na przykład go pogonili. Zabierzcie, mówią, tego idiotę... Albo teraz, u tych ciężarnych facetów...

- U kogo?

- U smutasów... słuchaj, ja widzę, że ty nic nie rozumiesz... skąd się taki wzięłeś?

- Z Wiednia.

- No i co? W Wiedniu nie ma smutasów?

- Nie wyobraża sobie pani, ilu rzeczy nie ma w Wiedniu.

- Może nieregularnych zebrań też u was nie ma?

- U nas nie ma - powiedziałem. - U nas wszystkie spotkania są regularne. Jak linia autobusowa.

Najwyraźniej świetnie się bawiła.

- A może kelnerek też u was nie ma?

- Kelnerki są. Trafiają się nawet cudowne egzemplarze. Pani jest kelnerką?

Zerwała się nagle.

- No nie, tak dalej być nie może! Dość mam na dzisiaj smutasów. Teraz grzecznie wypijesz ze mną brudersaft... - zaczęła przewracać butelki pod oknem. - Łobuzy, wszystkie puste... A może w dodatku nie pijesz? Aha, jest jeszcze trochę wermutu... napijesz się wermutu? Czy poprosić o whisky?

- Zacznijmy od wermutu - powiedziałem.

Postawiła butelkę na stół i wzięła z parapetu dwie szklanki.

- Trzeba umyć, poczekaj chwilę, ale naśmiecili... - Poszła do łazienki i mówiła stamtąd: - Gdyby się jeszcze okazało, że jesteś nie pijący, to sama nie wiem, co bym z tobą zrobiła... ale tu u niego bajzel w łazience, uwielbiam! Gdzie się zatrzymałeś, też tutaj?

- Nie, w mieście. Na Drugiej Podmiejskiej.

Wróciła ze szklankami.

- Z wodą, czysty?

- Raczej czysty.

- Wszyscy cudzoziemcy piją czysty. A u nas nie wiedzieć czemu pije się z wodą - usiadła na poręczu mojego fotela i objęła mnie za ramiona. Intensywnie pachniało od niej alkoholem. - No, na "ty"...

Wypiliśmy i pocałowaliśmy się - bez żadnej przyjemności. Na wargach miała grubą warstwę szminki, a powieki ciężkie od bezsenności i zmęczenia. Odstawiła szklankę, wyszukała w popielniczce następny niedopałek i wróciła na tapczan.

- No i gdzie ten Rimeier? - zapytała. - Ile można czekać? Długo go znasz?

- Niezbyt.

- Moim zdaniem to drań - rzuciła z nieoczekiwaną złością. - Wszystko ze mnie wyciągnął, a teraz się ukrywa. Nie otwiera, łobuz jeden, nie można się dodzwonić. Słuchaj, nie jesteś szpiclem?

- Jakim szpiclem...

- Dużo ich teraz jest, łajdaków... z Towarzystwa Trzeźwości, z obyczajówki... Znawcy i Koneserzy to też niezłe bydlaki...

- Nie. Rimeier to porządny człowiek - powiedziałem z pewnym wysiłkiem.

- Porządny... wszyscy jesteście porządni. Na początku. Rimeier też był porządny, udawał takiego milutkiego, wesolutkiego... a teraz patrzy jak krokodyl!

- Biedak - westchnąłem. - Pewnie przypomniał sobie rodzinę i zrobiło mu się wstyd.

- On nie ma żadnej rodziny. I w ogóle do diabła z nim! Nalać ci jeszcze?

Wypiliśmy. Położyła się z rękami pod głowę.

- Nie martw się. Olej to. Wina mamy dużo, potańczymy, skoczymy na dreszczkę... jutro mecz, postawimy na Byków...

- Nie martwię się. Dobrze, na Byków.

- Ach, Byki! Co za chłopaki! Mogłabym wiecznie na nich patrzeć... ręce jak stal, przytulisz się do takiego, to jak do drzewa, słowo daję...

Do drzwi ktoś zastukał.

- Włóż! - wrzasnęła Ilina.

Do pokoju wszedł i od razu stanął wysoki kościsty człowiek w średnim wieku z jasnymi wypukłymi oczami.

- Przepraszam. Chciałem się widzieć z panem Rimeierem.

- Wszyscy chcą się widzieć z Rimeierem - powiedziała Ilina. - Niech pan siada, poczekamy razem.

Nieznajomy skłonił głowę, przysiadł się do stołu i założył nogę na nogę.

Prawdopodobnie był tu nie po raz pierwszy. Nie rozglądał się na boki, tylko patrzył w ścianę prosto przed siebie. Zresztą może nie był ciekawski. W każdym razie ani ja, ani Ilina bynajmniej go nie interesowaliśmy. Wydało mi się to nienaturalne - moim zdaniem taka para jak ja i Ilina powinna zainteresować każdego normalnego człowieka. Ilina uniosła się na łokciu i zaczęła bacznie przyglądać się nieznajomemu.

- Gdzieś już pana widziałam.

- Naprawdę? - powiedział chłodno nieznajomy.

- Jak się pan nazywa?

- Oscar. Jestem przyjacielem Rimeiera.

- Doskonale - rzekła Ilina. Wyraźnie drażniła ją obojętność nieznajomego, ale jeszcze się hamowała. - On też jest przyjacielem Rimeiera - wskazała mnie palcem. - Znacie się?

- Nie - odparł Oscar, nadal wpatrzony w ścianę.

- Nazywam się Iwan - wtrąciłem - a to przyjaciółka Rimeiera. Ma na imię Ilina. Właśnie wypiliśmy bruderszaft.

Oscar dość obojętnie spojrział na Ilinę i uprzejmie skłonił głowę. Ilina, nie odrywając od niego wzroku, wzięła butelkę.

- Jeszcze trochę zostało. Napije się pan, Oscar?

- Nie, dziękuję.

- Bruderszaft! - wykrzyknęła Ilina. - Nie chce pan? Trudno.

Nalała trochę do mojej szklanki, resztę do swojej i od razu wypić.

- W życiu bym nie pomyślała, że Rimeier może mieć przyjaciół, którzy odmówią drinka. A jednak gdzieś pana widziałam!

Oscar wzruszył ramionami.

- Nie sądzę - rzekł.

Ilina upijała się w oczach.

- To jakiś drań - oznajmiła głośno, zwracając się do mnie. - Halo, Oscar, jest pan intelektem?

- Nie.

- Jak to? Nie? - zdumiała się Ilina. - Oczywiście, że pan jest. I jeszcze się pan pożarł w Łasuszcze z łysym Lejzem, rozbił pan lustro, a Mody trzasnęła pana w głowę...

Kamienna twarz Oscara lekko poróżowiła.

- Zapewniam panią - zaczął uprzejmie - że nie jestem intelektem i nigdy w życiu nie byłem w Łasuszcze.

- Więc twierdzi pan, że kłamie? - spytała Ilina zaczepnie.

W tym momencie na wszelki wypadek zabrałem butelkę ze stolika i postawiłem pod fotelem.

- Jestem przyjezdny - powiedział Oscar. - Turysta.

- I dawno pan przyjechał? - zapytałem, żeby rozluźnić atmosferę.

- Niedawno. - Nadal patrzył się w ścianę. Człowiek o żelaznych nerwach.

- A! - odezwała się nagle Ilina. - Już pamiętam... wszystko pokręciłam - zachichotała.

- Nie jest pan żadnym intelektem, co za pomysł... to przecież pan był przedwczoraj w naszym biurze! Jest pan komiwojażerem, tak? Proponował pan kierownikowi partię jakiegoś świństwa... dugon... dupon...

- Devon - odpowiedziałem. - Jest taki repelent.

Oscar uśmiechnął się po raz pierwszy.

- Dokładnie tak - potwierdził. - Ale nie jestem komiwojażerem. Po prostu spełniłem prośbę kuzyna.

- To co innego. - Ilina poderwała się nagle. - Trzeba było tak od razu. Iwanie, musimy koniecznie wszyscy wypić bruderszaft. Zadzwoń... nie, lepiej pobiegnę... a wy tu sobie pogadajcie. Zaraz wracam...

Wyskoczyła z pokoju, trzasnęła drzwiami.

- Wesoła kobieta - zauważyłem.

- Niezwykle. Jest pan tutejszy?

- Nie, również przyjezdny. Co za dziwny pomysł przyszedł do głowy pańskiemu krewnemu!

- Co ma pan na myśli?

- Komu potrzebny jest devon w kurorcie?

Oscar wzruszył ramionami.

- Nie znam się na tym, nie jestem chemikiem. Przyzna pan, że czasem trudno zrozumieć postęпки naszych bliźnich, co dopiero pomysły... Więc devon, jak się okazuje... jak go pan nazwał? Ręce...

- Repelent.

- To chyba na komary?

- Nie tyle "na", ile "przeciw".

- Widzę, że doskonale się pan w tym orientuje - stwierdził Oscar.

- Zdarzyło mi się go stosować.

- Ach, nawet tak...

Co, do licha? - pomyślałem. Co on chce przez to wszystko powiedzieć? Już nie wpatrywał się w ścianę. Patrzył mi prosto w oczy i uśmiechał się. Ale jeśli miał coś do powiedzenia, to już powiedział. Wstał.

- Nie będę dłużej czekać - oznajmił. - Jak rozumiem, zaraz zostanę zmuszony do wypicia bruderszaftu. A ja nie przyjechałem tu pić, przyjechałem się leczyć. Proszę uprzejmie przekazać Rimeierowi, że zadzwonię dziś wieczorem. Nie zapomni pan?

- Nie - powiedziałem. - Nie zapomnę. Jeśli powiem, że był Oscar, on zrozumie, o kogo chodzi?

- Oczywiście. To moje prawdziwe imię.

Skłonił się i wyszedł spokojnym krokiem, nie oglądając się, wyprostowany i jakiś taki nienaturalny. Wsunąłem rękę do popielniczki, wybrałem niedopałek bez szminki i kilka razy się zaciągnąłem. Tytoń mi się nie spodobał. Zgasłem niedopałek. Oscar też mi się nie spodobał. I Ilina. I Rimeier też nie za bardzo. Zrobiłem przegląd butelek, ale wszystkie były puste.

4.

Nie doczekałem się na Rimeiera, a Ilina nie wróciła. Znudziło mi się sterczenie w zakopconym pokoju i zszedłem na dół, do westybulu. Miałem zamiar zjeść obiad i stanąłem, rozglądając się w poszukiwaniu restauracji. Obok mnie natychmiast zmaterializował się portier.

- Do usług - zagadnął uprzejmie. - Samochód? Restauracja? Bar? Salon?

- Jaki salon? - zainteresowałem się.

- Salon fryzjerski. - Dyskretnie zerknął na moją fryzurę. - Dzisiaj przyjmuje mistrz Gaoey. Serdecznie polecam.

Przypomniałem sobie, że Ilina nazwała mnie kudłatym perszem, i zgodziłem się.

- Proszę za mną - powiedział portier.

Przecieliśmy westybul. Portier uchylił niskie szerokie drzwi i półgłosem zwrócił się do pustki przestronnego pomieszczenia:

- Przepraszam, mistrzu, klient do pana.

- Proszę - usłyszałem spokojny głos.

Wszedłem.

W salonie było jasno i unosił się przyjemny zapach. Lśnił nikiel, lśniły lustra, lśnił starodawny parkiet. Z sufitu na lśniących wysięgnikach zwisały lśniące półkule. Na środku sali stał ogromny biały fotel. Mistrz siedł mi na spotkanie. Miał badawcze, nieruchome spojrzenie, haczykowany nos i siwą hiszpańską bródkę. Najbardziej przypominał starego doświadczonego chirurga. Nieśmiało się przywitałem. On krótko skinął głową, oglądając mnie od stóp do głów, i zaczął obchodzić mnie dookoła. Poczułem się nieswojo.

- Prosiłbym o dostosowanie mnie do obecnej mody - powiedziałem, starając się nie tracić go z pola widzenia. Ale on łagodnie przytrzymał mnie za rękaw i przez kilka sekund dyszał za moimi plecami.

- Bez wątpienia... nie ma najmniejszej wątpliwości... - mamrotał, a potem poczułem, że dotyka mojej twarzy. - Niech pan zrobi kilka kroków do przodu, bardzo proszę - rzekł surowo. - Pięć, sześć kroków, potem niech się pan zatrzyma i gwałtownie odwróci.

Posłuchałem. Oglądał mnie w zadumie, skubiąc bródkę. Miałem wrażenie, że się waha.

- A zresztą - powiedział nieoczekiwanie - niech pan siada.

- Gdzie?

- Na fotelu, na fotelu... - wyjaśnił niecierpliwie.

Opadłem na fotel i patrzyłem, jak znowu zbliża się do mnie powoli. Na jego inteligentnej twarzy pojawił się wyraz ogromnej irytacji.

- No i jak tak można! - zawołał. - Przecież to straszne!

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Surowiec... dysharmonia... - mamrotał. - To skandal... skandal!

- Naprawdę aż tak źle?

- Nie mam pojęcia, po co pan do mnie przyszedł. Przecież pański wygląd jest panu doskonale obojętny.

- Od dzisiaj to się zmieni - zdecydowałem.

Machnął ręką.

- Proszę dać spokój! Przyjmę pana, ale... - potrząsnął głową, odwrócił się szybko i podszedł do wysokiego stolika zastawionego błyszczącymi przyrządami. Oparcie fotela odchyliło się łagodnie i znalazłem się w pozycji półleżącej. Z góry najechała na mnie wielka półkula promieniejąca ciepłem i setki maleńkich igiełek ukłuły mnie w kark, wywołując dziwne wrażenie bólu i przyjemności jednocześnie.

- Przeszło? - zapytał mistrz, nie odwracając się. Wrażenie znikło.

- Przeszło - odparłem.

- Ma pan dobrą skórę - rzekł z niejaką przyjemnością mistrz.

Wrócił do mnie z zestawem zagadkowych przyrządów i zaczął badać moje policzki.

- A jednak Miroza za niego wyszła - oznajmił nagle. - Wszystkiego mogłem się spodziewać, tylko nie tego. Po tym, co Lewant dla niej zrobił... Pamięta pan ten moment, jak oni płaczą nad umierającą Pini? Można było się założyć, że będą ze sobą już na zawsze. I teraz, proszę sobie wyobrazić, ona wychodzi za mąż za tego literata.

Mam taką zasadę: podtrzymywać dowolną rozmowę. Kiedy nie wiem, o czym mowa, to nawet staje się bardziej interesujące.

- Nie na długo - oświadczyłem z mocą. - Literaci nie są stali w uczuciach, zapewniam pana. Sam jestem literatem.

Jego palce na sekundę zamarły na moich powiekach.

- Nie przyszło mi to do głowy - przyznał. - A jednak ślub, niechby nawet cywilny... Będę musiał pamiętać, żeby zadzwonić do żony. Bardzo to przeżyła.

- Rozumiem ją - powiedziałem. - Chociaż mnie się zawsze wydawało, że Lewant początkowo był zakochany w... eee... Pini.

- Zakochany?! - wykrzyknął mistrz, podchodząc do mnie z drugiej strony. - Oczywiście, że ją kochał! Kochał do szaleństwa! Jak może kochać tylko samotny, odtrącony przez wszystkich człowiek!

- I dlatego naturalne jest, że po śmierci Pini będzie szukał pocieszenia u jej najlepszej przyjaciółki...

- Przyjaciółki... tak - powiedział z aprobatą mistrz, łaskocząc mnie za uchem. - Miroza uwielbiała Pini. To bardzo odpowiednie słowo: przyjaciółka! Od razu czuje się, że jest pan literatem! Pini też uwielbiała Mirozę...

- Ale proszę zauważyć - podchwyciłem natychmiast - Pini od początku podejrzewała, że Miroza jest nieobojętna wobec Lewanta.

- Oczywiście. One są niezwykle wrażliwe na takie rzeczy. To było jasne dla każdego, moja żona od razu zwróciła na to uwagę. Pamiętam, jak szturchała mnie łokciem za każdym razem, gdy Pini siadała na kędzierzawej główce Mirozy i tak figlarnie, rozumie pan, wyczekująco spoglądała na Lewanta...

Tym razem milczałem.

- I w ogóle jestem głęboko przekonany - ciągnął - że ptaki są nie mniej wrażliwe niż ludzie.

Aha, pomyślałem sobie, i powiedziałem:

- Nie wiem, jak ptaki generalnie, ale Pini była znacznie bardziej wrażliwa niż, powiedzmy, ja czy pan.

Coś krótko zabrzęczało nad moją głową i słabo dźwięknął metal.

- Mówi pan słowo w słowo jak moja żona - zauważył mistrz. - Panu powinien się podobać Dan. Byłem wstrząśnięty, gdy on zdołał zrobić bunkin tej japońskiej księżnej, nie pamiętam jej imienia... Przecież nikt, ani jeden człowiek nie wierzył Danowi. Sam japoński król...

- Przepraszani - wtrąciłem. - Bunkin?

- No tak, nie jest pan specjalistą... Ale pamięta pan ten moment, gdy japońska księżna wychodzi z lochu? Jej włosy, wysoki wałek jasnych włosów ozdobionych drogocennymi grzebieniami...

- Ach - domyśliłem się - to fryzura!

- Tak! W pewnym momencie w zeszłym roku nawet weszła w modę. Chociaż prawdziwy bunkin umieli zrobić nieliczni... podobnie jak prawdziwy szynion, skoro już o tym mowa. I oczywiście, nikt nie wierzył, że Dan, z poparzonymi rękami, na wpół ociemniały... Pamięta pan, jak on stracił wzrok?

- To było wstrząsające.

- O, Dan to prawdziwy mistrz. Zrobić bunkin bez elektroobróbki, bez biorozwiertaka... wie pan - w jego głosie dało się słyszeć wzburzenie - właśnie mi przyszło do głowy, że Miroza powinna, po rozstaniu z tym literatem, wyjść nie za Lewanta, lecz za Dana. Będzie go wyprowadzać w fotelu na werandę, będą słuchać słowików przy świetle księżycy... razem, we dwoje...

- I cicho łkać ze szczęścia - dodałem.

- Tak... - mistrzowi głos się załamał. - To po prostu będzie sprawiedliwe. W przeciwnym razie nie wiem... nie rozumiem, po co cała nasza walka... Musimy stanowczo zażądać. Jeszcze dzisiaj pójde do związku.

Znowu milczałem. Mistrz oddychał szybko nad moim uchem.

- Niech się gołą w automatach - powiedział nagle mściwie. - Niech chodzą jak oskubane gęsi. Daliśmy im kiedyś spróbować, co to znaczy, teraz zobaczymy, jak im się to spodobało.

- Obawiam się, że to nie będzie łatwe - powiedziałem ostrożnie, bo nic już nie rozumiałem.

- Ha! My, mistrzowie, przywykliśmy do trudnych spraw. Nie będzie łatwe! Ha! A gdy przychodzi do pana tłuste stworzenie, spocone i straszne, a pan musi zrobić z niego człowieka... albo przynajmniej coś, co może zostać uznane za człowieka... To jest łatwe?! Pamiętaj pan, co powiedział Dan? "Kobieta rodzi człowieka raz na dziewięć miesięcy, a my, mistrzowie, robimy to każdego dnia". Czy to nie piękne słowa?

- Dan mówił o fryzjerach? - spytałem na wszelki wypadek.

- Dan mówił o mistrzach! "Na nas opiera się piękno świata!", mówił dalej. I później, pamięta pan? "Żeby zrobić z mały człowieka, Darwin musiał być wspaniałym mistrzem".

Postanowiłem się poddać.

- Tego już nie pamiętam.

- Od dawna ogląda pan "Różę salonu"?

- Dopiero co przyjechałem.

- A... w takim razie wiele pan stracił. Ja i żona oglądamy tę historię już siódmy rok, w każdy wtorek. Przepuściliśmy jeden jedyny raz, kiedy dostałem ataku i straciłem przytomność. Ale w całym mieście jest tylko jeden człowiek, który obejrzał wszystkie odcinki. Mistrz Mil z Salonu Centralnego.

Odszedł na kilka kroków, włączał i wyłączał różnokolorowe plafony i znowu wziął się do pracy.

- Siódmy rok! - powtórzył. -1 niech pan sobie wyobrazi, co oni robią: dwa lata temu zabijają Mirozę, wrzucają Lewanta do japońskich lochów na dożywocie, a Dana palą na stosie. Może pan to sobie wyobrazić?

- To niemożliwe. Dana? Na stosie? Co prawda, Giordana Bruna też spalili na stosie...

- Możliwe - przerwał mi niecierpliwie mistrz. - W każdym razie zrozumieliśmy, że mają zamiar szybciotko zakończyć sprawę. Ale myśmy do tego nie dopuścili. Rozpoczęliśmy strajk i walczyliśmy przez trzy tygodnie. Mil i ja pikietowaliśmy automaty fryzjerskie. I muszę panu powiedzieć, że znaczna część miasta nam sekundowała.

- No pewnie - powiedziałem. -1 cóż? Zwyciężyliście?

- Jak pan widzi. Zrozumieli, co to znaczy, i teraz centrum telewizyjne wie, z kim ma do czynienia. Nie cofniemy się ani o krok i jeśli będzie trzeba, nie odstępimy. W każdym razie teraz we wtorki naprawdę odpoczywamy. Jak dawniej.

- A w pozostałe dni?

- W pozostałe dni czekamy na wtorek i zgadujemy, co nas czeka; czym wy, literaci, nas ucieszycie, spieramy się i zakładamy... zresztą my, mistrzowie, nie mamy wiele wolnego czasu.

- Duża klientela?

- Nie w tym rzecz. Mam na myśli studia po pracy. Nietrudno zostać mistrzem, trudno nim pozostać. Mnóstwo literatury, masa nowych metod, nowych zastosowań, za wszystkim trzeba nadążać, bez przerwy eksperymentować, badać, studiować i bez przerwy obserwować pokrewne dziedziny - bionikę, medycynę plastyczną, organikę... A poza tym, rozumie pan, człowiek zdobywa doświadczenie i trzeba dzielić się swoją wiedzą. Ja i Mil piszemy już drugą książkę, i dosłownie każdego miesiąca musimy wprowadzać poprawki do rękopisu. Wszystko starzeje się w oczach. Teraz kończę artykuł o pewnej mało znanej cesze naturalnie prostego nieplastycznego włosa i wie pan, praktycznie nie mam żadnych szans, żeby zostać pierwszym. Tylko w naszym kraju znam trzech mistrzów zajmujących się tą samą kwestią. To naturalne - prosty, nieplastyczny włos to palący problem. Przecież jest uważany za absolutnie nieestetyzowany. Zresztą pana to oczywiście nie może interesować. Przecież jest pan literatem.

- Tak.

- Wie pan, w czasie strajku zdarzyło mi się przejrzeć pewną książkę. To czasem nie pańska?

- Nie wiem. A o czym?

- Trudno tak dokładnie powiedzieć... syn kłócił się z ojcem i miał przyjaciela, takiego niesympatycznego człowieka o dziwnym nazwisku... i jeszcze kroił żaby.

- Nie potrafię sobie przypomnieć - skłamałem. Biedny Iwan Turgieniew!

- Ja też nie mogę sobie przypomnieć. Jakies brednie. Mam syna, ale on nigdy się ze mną nie kłóci. Zwierząt też nigdy nie męczył... no, może w dzieciństwie...

Znowu odsunął się, powoli obszedł mnie dookoła, przyglądając się uważnie. Oczy mu płonęły. Chyba był z siebie bardzo zadowolony.

- Sądzę, że na tym możemy zakończyć - oznajmił.

Wydostałem się z fotela.

- Całkiem nieźle... - mruczał mistrz pod nosem. - Naprawdę nieźle.

Podszedłem do lustra, a on włączył lampy, które oświetliły mnie ze wszystkich stron, nawet na twarzy nie było cieni. W pierwszym momencie nie dostrzegłem w swoim wyglądzie niczego niezwykłego. Ja jak ja. A potem poczułem, że to jednak nie do końca ja. To coś lepszego niż ja. Znacznie lepszego niż ja. Ładniejszego niż ja. Bardziej znaczącego niż ja. I poczułem wstyd, jakbym umyślnie udawał człowieka, któremu nie dorastam do pięt...

- Jak pan to zrobił? - zapytałem półgłosem.

- Drobiazg - odparł mistrz, uśmiechając się jakoś dziwnie. - Okazał się pan dość łatwym klientem, chociaż stanowczo zapuszczonym.

Wpatrywałem się w swoje odbicie jak Narcyz, nie mogłem się od niego oderwać. I nagle zrobiło mi się nieprzyjemnie. Mistrz był czarodziejem, złym czarodziejem, chociaż zapewne nawet tego nie podejrzewał. W lustrze, oświetlone żarówkami, przeglądało się - niezwykle atrakcyjne i cieszące oko - kłamstwo. Mądra, piękna, znacząca pustka. No może nie pustka, w końcu nie miałem o sobie aż tak niskiego mniemania, ale kontrast był uderzający. Cały mój wewnętrzny świat, wszystko, co miałem w sobie... mogłoby nie istnieć. Nie było już potrzebne. Popatrzyłem na mistrza. Uśmiechał się.

- Dużo ma pan klientów? - zapytałem.

Nie zrozumiał mojego pytania, a ja nie chciałem, żeby zrozumiał.

- Proszę się nie przejmować - odparł. - Zawsze z przyjemnością będę nad panem pracował. Jest pan surowcem bardzo wysokiej klasy.

- Dziękuję. - Spuściłem wzrok, żeby nie widzieć jego uśmiechu. - Dziękuję. Do widzenia.

- Niech pan tylko nie zapomni zapłacić - rzekł dobrodusznie. - My, mistrzowie, bardzo cenimy swoją pracę.

- Oczywiście. Naturalnie. Ile jestem winien?

Powiedział, ile jestem winien.

- Co? - spytałem, dochodząc do siebie.

Z wyraźną przyjemnością powtórzył.

- To jakiś obłąd! - wykrzyknąłem szczerze.

- Oto cena piękna. Przyszedł pan tutaj jako zwykły turysta, a wychodzi jako król przyrody. Czyż nie tak?

- Wychodzę jako samozwaniec - wymamrotałem, sięgając po pieniądze.

- No, no, po co ta gorycz - rzekł przymilnie. - Nawet ja nie wiem tego na pewno. I pan nie jest tego pewien... jeszcze dwa dolary poproszę... dziękuję panu bardzo. Pięćdziesiąt fenigów reszty. Nie ma pan nic przeciwko fenigom?

Nie miałem nic przeciwko fenigom. Chciałem jak najszybciej wyjść.

Dłuższą chwilę stałem w westybulu, dochodząc do siebie i patrząc przez oszklone drzwi na metalowego Władimira Siergiejewicza. W końcu to przecież nic nowego, W końcu miliony ludzi nie są tymi, za których się podają. Ale ten przeklęty fryzjer uczynił ze mnie empiriokrytyka. Rzeczywistość została zamaskowana pięknymi hieroglifami. Już nie wierzyłem temu, co widziałem w tym mieście. Wylany stereoplastikiem plac tak naprawdę wcale nie był ładny. Pod eleganckimi kształtami samochodów kryły się złowieszcze, potworne kształty. A ta śliczna, miła kobieta w rzeczywistości może być hieną, lubieżną, tępą i ohydną. Zamknąłem oczy i pokręciłem głową. Stary diabeł!

Nieopodal przystanąło dwóch starsuszków i z żarem zaczęło dyskutować o wyższości bażanta duszonego nad bażantem zapieczonym z piórami. Spierali się, pluli śliną, cmokali i tracili dech, pstrykając sobie przed nosami kościstymi palcami. Tym dwóm nie pomógłby żaden mistrz. Oni sami byli mistrzami i nie kryli tego. W każdym razie przywrócili mnie do materialnego świata. Zawołałem portiera i spytałem, gdzie jest restauracja.

- Na wprost przed panem - rzekł portier, z uśmiechem obserwując spierających się starców. - Wszystkie kuchnie świata.

Wejście do restauracji wziąłem za bramę do ogrodu botanicznego. Wszedłem do tegoż "ogrodu", rozsuwając rękami gałęzie egzotycznych drzew, stąpając na przemian po trawie i nierównych płytach muszlowca. W chłodnym zielonym gąszczu ćwierkały niewidoczne ptaki, słychać było gwar rozmów, brzęk noży, śmiech. Obok mojej twarzy przeleciał złocisty ptaszek. Niósł w dziobie malutką kanapeczkę z kawiozem.

- Jestem do pańskich usług - usłyszałem głęboki aksamitny głos.

Z zarośli wyszedł mi na spotkanie wyniosły mężczyzna z policzkami opierającymi się na ramionach.

- Obiad - powiedziałem krótko. Nie lubię maitre d'hoteli.
- Obiad... - powtórzył znacząco. - Obiad w towarzystwie? Oddzielny stół?
- Oddzielny stół. Chociaż...

W jego ręku natychmiast pojawił się notes.

- Mężczyznę w pańskim wieku chętnie widziałyby przy swoim stole mistress i miss Hamilton Ray...

- Dalej - powiedziałem.
- Ojciec Gotfrois...
- Wolałbym kogoś miejscowego - powiedziałem.

Przekręcił kartkę.

- Przy stole zajął właśnie miejsce doktor filozofii Opir.
- Bardzo proszę.

Schował notes i zaprowadził mnie po ścieżce wyłożonej płytkami piaskowca. Wokół rozmawiano, jedzono, syczały syfony. W liściach, niczym barwne pszczoły, latały kolibry.

- Jak mam pana przedstawić? - zapytał maitre d'hotel z szacunkiem.
- Iwan. Turysta i literat.

Doktor Opir był mężczyzną mniej więcej pięćdziesięcioletnim. Od razu mi się spodobał - bez żadnych ceregieli pogonił maitre d'hotela po kelnerów. Był rumiany, gruby, mówił i gestykułował bez chwili przerwy i z widoczną przyjemnością.

- Proszę się nie trudzić - rzekł, gdy sięgnąłem po menu. - Wszystko jasne. Wódka, anchois pod jajkiem - u nas nazywa się ich pasifunczykami - zupa ziemniaczana like...

- Ze śmietaną - dodałem.
- Naturalnie!... Jesiotr po astrachańsku, porcja cielęciny...
- Ja chciałbym bażanta. Zapieczonego z piórami.
- Nie warto, teraz nie ma sezonu... kawałek szynki, węgorz w marynacie...
- Kawa - dorzuciłem.
- Koniak - sprzeciwił się.
- Kawa z koniakiem.
- Dobrze. Koniak i kawa z koniakiem. Jakies białe wino do ryby i porządne, naturalne cygaro...

Doktor filozofii Opir był wspaniałym towarzyszem przy obiedzie. Mogłem jeść, pić i słuchać. Albo nie słuchać. On nie potrzebował rozmówcy. Potrzebował słuchacza. Nie uczestniczyłem w rozmowie w najmniejszym stopniu, nawet nie podrzucałem replik. A doktor Opir przemawiał z rozkoszą, prawie nie milknąc, i wymachiwał widelcem, a mimo to

talerze i półmiski przed nim pustoszały z tajemniczą szybkością. Nigdy w życiu nie spotkałem człowieka, który z taką wprawą przemawiałby z pełnymi ustami.

- Nauka! Jej Wysokość Nauka! - wykrzykiwał. - Dojrzewała długo, w bólach, ale jej owoce są słodkie i obfite. Chwilo, trwaj, jesteś piękna! Setki pokoleń rodziło się, cierpiało i umierało, i nikt nigdy nie zapragnął wypowiedzieć tego zaklęcia. Mamy wyjątkowe szczęście. Urodziliśmy się w wielkiej epoce - w epoce zaspokojonych pragnień. Być może, jeszcze nie wszyscy to rozumieją, ale dziewięćdziesiąt dziewięć procent moich rodaków żyje w świecie, w którym człowiek dostaje wszystko. Nauko! Nareszcie ludzkość uwolniłaś! Dałaś nam, dajesz i będziesz dawać - wszystko!... Wykwintne jedzenie! Eleganckie ubrania, w dowolnej ilości i na dowolny gust! Piękne domy! Miłość, radość, satysfakcję, a dla chętnych, dla ludzi zmęczonych szczęściem - słodkie łyzy, małe, zbawcze smutki, przyjemne troski, które podnoszą naszą wartość w naszych własnych oczach... O tak, my, filozofowie, długo przeklinaliśmy naukę. Wzywaliśmy luddytów niszczących maszyny, przeklinaliśmy Einsteina zmieniającego nasz wszechświat, piętnowaliśmy Winera, który podniósł rękę na boską istotę człowieka. Cóż, rzeczywiście traciliśmy tę boską istotę. Nauka nam ją odebrała. Ale w zamian...! W zamian usadziła ludzkość u stołów na Olimpie... Aha, oto i zupa ziemniaczana, boska like... Nie, nie, proszę robić to co ja... Proszę wziąć tę łyżeczkę... Nieco octu, odrobina pieprzu... teraz drugą łyżką, o, tą, niech pan nabierze śmietany i... nie, nie, proszę stopniowo, stopniowo mieszać... To również nauka, jeszcze bardziej starożytna niż uniwersalna synteza... Właśnie, niech pan koniecznie odwiedzi nasze syntezaory Róg Almatei AK. Nie jest pan chemikiem... no tak, przecież jest pan literatem! O tym trzeba napisać, to wielka tajemnica dnia dzisiejszego: befsztyki z powietrza, szparagi z gliny, trufle z opiółków... jaka szkoda, że Maltus umarł. Dziś śmiałyby się z niego cały świat! Rzeczywiście, on miał pewne podstawy do pesymizmu. Gotów jestem zgodzić się z ludźmi uważającymi go za geniusza. Był jednak niewykształcony, nie widział perspektywy nauk przyrodniczych. Należał do tych nieszczęsnych geniuszów, którzy odkrywają prawa rozwoju społecznego w momencie, gdy prawa te przestają funkcjonować... Szczerze mi go żal. Ludzkość była dla niego miliardem głodnych gąb! Zapewne budził się po nocach zlany potem! To przecież istny koszmar: miliard otwartych paszczy - i ani jednej głowy! Oglądam się za siebie i z goryczą widzę, jak ślepi byli władcy dusz i umysłów niedalekiej przyszłości. Ich świadomość przytłaczało ciągle przerażenie. Społeczni darwiniści! Nie wierzyli w możliwość istnienia, widzieli tylko walkę o przetrwanie, tłumy rozwścieczonych z głodu ludzi, rozszarpujących się na kawałki w walce o miejsce pod słońcem, jakby to miejsce było tylko jedno, jakby słońca nie starczyło dla wszystkich! I Nietzsche... możliwe, że on nadawał się dla głodnych niewolników epoki

faraonów z tym swoim złowieszczym proroctwem rasy panów, ze swoimi nadludźmi po tamtej stronie dobra i zła... Kto chciałby być teraz po tamtej stronie? Skoro po tej też jest całkiem sympatycznie, nie sądzi pan? Byli oczywiście Marks i Freud. Marks na przykład jako pierwszy zrozumiał, że wszystko opiera się na gospodarce. Zrozumiał, że wyrwanie gospodarki z łap chciwych głupców i fetyszystów, upaństwowienie jej i bezgraniczny rozwój będą równoznaczne z położeniem fundamentów złotego wieku. A Freud pokazał, po co nam właściwie ten złoty wiek. Niech pan sobie przypomni, co było przyczyną wszelkich nieszczęść rodu ludzkiego. Niezaspokojone instynkty, nieodwzajemniona miłość, głód - zgodzi się pan? A wtedy pojawia się Jej Wysokość Nauka, by ofiarować nam owo zaspokojenie. I jakże szybko to poszło! Jeszcze pamiętamy nazwiska posępnych krytykantów, a już... jak pan znajduje jesiotra? Odnoszę wrażenie, że sos jest syntetyczny. Widzi pan? Różowy odcień. Tak jest, syntetyczny. W restauracji moglibyśmy liczyć na naturalny... Maitre! Zresztą do licha z nim, nie będziemy kaprysić... Może pan odejść! O czym to ja?... Ach tak! Miłość i głód. Odwzajemniona miłość i zaspokojony głód, i zobaczy pan szczęśliwego człowieka. Pod warunkiem oczywiście, że nasz człowiek będzie pewien jutra. Wszystkie utopie wszystkich czasów bazują na tej właśnie prostej idei. Uwolnijcie człowieka od trosk o chleb powszedni, a stanie się prawdziwie wolny i szczęśliwy. Jestem głęboko przekonany, że dzieci, właśnie dzieci są ideałem ludzkości. Widzę głęboki sens w porażającym podobieństwie między dzieckiem a beztroskim człowiekiem, obiektem utopii. Beztroski znaczy szczęśliwy. A my jesteśmy bliscy swojego ideału! Jeszcze kilkadziesiąt, może nawet kilkanaście lat i osiągniemy automatyczną obfitość. Wtedy odrzucimy naukę jak uzdrowiony odrzuca kule i cała ludzkość stanie się jedną wielką, szczęśliwą dziecięcą rodziną. Dorośli będą różnić się od dzieci zdolnością do miłości, a zdolność ta stanie się - znowu z pomocą nauki - źródłem nowych, niebywałych radości i rozkoszy... A oto i kawa... mmm... całkiem niezła kawa! Ale gdzie jest koniak? Aha, dziękuję panu... O, co za koniak! Przy okazji, słyszałem, że Wielkiego Degustatora odsunięto od pełnienia obowiązków. Na ostatnim Kongresie Koniaków w Brukseli doszło do niesłychanego skandalu, który z wielkim trudem udało się zatuszować. Grand Prix otrzymał wówczas Biały Centaur. Jury zachwycone! Coś nieprawdopodobnego. Niewiarygodna feeria odczuć. Następnie otwierają pakiet zamówieniowy i o hańbo! To syntetyk! Wielki Degustator zbladł jak płótno i zwymiotował. Ja również próbowałem tego koniaku, rzeczywiście smakuje wspaniale, ale pędzi się go z mazutu i nawet nie ma własnej nazwy. AX osiemnaście ułamek naftan, i tańszy od hydrolizowanego spirytusu... Niech pan weźmie cygaro. Bzdura, co to znaczy, że pan nie pali? Po takim obiedzie trzeba zapalić! Lubię tę restaurację. Za każdym razem, gdy

przyjeżdżam na wykłady do tutejszego uniwersytetu, jem obiad w Olimpiku. A przed powrotem obowiązkowo wstępuję do Tawerny. To prawda, że nie ma tam takiej dżungli, tych rajskich ptaków, jest trochę gorąco, trochę duszno i pachnie dymem, ale to prawdziwa, niepowtarzalna kuchnia. Gorliwi degustatorzy zbierają się właśnie tam. Albo tam, albo w Łasuchu. Tam się wyłącznie je. Tam nie wolno rozmawiać, nie należy się śmiać, przychodzenie tam z kobietą nie ma najmniejszego sensu. Tam się tylko je! Cicho, w skupieniu, w zadumie...

Doktor Opir w końcu zamilkł, odchylił się na oparcie fotela i zaciągnął z przyjemnością. Ssałem potężne cygaro i patrzyłem na niego. Widziałem tego doktora filozofii na wskroś. Zawsze i w każdej epoce byli tacy ludzie, absolutnie zadowoleni ze swojej pozycji społecznej i dlatego całkowicie zadowalała ich kondycja społeczeństwa. Cudownie lekkie pióro, giętki język, wspaniałe zęby, absolutnie zdrowe wnętrzości i doskonale funkcjonujący aparat płciowy.

- To znaczy, że świat jest piękny, doktorze? - zapytałem.

- Tak - powiedział z emfazą doktor Opir. - Świat jest nareszcie piękny.

- Jest pan ogromnym optymistą - zauważyłem.

- Nasze czasy to czasy optymistów. Pesymista idzie do salonu dobrego nastroju, wyrzuca żółć z podświadomości i staje się optymistą. Czasy pesymistów minęły, podobnie jak przeminęły czasy maniaków seksualnych, ludzi chorych na gruźlicę oraz wojskowych. Pesymizm jako stan rozumu wykorzeniany jest przez samą naukę. I nie tylko pośrednio poprzez stworzenie dostatku i obfitości, ale również bezpośrednio - na drodze wtargnięcia w mroczny świat podświadomości. Chociażby owe generatory snów, teraz to najmodniejsza rozrywka. Absolutnie nieszkodliwe, masowe i szalenie proste pod względem konstrukcyjnym... Albo, powiedzmy, neurostymulatory...

Próbowałem nakierować go na właściwy tor.

- Nie wydaje się panu, że akurat w tej dziedzinie nauka, na przykład owa chemia farmaceutyczna, czasem poważnie przesadza?

Doktor Opir uśmiechnął się pobłaźliwie i powąchał swoje cygaro.

- Nauka zawsze posługiwała się metodą prób i błędów - rzekł poważnie. - Jestem skłonny twierdzić, że tak zwane błędy to nieodmiennie rezultat przestępczego zastosowania. Jeszcze nie weszliśmy w złoty wiek, dopiero w niego wchodzimy i pod naszymi nogami do tej pory płaczą się różni autlo, chuligani i inni niesympatyczni ludzie... Pojawiają się niszczące zdrowie narkotyki, które pierwotnie stworzono, jak sam pan wie, dla najszlachetniejszych celów, różne tam aromaterie. Albo ten... że tak powiem... ten... -

zachichotał dość sprośnie. - Pan się domyśla, przecież jesteśmy dorosłymi ludźmi... Ale do czego to ja?... Ach, tak! To wszystko nie powinno nas oburzać. To minie, tak jak minęły bomby atomowe.

- Chciałem tylko podkreślić - zauważyłem - że nadal istnieje problem alkoholizmu i problem narkomanii...

Zainteresowanie doktora Opira rozmową nikło w oczach. Najwidoczniej nie powinienem podważać jego tezy, że nauka to szczęście. Prowadzenie sporu na takim poziomie go nudziło. To tak jakby on twierdził, że kąpiel w morzu jest korzystna dla zdrowia, a ja zaprzeczałbym na tej podstawie, że w zeszłym roku omal nie utonąłem.

- Oczywiście... - Spojrzał na zegarek. - Nie wszystko od razu... Zgodzi się pan jednak, że najistotniejsza jest zasadnicza tendencja... Kelner!

Doktor Opir zjadł smaczny obiad, wygłosił mowę w imieniu filozofii postępowej i czuł się absolutnie usatysfakcjonowany. Postanowiłem nie drążyć tematu, tym bardziej że jego filozofia postępową dokładnie mi wisiała. A na temat, który interesował mnie najbardziej, doktor Opir i tak nie mógłby powiedzieć nic konkretnego.

Zapłaciliśmy i wyszliśmy z restauracji.

- Nie wie pan, doktorze, czyj to pomnik? Tam na placu...

Doktor Opir popatrzył z roztargnieniem.

- Rzeczywiście, pomnik - zdumiał się. - Zadziwiające, że go wcześniej nie zauważyłem... Gdzieś pana podwieźć?

- Dziękuję, wolę się przejść.

- W takim razie do widzenia. Cieszę się, że mogłem pana poznać... naturalnie, trudno mieć nadzieję, że pana przekonam - skrzywił się, podłubał w zębach wykałaczką - ale już sama próba byłaby ciekawym doświadczeniem... może wstąpi pan na mój wykład? Zaczynam jutro o dziesiątej.

- Dziękuję. Jaki temat?

- Filozofia neooptymizmu. Z pewnością poruszę kilka kwestii, które dzisiaj sobie omówiliśmy.

- Dziękuję panu - powtórzyłem. - Nie omieszka.

Podszedł do swojego długiego samochodu, opadł na siedzenie, pomajstrował przy pulpicie autokierowcy, odchylił się na oparcie i chyba od razu zasnął. Samochód ostrożnie ruszył i nabierając szybkości, znikł w cienistej zieleni bocznej ulicy.

Neooptymizm... neohedonizm i neokonkretyzm... nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, powiedział lis, za to trafiłeś do Krainy Głupców. Muszę powiedzieć, że procent

urodzonych głupców bynajmniej się nie zmienia na przestrzeni wieków. Ciekawe, co dzieje się z procentem głupców z przekonania. Ciekawe, kto nadał mu tytuł doktora. A przecież nie jest jedynym przypadkiem! Na pewno jest cały tabun doktorów, którzy uroczyście nadali ten tytuł neooptymiście Opirowi. Co zresztą ma miejsce nie tylko wśród filozofów...

Zobaczyłem, jak do holu wszedł Rimeier. Garnitur wisiał na nim jak worek. Od razu zapomniałem o doktorze Opirze. Rimeier się garbił, twarz miał zniszczoną i obwisłą. Chyba nawet się chwiał. Podeszedł do windy. W tym momencie go dogoniłem, wziąłem pod ramię. Drgnął i odwrócił się.

- O co chodzi? - zapytał. Na mój widok wcale się nie ucieszył. - Czemu pan tu jeszcze sterczy?

- Czekałem na pana.

- Przecież powiedziałem, żeby przyszedł pan jutro o dwunastej.

- Co za różnica - odparłem. - Po co tracić czas?

Ciężko dysząc, patrzył mi w oczy.

- Czekają na mnie, rozumie pan? W pokoju siedzi człowiek i na mnie czeka. Może pan to zrozumieć?

- Niech pan tak nie krzyczy. Ludzie na nas patrzą.

Rimeier rozejrzał się rozpalonymi oczami.

- Chodźmy do windy - powiedział.

Weszliśmy do windy i Rimeier nacisnął guzik piętnastego piętra.

- Niech pan mówi szybko, czego pan chce.

Pytanie było tak idiotyczne, że aż mnie zatkało.

- Czy pan nie wie, po co tu jestem?

Potańczał czoło.

- Do licha, jak się wszystko pogmatwało... niech pan posłucha, panie... zapomniałem, jak się pan nazywa.

- Żylin.

- Niech pan posłucha, Żylin, nic nowego dla pana nie zdobyłem. Nie miałem czasu, żeby się tym zająć. To wszystko nie ma sensu, rozumie pan? Wymysły Marii. Oni tam sobie siedzą, piszą papierki i wymyślają takie rzeczy. Należałoby ich wszystkich rozgonić na cztery wiatry.

Dojechaliśmy na piętnaste piętro i on nacisnął guzik parteru.

- Do licha - powtórzył. - Jeszcze pięć minut i wyjdzie... W zasadzie pewien jestem jednego. Nic takiego nie ma, przynajmniej nie ma w mieście. - Rzucił mi ukradkowe

spojrzenie i odwrócił wzrok. - Coś panu powiem... Proszę zajrzeć do rybaków. Po prostu żeby mieć czyste sumienie.

- Do rybaków? Do jakich rybaków?

- Sam się pan dowie - rzucił niecierpliwie. - I niech pan tam nie kręci nosem, nie kaprysi, niech pan robi, co panu każą... - potem, jakby się usprawiedliwiał, dodał: - Nie chcę uprzedzeń, rozumie pan?

Winda zatrzymała się na parterze. Nacisnął guzik dziewiątego piętra.

- To wszystko - rzekł. - A potem się zobaczymy i porozmawiamy dokładniej. Powiedzmy, jutro o dwunastej.

- Dobrze - powiedziałem. Wyraźnie nie chciał ze mną rozmawiać. Może mi nie ufał. Cóż, bywa. - Przy okazji, zachodził do pana niejaki Oscar.

Wydawało mi się, że drgnął.

- Widział pana?

- Naturalnie. Prosił, by przekazać, że zadzwoni wieczorem.

- Niedobrze, cholera, niedobrze... - mamrotał Rimeier. - Niech pan posłucha... do licha, jak się pan nazywa?

- Żylin.

Winda stanęła.

- Niech pan posłucha, Żylin, to bardzo źle, że on pana widział... zresztą nieważne... Idę. - Otworzył drzwi windy. - Jutro porozmawiamy jak należy, dobrze? Jutro... a dziś niech pan zajrzy do rybaków, dobrze?

Z całych sił zatrzasnął za sobą ażurowe drzwi.

- Gdzie mam ich szukać? - zapytałem.

Stałem chwilę, patrząc, jak odchodzi. Niemal biegł nerwowymi krokami, oddalając się korytarzem.

5.

Szedłem powoli, trzymając się cienia drzew. Obok mnie z rzadka przejeżdżały samochody. Jeden się zatrzymał, kierowca otworzył drzwiczki, wychylił się i zwymiotował. Zaklął słabo, otarł usta dłonią, trzasnął drzwiami i odjechał. Był niemłody, miał czerwoną twarz i rozpiętą od góry do dołu kolorową koszulę. Rimeier pewnie wpadł w ciąg. To się często zdarza: człowiek się stara, pracuje, ludzie uważają go za cennego pracownika, słuchają jego opinii i stawiają go za wzór, a gdy jest potrzebny w konkretnej sprawie, nagle okazuje się, że spuchł i obwisł, zapuścił się, że biegają do niego dziewczyny i że od rana cuchnie od niego wódką... Twoja sprawa go nie interesuje, wciąż jest strasznie zajęty, wiecznie z kimś umówiony, mówi niejasno i płacze się w zeznaniach. Z takiego człowieka nie będziesz miał pożytku. A potem nie zdążysz się obejrzyć, jak on znajdzie się na odwyku, w domu wariatów albo w areszcie. Albo nagle się ożeni - z dziwną kobietą, i od tego małżeństwa pachnie szantażem na kilometr... i pozostaje tylko powiedzieć: "Lekarzu, wyleczyłem się sam"...

Warto by odszukać Pecka. Peck to uczciwy twardy facet, który zawsze wszystko wie. Nie zdążysz skończyć kontroli technicznej i zejść ze statku, a on już jest na "ty" z dyżurnym kucharzem bazy albo z całą znajomością rzeczy uczestniczy w rozwiązaniu konfliktu pomiędzy dowódcą Tropicieli i głównym inżynierem, którzy pokłócili się z powodu jakiegoś trozera, technicy już urządzają wieczorek na jego cześć, zastępca dyrektora odciągnął go w kąt i zasięga jego rady... Bieczny Peck! A w tym mieście się urodził i przeżył jedną trzecią życia.

Znalazłem budkę telefoniczną, zadzwoniłem do biura obsługi, gdzie poprosiłem o adres i numer telefonu Pecka Zenaya. Zaproponowano mi, żebym poczekał. W budce, jak zawsze, pachniało kotami. Plastikowy stolczyk był zabazgrany numerami telefonów, widniały na nim różne mordy i nieprzyzwoite rysunki. Ktoś, chyba nożem, głęboko wyciął drukowanymi literami nieznaną mi słowo SLEG. Uchyliłem drzwi, żeby się nie udusić, i popatrzyłem, jak na przeciwległej, zacienionej stronie ulicy przed wejściem do knajpy stoi barman w białej kurtce z podwiniętymi rękawami. W końcu poinformowano mnie, że Peck Zenay, według danych z początku roku, mieszka na ulicy Wolności 31, telefon 11 331. Podziękowałem i od razu wybrałem numer. Nieznajomy głos oznajmił, że to pomyłka. Numer telefonu się zgadza, adres też, ale żaden Peck Zenay tu nie mieszka, a jeśli nawet mieszkał, to nie wiadomo, kiedy i dokąd wyjechał. Wyszedłem z budki i przeszedłem na drugą stronę ulicy, w cień.

Barman pochwycił moje spojrzenie, ożywił się i zawołał:

- Niech pan zajrzy do mnie!

- Jakoś nie mam ochoty - powiedziałem.

- Co, nie zgadza się, ścierwo? - zapytał barman ze współczuciem. - Niech pan wejdzie, co tam, pogadamy... Nudno samemu.

- Jutro rano - powiedziałem - o dziesiątej odbędzie się na uniwersytecie wykład filozofii neooptymizmu słynnego doktora filozofii Opira ze stolicy.

Barman słuchał mnie z chciwą uwagą i nawet przestał się zaciągać.

- A to parszywce! - zawołał. - Do czego doszli! Przedwczoraj przegonili dziewczynki z nocnego klubu, a teraz jeszcze jakieś wykłady. Ale to nic, już my im pokażemy wykłady!

- Najwyższa pora - stwierdziłem.

- Ja tam ich do siebie nie wpuszczam - ciągnął barman, ożywiając się coraz bardziej. - Mam bystre oko. Taki dopiero do drzwi podchodzi, a ja już widzę - intel. Chłopaki, mówię, intel idzie! A do mnie przychodzi doborowe towarzystwo! Sam Don każdego wieczoru po treningach tu siedzi. No i wtedy Don wstaje, wita takiego w drzwiach, o czym oni tam rozmawiają, to ja nie wiem, w każdym razie wysyła go dalej. Co prawda, czasem chodzą całymi grupami. No i wtedy, żeby nie było skandalu, zamykam drzwi na sztabę i niech sobie stukają. Dobrze mówię?

- Niech - zgodziłem się. Barman mnie zmęczył. Są tacy ludzie, których ma się dość po kilku minutach rozmowy.

- Co niech?

- Niech stukają. Stukać każdemu wolno.

Barman spojrzał na mnie czujnie.

- Niech pan idzie dalej - powiedział nagle.

- A może kieliszeczek? - zaproponowałem.

- Niech pan idzie, dobrze radzę. Tu nie zostanie pan obsłużony.

Przez jakiś czas patrzyliśmy na siebie. Potem on coś warknął, cofnął się i zasunął za sobą szklane drzwi.

- Nie jestem intel - powiedziałem. - Jestem biednym turystą. Bogatym!

Patrzył na mnie z nosem rozplaszczonym na szybie. Zrobiłem gest, jakbym wypijał szklaneczkę. Coś powiedział i poszedł w głąb zakładu. Widziałem, jak snuje się bez celu pomiędzy stolikami. Zakład nazywał się Uśmiech. Uśmiechnąłem się i poszedłem dalej.

Za rogiem była szeroka magistrala. Na poboczu stała ogromna, oblepiona kuszącymi reklamami furgonetka. Tylną ściankę miała opuszczoną i na niej jak na ladzie leżały różne rzeczy - konserwy, butelki, zabawki, stopy zafoliowanych paczek z bielizną i ubraniami. Dwie

młodziutki dziewczyny plotły jakieś głupstwa, wybierając i przymierzając bluzki. “Ciągnie się” - piszczała jedna, a druga przykładała bluzkę tak i siak i odpowiadała: “Głupstewko, wcale się nie ciągnie”. “Przy szyi się ciągnie”. “Głupstewko!”. “I krzyżyk się nie mieni...”. Kierowca furgonetki, chudy mężczyzna w kombinezonie i czarnych okularach w potężnej oprawie, siedział na krawężniku, oparty plecami o słup reklamowy. Nie widziałem jego oczu, ale chyba spał, sądząc po układzie ust i spoconym nosie. Podszedłem do lady. Dziewczyny zamilkły i patrzyły na mnie z rozchylonymi ustami. Miały po szesnaście lat i oczy jak u kociąt - niebieskie, puste.

- Głupstewko - powiedziałem twardo. - Nie ciągnie się i mieni.
- A przy szyi? - zapytała ta, która przymierzała.
- Przy szyi istne чудо.
- Głupstewko - zaprotestowała niezdecydowanie pierwsza dziewczyna.
- Obejrzyjmy jakąś inną - zaproponowała pojednawczo druga. - Tę.
- To już lepiej tę srebrzystą, z rozcięciem.

Dostrzegłem wspaniałe książki. Był Strogow z takimi ilustracjami, o jakich nigdy nie słyszałem. Była “Przemiana marzenia” z przedmową Saragona. Było trzytomowe wydanie Waltera Minca z listami. Był prawie cały Faulkner, była “Nowa polityka” Webera, “Bieguny wspaniałości” Ignatowej, nieznane utwory Ang Schi Kui, “Historia faszyzmu” wydana w serii “Pamięć Ludzkości”. Były nowe czasopisma i almanachy, były kieszonkowe albumy ze zbiorami Luwru, Ermitażu, Watykanu. Wszystko było. “I ta też się ciągnie...”. “Za to z rozcięciem!”. “Głupstewko”. Chwyciłem Minca, wcisnąłem dwa tomy pod pachę i otworzyłem trzeci. Nigdy w życiu nie widziałem całego Minca. Były nawet listy z emigracji...

- Ile płacę?

Dziewczyny znowu się na mnie zagapiły. Kierowca usiadł prosto.

- Co? - zapytał ochryple.
- Pan jest właścicielem? - zapytałem.

Wstał i podszedł do mnie.

- Czego pan potrzebuje?
- Chcę tego Minca. Ile płacę?

Dziewczynki zachichotały. Mężczyzna patrzył na mnie w milczeniu, potem zdjął okulary.

- Jest pan cudzoziemcem?
- Tak, turystą.
- To kompletny Mine.

- Przecież widzę - powiedziałem. - Kompletnie osłupiałem, gdy to zobaczyłem.
- Ja też - odparł. - Gdy zobaczyłem, czego pan chce.
- To przecież turysta - pisnęła jedna z dziewczynek. - On nie rozumie.
- Tak... To wszystko jest za darmo - powiedział kierowca. - Fundusz osobisty.

Zabezpieczenie potrzeb osobistych.

Obejrzałem się na półkę z książkami.

- "Przemianę marzenia" pan widział? - zapytał kierowca.

- Tak, dziękuję, już mam.

- O Strogowa nawet nie pytam. A "Historię faszyzmu"?

- Wspaniałe wydanie.

Dziewczyny znowu zachichotały. Kierowcy oczy wyszły z orbit.

- Psik stąd, smarkate! - wrzasnął.

Dziewczyny odskoczyły. Potem jedna złodziejskim ruchem chwyciła kilka paczek z bluzkami i obie przebiegły na drugą stronę ulicy. Patrzyły na nas stamtąd.

- Rozcięcia - prychnął kierowca. Wąskie wargi mu drżały. - Muszę to rzucić. Gdzie pan mieszka?

- Na Drugiej Podmiejskiej.

- Aha, w samym bagnie... Chodźmy, zawiozę panu wszystko. Mam w furgonetce całego Szczedrina, nawet go nie wystawiam, całą "Bibliotekę Klasyki", całą "Złotą Bibliotekę", kompletne "Skarby myśli filozoficznej"...

- Włączając doktora Opira?

- Tego padalca? - warknął kierowca. - Lubieżny szubrawiec. Ameba. Do diabła z nim.

A Sleeya pan zna?

- Słabo - powiedziałem. - Nie spodobał mi się. Neoindywidualizm, jak by powiedział doktor Opir.

- Doktor Opir to śmierdziel - zauważył kierowca. - A Sleey to prawdziwy człowiek. Oczywiście, indywidualista. Ale on przynajmniej mówi to, co myśli, i robi to, co mówi... Zdobędę panu Sleeya... Niech pan posłucha, a to pan widział? A to?

Zarył się w książki po łokcie. Gładził je łagodnie, kartkował, na twarzy miał czułość.

- A to? - mówił. - A takiego Cervantesa, co?

Podeszła młoda postawna kobieta, pogrzebała w konserwach i pogardliwie powiedziała:

- Znowu nie ma dziecięcych pikli? Przecież prosiłam...

- Niech pani idzie do diabła - powiedział kierowca z roztargnieniem.

Kobieta osłupiała.

- Jak pan śmie!

Kierowca popatrzył na nią bykiem.

- Słyszała pani, co powiedziałem? Niech się pani wynosi!

- Jak pan śmie! Pański numer?!

- Mój numer? Dziewięćdziesiąt trzy. Dziewięćdziesiąt trzy, jasne? Mam was wszystkich gdzieś! Jasne? Jeszcze jakieś pytania?

- Co za chuligaństwo! - wykrzyknęła kobieta z godnością. Wzięła dwie puszki konserwowanych słodczy, poszukała wzrokiem na ladzie i starannie oderwała okładkę z czasopisma "Kosmiczny Człowiek". - Już ja pana zapamiętam, dziewięćdziesiąty trzeci! To nie dawne czasy - zawinęła puszki w okładkę. - Jeszcze się spotkamy w zarządzie miejskim.

Mocno ująłem kierowcę za łokieć. Pod moimi palcami kamienny mięsień się rozluźnił.

- Bezczelny - powiedziała dama i odeszła.

Szła chodnikiem, dumnie niosąc ładną głowę z wysokim cylindrycznym uczesaniem. Na rogu zatrzymała się, otworzyła jedną puszkę i zaczęła jeść, wyjmując różowe plasterki eleganckimi palcami. Puściłem rękę kierowcy.

- Strzelać trzeba - powiedział nagle. - Dusić ich trzeba, a nie książki rozwozić - odwrócił się do mnie. W oczach miał udrękę. - Zawieź panu te książki?

- Nie - odparłem. - Gdzie ja to wszystko położę?

- A poszedł won! - warknął kierowca. - Wziąłeś Minca? To zjeżdżaj i zawiń w niego swoje brudne kalesony.

Wsiadł do kabiny. Coś pstryknęło, tylna ścianka zaczęła się podnosić, słychać było, jak wszystko trzeszczy i spada w głąb furgonetki. Na ulicę spadło kilka książek, jakieś błyszczące paczki, pudełka i puszki. Tylna ścianka jeszcze się nie zamknęła, gdy kierowca trzasnął drzwiami i furgonetka ruszyła z miejsca.

Dziewczyny już znikły. Stałem sam na pustej ulicy z tomami Minca w rękach i patrzyłem, jak wiatr leniwie przewraca kartki "Historii faszyzmu" pod moimi nogami. Potem zza rogu wynurzyli się chłopcy w krótkich pasiastych spodenkach. W milczeniu szli obok mnie, z rękami w kieszeniach. Jeden zeskoczył na ulicę i jak piłkę kopał puszkę kompotu ananasowego z błyszczącą etykietką.

6.

W drodze do domu dogoniła mnie wracająca zmiana. Ulice wypełniły się samochodami, nad skrzyżowaniami zawisły helikoptery regulujące ruch, a spoceni policjanci, rycząc megafonami, rozładowywali powstające co chwila korki. Samochody jechały bardzo powoli. Kierowcy wysuwali głowy, rozmawiali, dowcipkowali, wrzeszczeli, przypalali od siebie papierosy i rozpaczliwie naciskali klaksony. Stukały zderzaki. Wszyscy byli weseli, dobrzy i dziko szczęśliwi. Wydawało się, że z duszy miasta właśnie spadł jakiś ogromny ciężar, wszyscy byli pełni godnego pozazdrosczenia przedsmaku czekającej ich zabawy. Mnie i innych przechodniów wskazywano palcami. Kilka razy na skrzyżowaniach dziewczęta stukały mnie zderzakami swoich samochodów - ot tak, dla żartu. Jedna długo jechała obok mnie po chodniku, nawet zawarliśmy znajomość. Potem po zapasowym pasie przeszła demonstracja ludzi o smętnych twarzach. Nieśli plakaty wzywające do przyłączenia się do miejskiego zespołu pieśni patriotycznej, wstępowania do miejskich kótek sztuki kulinarnej, zapisywania się do szkoły rodzenia. Ludzi z plakatami popychano zderzakami ze szczególną przyjemnością. Kierowcy rzucali w nich niedopałkami, ogryzkami i zgniecionymi papierowymi kulkami. Krzyczeli: "Zaraz się zapiszę, tylko kalosze włożę!", "A ja jestem wysterylizowany!", "Wujku, naucz mnie rodzić dzieci!". A oni szli dalej pomiędzy dwoma sznurami samochodów, niewzruszeni, ofiarni, patrząc przed siebie ze smutną wyższością wielbłądów.

Nieopodal domu zaatakował mnie tłumek dziewcząt i gdy wreszcie dostałem się na Drugą Podmiejską, w butonierce miałem wspaniałą biały aster, a na moich policzkach schły pocałunki. Odniosłem wrażenie, że właśnie zawarłem znajomość z połową dziewczyn tego miasta. To się nazywa fryzjer! To się nazywa mistrz!

W moim gabinecie w fotelu siedziała Wuzi w ogniście pomarańczowej bluzce. Jej długie nogi w pantofelkach z długimi noskami spoczywały na stole, w smukłych palcach trzymała cienkiego, długiego papierosa i odchylając głowę, przez nos wypuszczała pod sufit kłęby dymu.

- Nareszcie! - wykrzyknęła, gdy wszedłem. - No naprawdę, gdzie pan przepadł! Przecież ja na pana czekam, nie wie pan czy co?

- Zatrzymano mnie - powiedziałem, próbując sobie przypomnieć, czy się z nią umówiłem.

- Proszę zetrzeć szminkę - zażądała. - Wygląda pan głupio. A to co znowu? Książki?

Po co to panu?

- Jak to - po co?

- Ciężko z panem dojść do ładu. Spóźnia się, taszczy jakieś książki... a może to porno?

- To Minc - powiedziałem.

- Proszę mi je dać - zerwała się i wyrwała mi książki z rąk. - Boże, co za głupota!

Wszystkie trzy jednakowe... A to co takiego? "Historia faszyzmu"? Czy pan jest faszystą?

- Co też pani, Wuzi...

- No więc po co to panu? Będzie pan je czytał?

- Tak, jeszcze raz.

- Nic nie rozumiem - mruknęła urażona. - A tak mi się pan na początku spodobał...

Mama mówi, że pan jest literatem, już się wszystkim pochwaliłam, jak głupia, a tu się okazuje, że pan jest prawie intelektem!

- Jak pani może, Wuzi! - powiedziałem z wyrzutem. Już zrozumiałem, że nie wolno dopuścić, by wzięli cię za intela. - Te książeczki są mi potrzebne jako literatowi, to wszystko.

- Książeczki! - zachichotała. - Książeczki... Niech pan patrzy, co ja umiem! - odchyliła głowę i wypuściła z nozdrzy dwa strumienie dymu. - Już za drugim razem mi wyszło. Super, nie?

- Rzadka umiejętność - zauważyłem.

- Niech pan sobie nie kpi, tylko sam spróbuje... dzisiaj nauczyła mnie jedna dama w salonie. Całą mnie ośliniła, stara krowa... spróbuje pan?

- Dlaczego panią ośliniła?

- Kto?

- Krowa.

- Nienormalna! A może smutaska?... Jak pan się nazywa, bo zapomniałam?

- Iwan.

- Śmieszne imię. Potem mi pan jeszcze przypomni... nie jest pan Tunguzem?

- Moim zdaniem, nie.

- A ja wszystkim powiedziałam, że pan jest Tunguzem. Szkoda... niech pan posłucha, może się napijemy?

- Z przyjemnością.

- Muszę się dzisiaj upić, żeby zapomnieć tę oślinioną krowę.

Wyskoczyła do salonu i wróciła z tacą. Napiliśmy się brandy, popatrzyliśmy na siebie, nie wiedzieliśmy, co powiedzieć, i znowu napiliśmy się brandy. Czułem się dziwnie.

Dziewczyna mi się podobała. Coś w niej widziałem, sam nie wiem co, ale różniła się od długonogich, gładkoskórych ślicznotek nadających się tylko do łóżka. I chyba ona też coś we mnie dostrzegła.

- Ładna dzisiaj pogoda - powiedziała, odwracając wzrok.

- Trochę gorąco - zauważyłem.

Napiła się brandy, ja też. Milczenie się przeciągało.

- Co najbardziej lubi pan robić? - zapytała.

- Zależy kiedy, a pani?

- Ja też zależy kiedy. A w ogóle to lubię, żeby było wesoło i żeby nie trzeba było o niczym myśleć.

- Ja też. Przynajmniej teraz.

Chyba nabrała animuszu. A ja nagle zrozumiałem, że przez cały dzień nie spotkałem ani jednego naprawdę sympatycznego człowieka i zwyczajnie mi to obrzydło.

Nic w niej nie było.

- Chodźmy gdzieś - zaproponowała.

- Możemy - zgodziłem się. Nie chciało mi się nigdzie iść, miałem ochotę posiedzieć chwilę w chłodzie.

- Widzę, że nie bardzo się panu chce - zauważyła.

- Szczerze mówiąc, wolałbym trochę posiedzieć.

- To niech pan zrobi tak, żeby było wesoło.

Zastanowiłem się i opowiedziałem o komiwojażerze na górnej kuszetce. Spodobało się jej, ale samej istoty, jak sądzę, nie złapała. Wprowadziłem w myślach poprawkę i opowiedziałem o prezydencie i starej pannie. Długo chichotała, machając zgrabnymi nogami. Wtedy łyknąłem brandy i opowiedziałem o wdowie, u której na ścianie rosły grzyby. Zsunęła się na podłogę, omal nie przewracając tacy. Chwyciłem ją pod pachy, podniosłem, usadziłem na fotelu i wygłosiłem swoją koronną historię o kosmicie i dziewczynie z college'u. Wtedy przybiegła ciocia Wajna i przestraszona spytała, co się dzieje z Wuzi, czy ja jej nie łaskoczę. Nalałem cioci Wajnie brandy i zwracając się już do niej, opowiedziałem o Irlandczyku, który zapragnął być ogrodnikiem. Wuzi dostała ataku, a ciocia Wajna ze smutnym uśmiechem oznajmiła, że generał pułkownik Tuur lubił opowiadać tę historię, jak miał dobry humor, tylko tam, zdaje się, występował nie Irlandczyk, lecz Murzyn, i nie pretendował na stanowisko ogrodnika, lecz stroiciela pianin.

- I wie pan, Iwanie, u nas ta historia kończyła się zupełnie inaczej - dodała po chwili zastanowienia.

W tym momencie zauważyłem, że w drzwiach stoi Len i patrzy na nas. Pomachałem mu ręką. Jakby tego nie zauważył, więc mrugnąłem do niego i przywołałem go gestem.

- Do kogo mrugasz? - spytała Wuzi zduszonym ze śmiechu głosem.

- To Len - powiedziałem. Mimo wszystko patrzenie na nią było czystą przyjemnością. Lubię patrzeć na ludzi, gdy się śmieją, zwłaszcza takich jak Wuzi, ładnych i prawie dziecięcych.

- Gdzie Len? - zdumiała się.

Lena w drzwiach nie było.

- Lena nie ma - powiedziała ciocia Wajna, która wachała swój kieliszeczek z brandy i nic nie zauważyła. - Chłopiec poszedł dzisiaj do Zikoków na urodziny. Gdyby pan wiedział, Iwanie...

- A dlaczego on mówił o Lenie? - spytała Wuzi, znowu oglądając się na drzwi.

- Len tu był - wyjaśniłem. - Pomachałem mu ręką, a on uciekł. Wie pani, wydał mi się trochę dziki.

- Ach, to takie nerwowe dziecko - westchnęła ciocia Wajna. - Urodził się w ciężkich czasach, a w dzisiejszych szkołach nie mają właściwego podejścia do nerwowych dzieci. Dzisiaj puściłam go w gości...

- My też zaraz pójdziemy - powiedziała Wuzi. - Odprowadzi mnie pan. Tylko się umaluję, bo przez pana wszystko mi się rozmazało. A pan niech włoży coś porządnego.

Ciocia Wajna nie miała nic przeciwko temu, by posiedzieć jeszcze chwilę, opowiedzieć mi co nieco, może nawet pokazać album ze zdjęciami Lena, ale Wuzi pociągnęła ją za sobą i słyszałem, jak pyta matkę za drzwiami: "Jak on się nazywa?... Ciągle zapominam... Wesoły facet, nie?". "Wuzi!" - mówiła z wyrzutem ciocia Wajna.

Wyłożyłem na łóżko całą swoją garderobę, próbując zrozumieć, jak Wuzi wyobraża sobie porządnie ubranego człowieka. Do tej pory wydawało mi się, że jestem ubrany całkiem nieźle. Obcasiki Wuzi już wystukiwały w gabinecie niecierpliwą czeczotkę. Nic nie wymyśliłem i zawołałem ją.

- To wszystko, co pan ma? - spytała, marszcząc nos.

- Nie nadaje się?

- No dobrze, ujdzie... proszę zdjąć marynarkę i włożyć bermudy i hawajską koszulę... Ale się tam u was wTunguzji ubierają... Szybko. Nie, podkoszulek niech pan też zdejmie.

- I co, tak na gołe ciało?

- Wie pan co, jednak jest pan Tunguzem. Gdzie się pan wybiera? Na biegun? Na Marsa? Co pan tam ma pod łopatką?

- Pszczoła mnie użądliła - powiedziałem, pospiesznie wkładając hawajkę. - Chodźmy.

Na ulicy było ciemno. Luminescencyjne latarnie świeciły martwym światłem przez czarne liście.

- Dokąd idziemy?

- Do centrum oczywiście... niech mnie pan nie bierze pod rękę, gorąco... umie się pan bić?

- Umiem.

- To dobrze, lubię patrzeć.

- Patrzeć to i ja lubię...

Na ulicach było znacznie więcej ludzi niż w dzień. Pod drzewami, wśród krzaków, w bramach stały grupki ludzi, sterczeli jacyś zbłąkani. Z zacięciem palili trzeszczące, syntetyczne papierosy, śmiali się, niedbale i często spluwając, i rozmawiali grubymi głosami. Nad każdą grupką unosił się huk radioodbiorników. Pod jedną latarnią grało banjo i dwóch nastolatków, wijąc się, wyginając i rozpaczliwie pokrzykując, tańczyło modny flag, niezwykle piękny taniec, jeśli umiesz go tańczyć. Nastolatki umiały. Wokół ustawiło się całe towarzystwo, też rozpaczliwie pokrzykując i rytmicznie klaszcząc w dłonie.

- Może zatańczymy? - zaproponowałem Wuzi.

- Lepiej nie - wyszeptła, chwyciła mnie za rękę i poszła szybciej.

- Dlaczego nie? Nie umie pani tańczyć flagu?

- Wolałabym tańczyć z krokodylami niż z tymi...

- Dlaczego tak pani mówi? To zwyczajni chłopcy.

- Tak, każdy z osobna - odparła Wuzi z nerwowym śmieszkiem. -1 w dzień.

Stali na skrzyżowaniach, tłoczyli się pod latarniami, zostawiając na chodnikach rozgwieżdżone splunięcia, niedopałków i papierków. Kancjaści i przepaleni, nerwowi i melancholijni. Spragnieni, rozglądający się czujnie, przygarbieni. Strasznie nie chcieli być podobni do otaczającego ich świata, a jednocześnie starannie naśladowali siebie nawzajem oraz dwóch czy trzech popularnych gwiazdorów. Nie było ich w sumie tak dużo, ale rzucali się w oczy i wydawało mi się, że każde miasto, cały świat jest nimi wypełniony, może dlatego że każde miasto i cały świat należały do nich - zgodnie z prawem. Wyczuwałem w nich jakąś mroczną tajemnicę. Sam też wystawałem na rogu z grupką przyjaciół, dopóki nie znaleźli się mądrzy ludzie, którzy zabrali nas z ulicy. A potem wiele razy widziałem takie grupki we wszystkich zakątkach świata, wszędzie, gdzie brakowało mądrych ludzi. I nigdy nie zdołałem zrozumieć, jaka siła odrywa, odrzuca, odciąga tych nastolatków od dobrych książek, których jest tak wiele, od sal sportowych, których jest wystarczająco dużo w tym mieście, choćby od

zwykłych telewizorów, i wygania na wieczorne ulice z papierosami w zębach i tranzystorem przy uchu, gdzie stoją, spluwają (jak najdalej), śmieją się (obrzydliwie) i nic nie robią. Zapewne, jak się ma piętnaście lat, ze wszystkich dóbr świata naprawdę pociągające wydaje się tylko jedno - poczucie własnej wartości i umiejętność wzbudzenia ogólnego zachwyty albo chociaż przyciągnięcia uwagi. Cała reszta jest nieznośnie nudna, do niej należą drogi osiągnięcia upragnionego celu proponowane przez zmęczony i rozdrażniony świat dorosłych...

- Tutaj mieszka stary Ruen - powiedziała Wuzi. - Każdego wieczoru ma nową. Tak się urządził, stary piernik, że same do niego przychodzą. W czasie wojny urwało mu nogę... widzi pan, nie pali się u niego światło, słuchają radia. A przecież jest straszny jak grzech śmiertelny!

- Dobrze żyje się temu, kto ma jedną nogę... - zauważyłem z roztargnieniem.

Zachichotała oczywiście i ciągnęła:

- A tutaj mieszka Sus. To rybak. To dopiero facet!

- Rybak? - zapytałem. - I czym on się zajmuje, ten rybak Sus?

- Rybactwem. A co mogą robić rybacy? Rybaczą! A może pan pyta, gdzie on pracuje?

- Nie, pytam, gdzie rybaczy.

- W metrze - zająknęła się na chwilę. - A może pan też jest rybakiem?

- A co, tak widać?

- Coś w panu jest, od razu to zauważyłam. Znamy te pszczołki, co żądł w plecy.

- Naprawdę?

Wzięła mnie pod rękę.

- Niech mi pan coś opowie - powiedziała, łaszcząc się. - Nigdy nie miałam znajomych rybaków. Opowie mi pan?

- Dlaczego nie... opowiedzieć o lotniku i krowie?

- Nie, naprawdę...

- Jaki upalny wieczór! - wykrzyknąłem. - Dobrze, że zdjęła pani ze mnie marynarkę.

- Przecież i tak wszyscy wiedzą. I Sus opowiada, i inni...

- Aha? - zainteresowałem się. - I co opowiada Sus?

Od razu puściła moją rękę.

- Ja nie słyszałam... dziewczyny opowiadały.

- A co opowiadały dziewczyny?

- No... różne rzeczy... Zresztą może wszyscy kłamią. Może Sus nie ma z tym nic wspólnego...

- Hm... - mruknąłem.

- Tylko niech pan sobie nie myśli, Sus to porządny chłopak i bardzo milczący.

- Dlaczego miałbym myśleć o Susie? - powiedziałem, żeby ją uspokoić. - Nawet go na oczy nie widziałem.

Znowu wzięła mnie pod rękę.

- Zaraz się napijemy - oznajmiła z entuzjazmem. - Najwyższa pora, żebyśmy się napili.

Przeszła już ze mną na "ty". Skręciliśmy za róg i wyszliśmy na magistralę. Było nawet widniej niż w dzień. Świeciły latarnie, połyskiwały ściany, różnokolorowymi światłami rozblyskiwały witryny. To był prawdopodobnie jeden z kręgów tego raj, o którym mówił Amad. Ale wyobrażałem to sobie jakoś inaczej. Spodziewałem się ryczących orkiestr, wyginających się par, półnagich i nagich ludzi. A tutaj było dość spokojnie. Ludzi dużo, wszyscy pijani, ale ubrani elegancko i różnorodnie, i bardzo weseli. I prawie wszyscy palili. Nie czuć było najmniejszego podmuchu wiatru, a fale niebieskawego papierosowego dymu owijały się wokół latarni i lamp jak w zadymionym pokoju. Wuzi wciągnęła mnie do jakiejś restauracji, wypatrzyła znajomych i uciekła, obiecując, że znajdzie mnie później. Tłum w restauracji przyparł mnie do baru i zanim ochłonąłem, już wychyliłem kieliszek gorzkiej. Starszawy facet o żółtych białkach oczu i brązowej cerze zahuczał mi w twarz:

- Cuen złamał nogę, tak? Brosch poszedł na artika i teraz się już do niczego nie nadaje. A z prawej strony nikogo nie mają, Finny został z prawej, czyli jeszcze gorzej niż nikt. To kelner i tyle. Tak?

- Co pan pije?

- Ja w ogóle nie piję - odpowiedział z godnością brązowy, dysząc siwuchą. - Mam żółtaczkę. Słyszał pan o czymś takim?

Za moimi plecami ktoś spadł z taboretu. Gwar to cichł, to się nasilał. Brązowy, zdzierając sobie głos, wykrzykiwał historię o jakimś człowieku, który w pracy uszkodził szlauch i omal nie umarł od świeżego powietrza. Trudno było cokolwiek zrozumieć, ponieważ ze wszystkich stron wykrzykiwano różne historie.

-...Ten głupek się uspokoił i wyszedł, a ona wezwała taksówkę bagażową, załadowała jego rzeczy, kazała zawieźć wszystko za miasto i tam wywalić...

-...Twojego telewizora nawet w kiblu nie powieszę. Nic lepszego od omegi nie wymyślili, mam sąsiada inżyniera, on właśnie tak mówi. Nic lepszego od omegi nie wymyślili...

-...I tak im się skończyła podróż poślubna. Wrócili do domu, ojciec go do garażu zwabił, a ojciec jest bokserem, i tam go zlał do utraty przytomności, wzywali potem lekarza...

-...No i wzięliśmy na trzech... a oni mają, uważasz, taką zasadę - bierz, co chcesz, ale wypij wszystko, co wzięłeś. A on się już nakręcił. Bierzemy, mówi, jeszcze... a oni krążą i patrzą... No, myślę, pora wiać...

-...Dziecinko, ja z twoim biustem byłbym szczęśliwy jak nikt, taki biust zdarza się raz na tysiąc, nie myśl sobie, że cię komplementuję, ja w ogóle nie lubię komplementów...

Na pusty stół obok mnie wdrapała się szczupła dziewczyna z grzywką do czubka nosa. Zaczęła stukać piąstką w bar i wołać: "Barman, barman, pić!". Hałas trochę ucichł. Usłyszałem, jak za mną dwóch mężczyzn rozmawia dramatycznym szeptem:

- A skąd masz?

- Od Buby. Znasz Bubę? To inżynier...

- I co, prawdziwy?

- Ohyda, zdechnąć można!

- Tam jeszcze jakieś tabletki są potrzebne...

- Cicho bądź!

- Daj spokój, kto nas tu słucha...

- Masz przy sobie?

- Buba dał mi jedno opakowanie, mówi, że w każdej aptece jest cała fura... o, patrz...

- De... devon... co to takiego?

- Jakieś lekarstwo, skąd mam wiedzieć...

Odwróciłem się. Jeden miał czerwoną twarz, rozpiętą do pasa koszulę, włochatą pierś. Drugi był wychudzony, z porowatym nosem. Obaj patrzyli na mnie.

- Napijemy się? - zaproponowałem.

- Alkoholik - stwierdził porowaty nos.

- Daj spokój, daj spokój, Pet - wtrąciła się czerwona twarz. - Nie nakręcaj się, proszę.

- Jeśli potrzebny jest devon, mogę dać - powiedziałem głośno.

Odskoczyli. Porowaty zaczął się rozglądać ostrożnie. Kątem oka zauważyłem, że kilka osób zastygło w oczekiwaniu.

- Chodź, Pet - powiedziała półgłosem czerwona twarz. - Chodź, zostawmy go.

Ktoś położył mi rękę na ramieniu. Obejrzałem się i zobaczyłem opalonego przystojnego mężczyznę z potężną muskulaturą.

- Tak?

- Przyjacielu - powiedział serdecznie. - Rzuć to. Rzuć, póki nie jest za późno. Jesteś nosorożcem?

- Hipopotamem - zażartowałem.

- Pytam poważnie. Może cię pobili?

- Do siniaków.

- Dobra, nie martw się. Dzisiaj ciebie, jutro ty. A devon i cała reszta to świństwo, uwierz mi. Dużo na świecie świństw, a to jest świństwo nad świństwami. Rozumiesz?

Dziewczyna z grzywką patrzyła na nas.

- Trzaśnij go w zęby, czego się wtrąca - poradziła mi. - Szpicel parszywy...

- Upiłeś się, idiotko - spokojnie odparł opalony i odwrócił się do nas plecami. Plecy miał ogromne, opięte półprzezroczystą koszulą, całe w okrągłych węzłach mięśni.

- Nie twoja sprawa - powiedziała dziewczyna do pleców. Potem zwróciła się do mnie:

- Słuchaj, przyjacielu, wezwij barmana, bo ja nie mogę się dowołać!

Oddałem jej swoją szklankę i zapytałem:

- Czym by się tu zająć?

- Zaraz wszyscy pójdziemy - odparła dziewczyna. - A zajmiesz się, czym się da. Nie będziesz miał szczęścia, to nigdzie się nie przebijesz. Potrzebne pieniądze, jeśli chcesz do mecenatów. Pewnie jesteś przyjezdny? U nas gorzkiej nikt nie pije. Opowiedziałbyś, jak tam u was jest... Nigdzie dziś nie pójde, wstąpię do salonu. Mam parszywy humor, nic nie pomaga... matka mówi: potrzebne ci dziecko, a to przecież też nudne, po co mi dziecko...

Zamknęła oczy i opuściła podbródek na splecione palce. Wyglądała jak bezczelne, skrzywdzone dziecko. Próbowałem ją rozruszać, ale przestała zwracać na mnie uwagę i nagle znowu krzyknęła: "Barman! Pić! Barman!". Poszukałem wzrokiem Wuzi. Nigdzie nie było jej widać. Kawiarnia powoli pustoszała. Wszyscy gdzieś spieszyli. Ja też zsunąłem się ze stołka i wyszedłem. Ulicą płynęły strumienie ludzi. Wszyscy zmierzali w tym samym kierunku i pięć minut później ludzka fala wyniosła mnie na plac - duży i słabo oświetlony. Szeroka mroczna przestrzeń otoczona świetlnym łańcuchem latarni i witryn była wypełniona ludźmi.

Ludzie stali blisko siebie, mężczyźni i kobiety, nastolatki i ludzie w sile wieku, chłopcy i dziewczęta, wszyscy przestępowali z nogi na nogę i na coś czekali. Nie było słychać rozmów. To tu, to tam zapalały się ogniki papierosów, oświetlając zaciśnięte usta i zapadnięte policzki. Potem w ciszy zaczął bić zegar i nad placem zapłonęły gigantyczne kolorowe plafony. Było ich trzy - czerwony, niebieski i zielony, o nieregularnych kształtach, trochę przypominających zaokrąglone trójkąty. Tłum zafalował i zastygł. Wokół mnie ludzie krzatali

się cichutko, gasząc papierosy. Plafony na chwilę zgasły, a potem zaczęły zapalać się i gasnąć po kolei: czerwony, niebieski, zielony, czerwony, niebieski, zielony...

Poczułem na twarzy podmuch gorącego powietrza, zakręciło mi się w głowie. Tłum się kołysał. Stałem na palcach. Na środku placu ludzie byli nieruchomi, miałem wrażenie, że zeszywnieli i nie przewracają się tylko dlatego, że stoją tak ciasno w tłumie. Czerwony, niebieski, zielony, czerwony, niebieski, zielony... Zastygłe nieobecne twarze, czarne uchylone usta, nieruchome wytrzeszczone oczy. Nawet nie mrugali pod tymi plafonami... Zrobiło się bardzo cicho. Drgnąłem, gdy nieopodal jakaś kobieta krzyknęła przenikliwie: "Dreszczka!". W tym samym momencie dziesiątki głosów podjęły okrzyk: "Dreszczka!". Ludzie na chodnikach zaczęli rytmicznie klaskać w takt zapalania się plafonów i skandować równymi głosami: "Dreszcz-ka, dreszcz-ka, dreszcz-ka!". Ktoś wbił mi w plecy ostry łokieć. Naparli na mnie, wypychając do przodu, na środek placu, pod plafony. Zrobiłem krok, drugi, a potem ruszyłem przez tłum, rozpychając nieruchomych ludzi. Dwóch nastolatków, zastygłych jak sople lodu, nagle zaczęło się miotać, kurczowo łapać się nawzajem za ubranie, drapać i walić ze wszystkich sił, a ich nieruchome twarze nadal były odchylone ku płonącemu niebu. Czerwony, niebieski, zielony... Nieoczekiwanie nastolatki znowu zastygły. I wtedy wreszcie zrozumiałem, że to wszystko jest niesamowicie wesołe. Chichotaliśmy wszyscy. Zrobiło się dużo przestrzeni, zagrziała muzyka. Pochwyciłem śliczną dziewczynę i puściliśmy się w płas, jak kiedyś, jak zawsze, jak dawno temu, jak powinno być, bez troski, żeby kręciło się w głowie, żeby wszyscy się nami zachwycali, nie puszczałem jej ręki, i nie musieliśmy nic mówić, i ona przyznała, że kierowca to bardzo dziwny człowiek; nie znoszę alkoholików, powiedział Rimeier, ten porowaty nos to alkoholik, a jak devon zapytałem, a jak bez devona, skoro u nas jest wspaniały ogród zoologiczny, byki lubią leżeć w bagnie, a z bagien przez cały czas lecą komary, Rim, powiedziałem, jacyś idioci powiedzieli, że masz pięćdziesiąt lat, co za bzdura, nie dałbym ci więcej niż dwadzieścia pięć, a to jest Wuzi, pamiętasz, opowiadałem ci o niej, przecież ja wam przeszkadzam, powiedział Rimeier, nam nikt nie może przeszkodzić, powiedziała Wuzi, a to Sus, najlepszy rybak, on chwycił chlapnik i trafił Skata prosto w oczy, i Huger pośliznął się i wpadł do wody, jeszcze tylko brakuje, żebyś utonął, powiedział Huger, patrz, już ci się slipki rozpuściły, jaki pan śmieszny, powiedział Len, to przecież taka zabawa w gangstera i chłopca, pamięta pan, bawił się pan z Marią... ach, jak mi dobrze, dlaczego jeszcze nigdy w życiu nie było mi tak dobrze, jakie to przykre, przecież mogło być mi dobrze każdego dnia, Wuzi, powiedziałem, jacy my wszyscy jesteśmy młodzi, Wuzi, ludzie nigdy nie mieli tak ważnego zadania i myśmy je rozwiązali, był tylko jeden problem, jeden jedyny na świecie, przywrócić ludziom duchową treść, duchowe troski,

nie, Sus, powiedziała Wuzi, bardzo cię kocham, Oscar, świetny z ciebie facet, ale wybac mi, chcę, żeby to był Iwan; objąłem ją i domyśliłem się, że można ją pocałować, i powiedziałem: kocham cię...

Bach! Bach! Bach! Coś zaczęło z trzaskiem pękać na nocnym niebie i posypały się na nas ostre, brzęczące odłamki. Od razu zrobiło się zimno i nieprzyjemnie. To były salwy z cekaemu. Zagrzmiały serie.

- Wuzi, padnij! - wrzasnąłem, chociaż jeszcze nie wiedziałem, co się dzieje, i upadłem na bruk, na nią, żeby zasłonić ją od kuł, i wtedy zaczęli mnie bić po twarzy...

Tra ta ta ta ta ta... wokół mnie niczym częstokół stali nieruchomo ludzie. Z wolna dochodzili do siebie, błyskali białkami oczu. Leżałem na piersi twardego jak ławka człowieka i tuż przed moimi oczami była jego otwarta, szeroka paszcza z błyszczącą śliną na podbródku. Niebieski, zielony, niebieski, zielony... Czegoś brakowało. Rozległo się przenikliwe wycie, przekleństwa, ktoś piszczał i miotał się w hysterii. Nad placem narastał głośny mechaniczny ryk. Z trudem podniosłem głowę. Plafony były na wprost przede mną, niebieski i zielony rozbłyskiwały równomiernie, a czerwony zgasł i z niego sypało się szkło. Tra ta ta ta ta... w tym momencie zgasł i pękł zielony plafon. I w świetle niebieskiego niespiesznie przepłynęły rozpostarte skrzydła, od których odrywały się czerwone błyskawice wystrzałów.

Znowu próbowałem paść na ziemię, ale to było niemożliwe, ludzie wokół mnie sterczeli jak słupy. Coś ohydnie zatrzeszczało blisko mnie, wzbil się kłęb żółto-zielonego dymu, okropnie zaśmierdziało. Pok! Pok! Jeszcze dwa kłęby zawisły nad placem. Tłum zawył i wreszcie się ruszył. Żółty dym gryzł jak gorczyca, pociekły mi łzy, zacząłem płakać i kasłać. Wokół mnie też się wszyscy rozplakali, zaczęli kasłać i ochryple wyć: "Bydlaki! Chuligani! Bij intelów!". Znowu dał się słyszeć narastający ryk silnika. Samolot wracał.

- Na ziemię, idioci! - krzyczałem. Wszyscy wokół poupadali na siebie. Tra ta ta ta ta!... Tym razem cekaemista chybił i seria trafiła w dom naprzeciwko, ale bomby gazowe spadły prosto na cel. Światła wokół placu zgasły, zgasł niebieski plafon i w ciemności zaczęła się bijatyka.

7.

Nie wiem, jak udało mi się dotrzeć do tej fontanny. Może mam zdrowe instynkty, a zwykła zimna woda to było właśnie to, czego potrzebowałem. Wszedłem do wody w ubraniu i położyłem się. Od razu poczułem ulgę. Na twarz spadały zimne bryzgi i to było bardzo przyjemne. W kompletnej ciemności przez gałązki i wodę świeciły niezbyt jasne gwiazdy. Panowała absolutna cisza. Przez kilka minut nie wiadomo po co obserwowałem najjaśniejszą gwiazdę, powoli sunącą po niebie, dopóki nie uświadomiłem sobie, że to retranslacyjny sputnik Europa, i pomyślałem, jak to tak daleko stąd, i jakie to przykre i bez sensu, jeśli przypomnieć sobie zamęt na placu, ohydne przekleństwa i piski, charkot gazowych bomb, odór padliny wywracający żołądek i płuca na drugą stronę. Przypomniałem sobie: "Rozumiejąc wolność jako pomnażanie i rychle zaspokajanie potrzeb, wypaczają swoją naturę, albowiem rodzą w sobie wiele bezsensownych i głupich pragnień, nawyków i wymysłów". Niezastąpiony Peck uwielbiał cytować starca Zosimę, gdy krążył wokół nakrytego stołu, zacierając ręce. Wtedy byliśmy smarkatymi studentami i zupełnie poważnie myśleliśmy, że podobne wypowiedzi przydają się wyłącznie wtedy, gdy chcesz błysnąć erudycją i poczuciem humoru...

W tym momencie ktoś zwałił się w wodę dziesięć metrów ode mnie.

Najpierw kasłał, otrząsając się i smarkając. Pospiesznie wyszedłem z wody. Tamten człowiek zaczął się pluskać, na chwilę zupełnie ucichł i nagle zaczął sypać przekleństwami.

- Bezwstydne gnidy! - ryczał. - Świński gnój, ścierva... po żywych ludziach! Śmierzące hieny, szakale, sukinsyny... slegacze wykształcone, łobuzy... - Znowu się zawzięcie wysmarkał. - Dupa ich boli, jak się ludzie bawią... na twarzy mi stanęli, bydlaki... - Boleśnie palnął się w nos. - Żeby ich szlag trafił z tą dreszczką, niech mnie diabli, jeśli jeszcze raz tam pójde...

Znowu jęknął i wstał. Słysząc było, jak leje się z niego woda. Widziałem w mroku jego chwiejącą się postać. On też mnie zauważył.

- Ej, przyjacielu, nie masz papierosa? - zawołał.

- Miałem.

- Sukinsyny, ja też nie pomyślałem, żeby wyjąć. I ze wszystkim skoczyłem do wody. - Przyczłapał do mnie i usiadł obok. - Jakiś bałwan stanął mi na policzku - oznajmił.

- Po mnie też się przespacerowali - odparłem ze współczuciem. - Poszaleli wszyscy.

- Skąd oni biorą gaz łzawiący! - wykrzyknął. - 1 cekaemy!

- I samoloty - dodałem.

- Samoloty to pikuś! Samolot to i ja mam. Kupiłem za bezcen, siedemset koron...
Czego oni chcą? Nie rozumiem!

- Chuligani - powiedziałem - obić im mordę i po rozmowie...

Zaśmiał się gorzko.

- Jasne! Już taki jeden był!... Tak cię załatwią... Myślisz, że ich nie bili? Jeszcze jak bili! Ale widocznie za słabo... trzeba było w ziemię wbić razem z pomiotem, przegapiliśmy sprawę... a teraz to oni nas biją. Ludzie zrobili się miękcy, tyle ci powiem. Wszystkim to zwisa. Odbębnił swoje cztery godzinki, wypił i na dreszczkę, i wal do niego choćby z armaty.
- Z rozpaczą klepnął się po mokrych bokach. - A przecież były czasy, że nawet pisnąć nie śmieli! Jak tylko któryś słówko powiedział, nocą przyjdą do niego w białych prześcieradłach albo czarnych koszulach, dadzą w zęby i wpakują do obozu, żeby nie gadał... A w szkołach teraz, syn mi mówił, wszyscy krzyczą na faszystów: ach, Murzynów krzywdzili, ach, uczonych zaszczuli, ach, obozy, ach, dyktatura! A nie trzeba było szczuć, tylko w ziemię wbijać, żeby się już nie mogli rozmnażać! - Z chlupaniem przesunął dłonią pod nosem. - Jutro rano do pracy, a ja mam gębę wykrzywioną na drugą stronę... chodźmy się napić, jeszcze się przeziębimy...

Przedarliśmy się przez krzaki i wyszliśmy na ulicę.

- Tu za rogiem jest Łasuszka - oznajmił.

Łasuszka była pełna ludzi obnażonych do pasa i z mokrymi włosami. Wszyscy przygnębieni, jakby zmieszani, posępnie przechwalali się siniakami i ranami. Grupka dziewcząt w samych majteczkach skupiła się wokół kominka elektrycznego, suszyła spódniczki. Platonicznie poklepywano je po nagim ciele. Mój towarzysz od razu wbił się w tłum i wymachując rękami, co chwila smarkając w dwa palce, zaczął wzywać do "wbicia tych bydlaków w ziemię po same uszy". Inni niemrawo mu potakiwali.

Poprosiłem o rosyjską wódkę, a gdy dziewczęta ubrały się i odeszły, zdjąłem hawajkę i podszedłem do kominka. Barman postawił przede mną szklankę i znowu wrócił za bar do krzyżówki w grubym czasopiśmie. Klienci rozmawiali:

-...I po jakie licho, pytam, strzelać? Nie nastrzelali się jeszcze? Jak małe dzieci... tylko dobro niszczą.

- Bandy ci gorsi od gangsterów, tyle powiem, a cała ta dreszczka to też wyjątkowe świństwo.

- O, to na pewno. Moja córka mówi, ja cię wczoraj, tata, widziałam, mówi, niebieski byłeś jak trup, i taki straszny, a ona ma tylko dziesięć lat i jak ja mogłem spojrzeć dziecku w oczy, co?...

- Ej, ludzie! - zawołał barman, nie podnosząc głowy. - Rozrywka na cztery litery, co to może być?

-...No dobrze. Ale kto to wszystko wymyślił? Dreszczkę i aromaterię... No? Otóż właśnie...

- Jak przemokniesz, to najlepsza brandy...

- Czekaliśmy na niego na moście. Patrzymy, idzie okularnik i rurę taką niesie ze szklami. No tośmy go wzięli - i z mostu. Razem z okularami i tą rurą, tylko nogami zamajtał... a potem Nozdrze przylatuje, widać, już go ocucili, popatrzył z mostu, jak tamten bulgocze. Chłopaki, mówi, co wyście, pijani? Przecież to nie ten, tego pierwszy raz na oczy widzę...

- A według mnie trzeba wydać prawo: jak masz rodzinę, to nie łaż na dreszczkę...

- Ej, który tam! - zawołał znowu barman. - A jak będzie utwór literacki na siedem liter? Książka?...

- U mnie w plutonie było czterech intelów. Cekaemiści. Pamiętam, jakeśmy z magazynów uciekali, no, wiecie, tam teraz jeszcze fabrykę budują, i dwóch nas osłaniało. A przecież nikt ich nie prosił, sami się zgłosili. Potem wróciliśmy, patrzymy, a oni wiszą goli na mostowym dźwigu i wszystko mają rozpalonymi drutami powyciągane. Rozumiecie? A teraz sobie myślę, gdzie są dzisiaj dwaj pozostali?... Może to oni mnie poczęstowali gazem łzawiącym? Po takich można się wszystkiego spodziewać...

- Wielu wieszano... nas też wieszali.

- W ziemię ich wbić i po rozmowie!

- Idę. Nie ma co siedzieć... już mnie zgaga zaczęła palić. Tam już pewnie wszystko zreperowali...

- Hej, barman, dziewczynki! Ostatnia kolejka!

Moja hawajka wyschła. Ubrałem się i gdy kawiarnia pustoszała, usiadłem przy stoliku. W kącie dwóch elegancko ubranych mężczyzn w podeszłym wieku ciągnęło drinki przez słomkę. Od razu rzucali się w oczy - obaj, mimo bardzo ciepłej nocy, mieli na sobie czarne garnitury i czarne krawaty. Nie rozmawiali, a jeden ciągle spoglądał na zegarek. Pogrążyłem się w myślach i przestałem ich obserwować. Doktorze Opir, jak się panu podobała dreszczka? Był pan na placu? No tak, oczywiście, że pan nie był. A szkoda. Ciekaw jestem, co pan by o tym pomyślał. Zresztą do diabła z panem. Co mnie obchodzi, co myśli jakiś tam doktor Opir? Co ja sam o tym myślę? Co ty o tym myślisz, wysokogatunkowy surowcu fryzjerski? Chciałbym się wreszcie zaaklimatyzować. Nie nabijajcie mi głowy indukcją, dedukcją i chwytami technicznymi. Najważniejsza jest szybka aklimatyzacja... Poczuć się jak swój wśród swoich... A oni znowu poszli na plac. Mimo tego, co się stało,

znowu poszli. A ja nie mam najmniejszej ochoty tam iść. Ja z przyjemnością poszedłbym wypróbować swoje nowe łóżko. A kiedy do rybaków? Intele, devon i rybacy. Intele to zdaje się miejscowa złota młodzież. Devon... o devonie trzeba pamiętać. W połączeniu z Oscarem. A rybacy...

- Mimo wszystko rybacy to nieco wulgarne - odezwał się jeden z czarnych garniturów niegłośno, ale bynajmniej nie szeptem.

Nastawiłem uszu.

- Wszystko zależy od temperamentu - sprzeciwił się drugi. - Osobiście nie osądzam Karagana.

- Karagana i ja nie osądzam. Ale nieco szokuje mnie fakt, że on wycofał swój udział. Dżentelmeni tak nie postępują.

- Przepraszam, ale Karagan nie jest dżentelmenem. To tylko dyrektor wykonawczy. Stąd ta drobiazgowość i merkantylizm oraz pewne, powiedziałbym, schłopienie...

- Bądźmy bardziej wyrozumiali. Rybacy też są interesujący. I szczerze mówiąc, nie widzę powodów, dla których nie mielibyśmy się tym zajmować. Stare Metro to całkiem niezła propozycja. Wilde jest bardziej elegancki od Nivelu, ale przecież na tej podstawie nie rezygnujemy z Nivelu...

- I poważnie jest pan gotów?...

- Choćby zaraz. Właśnie, jest za pięć druga. Pójdziemy?

Wstali, uprzejmie i serdecznie pożegnali się z barmanem i poszli do wyjścia - elegancy, spokojni, pobłażliwie zrozumieli. Miałem zdumiewające szczęście. Ziewnąłem głośno i ze słowami: "Chyba pójde na plac..." poszedłem za tymi dwoma, odsuwając taborety. Ulica była prawie zupełnie ciemna, ale dostrzegłem ich od razu. Ten po prawej był niższy i gdy przechodził pod latarniami, mogłem zauważyć, że włosy ma miękkie i rzadkie. Chyba już więcej nie rozmawiali.

Ominęli skwer, skręcili w zupełnie ciemny zaułek, odsunęli się od pijanego człowieka, który próbował z nimi porozmawiać, i szybko, nie oglądając się, zanurzyli się w ogrodzie przed wielkim posepnym domem. Usłyszałem, jak huknęły ciężkie drzwi. Była za dwie druga.

Odsunąłem pijanego, wszedłem do ogrodu i usiadłem na pomalowanej srebrną farbą ławce w krzakach bzu. Ławka była drewniana, ścieżka biegnąca przez ogród posypana piaskiem. Wejście do budynku oświetlała niebieska żarówka, dojrzałem dwie kariatydy podtrzymujące balkon nad drzwiami. Nie przypominało to wejścia do metra, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Postanowiłem czekać.

Nie trwało to długo. Zaszleściły kroki i na ścieżce pojawiła się ciemna postać w pelerynce. Kobieta. Nie od razu zrozumiałem, dlaczego jej dumnie uniesiona głowa z wysoką cylindryczną fryzurą, w której błyszczały pod gwiazdami wielkie kamienie, wydała mi się znajoma. Stałem na ścieżce i powiedziałem, starając się nadać głosowi kpiącą i jednocześnie pełną szacunku intonację:

- Spóźnia się pani, madame, już po drugiej.

Wcale się nie przestraszyła.

- Co też pan mówi? Czyżby mój zegarek się spóźniał?

To była ta sama kobieta, która pokłóciła się z kierowcą furgonetki. Oczywiście nie poznała mnie. Kobiety z tak wzgardliwie wydetą dolną wargą nigdy nie pamiętają przypadkowych spotkań. Wziąłem ją pod rękę i weszliśmy po szerokich kamiennych schodkach. Drzwi były ciężkie jak pokrywa reaktora. W pustym westybulu kobieta, nie oglądając się, zrzuciła mi na rękę pelerynę i poszła przodem, a ja przystanąłem na chwilę, by przejrzeć się w ogromnym lustrze. Mistrz Gaoej znał się na swoim fachu, ale i tak powinienem trzymać się w cieniu. Wszedłem do sali.

To mogło być wszystko, tylko nie stacja metra - sala ogromna i staromodna, ściany obite hebanem. Na wysokości pięciu metrów biegła galeria z balustradą. Z ozdobionego freskami sufitu uśmiechały się samymi wargami różowe jasnowłose anioły. Niemal całą salę zajmowały rzędy miękkich foteli obitych wytłaczaną skórą, bardzo masywnych z wyglądu. W fotelach niedbale rozwaleni siedzieli elegancko ubrani ludzie, przeważnie starszawi mężczyźni. Wpatrywali się w głąb sali, gdzie na tle czarnego głębokiego aksamitu był podświetlony obraz.

Nikt nie zwrócił na nas uwagi. Dama przepłynęła do pierwszych rzędów, a ja usiadłem na fotelu jak najbliżej drzwi. Teraz byłem prawie pewien, że przyszedłem tutaj na próżno. W sali panowało milczenie, słychać było pokasływanie, z grubych cygar płynęły niebieskawe dymki, liczne łysiny lśniły pod elektrycznym żyrandolem. Odwróciłem się w stronę obrazu. Nie jestem znawcą malarstwa, ale moim zdaniem to był Rafael. Jeśli nawet nie oryginał, to doskonała kopia.

Rozległ się dźwięk miedzianego gongu i w tym samym momencie obok obrazu pojawił się wysoki chudy człowiek w czarnej masce, cały - od szyi po dłoń - obciążony czarnym trykotem. Za nim, kulejąc, podążał garbaty karzeł w czerwonym płaszczu. W krótkich wyciągniętych łapkach trzymał ogromny połyskujący miecz o bardzo złowieszczym wyglądzie. Zastygł po prawej stronie obrazu, a zamaskowany człowiek zrobił krok do przodu i głucho powiedział:

- Zgodnie z prawami i postanowieniami szlchetnego towarzystwa mecenasów, w imię sztuki świętej i niepowtarzalnej, władzą, daną mi przez wszystkich, rozważyłem historię i zalety tego obrazu. Teraz...

- Proszę się powstrzymać! - rozległ się za moimi plecami ostry głos.

Wszyscy się odwrócili. Ja też się odwróciłem i zobaczyłem, że wpatruje się we mnie trzech silnych, młodych ludzi w wyszukanych, staromodnych strojach. Jednemu na prawym oku błyszczał monokl. Przez kilka sekund patrzyliśmy na siebie, następnie mężczyzna z monoklem ruszył policzkiem i upuścił monokl. Wstałem, a oni jak na komendę ruszyli w moją stronę, stąpając miękko i bezszelestnie jak koty. Pomacałem fotel - był zbyt masywny. Mężczyźni skoczyli. Przywitałem ich, jak umiałem, i początkowo wszystko szło dobrze, ale szybko zrozumiałem, że oni mają kastety. Ledwie zdążyłem się uchylić. Przywarłem plecami do ściany. Obserwowali mnie, ciężko dysząc. Zostało ich jeszcze dwóch. W sali pokastywano. Z galerii po drewnianych schodach zbiegało czterech kolejnych mężczyzn, stopnie skrzypiały na całą salę.

Niedobrze! - pomyślałem i skoczyłem, żeby się przez nich przebić.

To była ciężka robota, podobnie jak kiedyś w Manili, ale tam było nas dwóch. Już wolałbym, żeby strzelali, wtedy mógłbym odebrać im pistolety. Ale cała szóstka powitała mnie kastetami i gumowymi pałkami. Na moje szczęście mieli bardzo mało miejsca. Lewa ręka odmówiła mi posłuszeństwa, gdy czterech nagle odskoczyło, a piąty chlusnął jakimś zimnym świństwem z płaskiej butli. I w tym momencie w sali zgasło światło.

Znałem tę sztuczkę - teraz oni mnie widzieli, a ja ich nie. I pewnie byłby to mój koniec, gdyby nie jakiś idiota, który w tym właśnie momencie otworzył drzwi na oścież i zahuczał basem:

- Proszę o wybaczenie, strasznie się spóźniłem, tak mi przykro...

Rzuciłem się w stronę światła, zbiłem z nóg spóźnialskiego, przeleciałem przez westybul, wybiłem drzwi frontowe i przytrzymując lewą rękę prawą, puściłem się pędem po piaszczystej dróżce. Nikt mnie nie gonił, ale mimo to przebiegłem jeszcze dwie ulice, zanim się zatrzymałem.

Padłem na trawnik i długo leżałem, chwytając ustami ciepłe, wonne powietrze. Od razu zebrali się ciekawscy gapie. Otoczyli mnie półkolem i patrzyli chciwie, nie mówiąc nic.

- Wynocha! - powiedziałem, wstając.

Rozeszli się pospiesznie, a jaostałem chwilę, próbując się zorientować, gdzie jestem. Potem powlokłem się do domu. Miałem dość wrażeń jak na jeden dzień. Bez względu na to, kim byli ci członkowie szlchetnego towarzystwa mecenasów - tajnymi miłośnikami sztuki,

niedobitymi arystokratami spiskowcami czy jeszcze kim innym - walczyli bez litości i największym idiotą w ich sali byłem najwyraźniej ja.

Minąłem plac, gdzie znowu zapalały się kolorowe plafony i tłum wrzeszczał historycznie: “Dreszczka, dreszczka!”. Tego też miałem dość. Przyjemne sny są przyjemniejsze od nieprzyjemnej rzeczywistości, ale przecież nie żyjemy we śnie... W restauracji, do której zaprowadziła mnie Wuzi, wypłem butelkę lodowatej wody mineralnej, popatrzyłem na policjantów stojących spokojnie przy barze, potem wyszedłem i skręciłem na Podmiejską. Za lewym uchem rosła mi gula wielkości piłki tenisowej. Szedłem powoli, trzymając się jak najbliżej ogrodzenia. Chwiałem się na nogach. Usłyszałem za plecami stuk obcasów i głosy.

- Twoje miejsce jest w muzeum, a nie w knajpie!

- Nic po-podobnego... wcale nie jestem pijany. Dlaczego pan nie rozumie, że to tylko jedna butelka...

- Co za ohyda! Upił się, poderwał pannę...

- Co ma do rze-rzeczy panna? To modelka...

- Bił się z powodu dziewczyny, zmusił nas, żebyśmy my się bili z powodu dziewczyny...

- Dlaczego pan wierzy im, a nie wierzy mnie?

- Bo jesteś pijany! Jesteś padalcem, takim samym jak oni, może nawet gorszym...

- Ja tego łajdaka z bransoletą dobrze zapamiętałem... Nie trzymajcie mnie! Sam pójdę!...

- Niczegoś, bracie, nie zapamiętał. Okulary ci zrzucili, a bez okularów jesteś jak ślepa kiszka... Nie brykaj, bo wrzucimy cię do fontanny!

- Uprzedzam, że jeszcze jeden taki numer i zostaniesz wyrzucony. Pijany kulturtreger, co za ohyda!

- Nie praw mu teraz morałów, daj się człowiekowi wyspać...

- Pa-patrzcie, chłopaki! To ten łajdak!

Ulica była pusta i wspomnianym łajdakiem musiałem być ja. Mogłem już zginać lewą rękę, ale nadal bolało. Stanałem, żeby ich przepuścić. Było ich trzech. Młodzi chłopcy w jednakowych kaszkietach nasuniętych na oczy. Jeden, mocny i przysadzisty, wyraźnie rozbawiony całym zajściem, bardzo mocno trzymał pod rękę drugiego, wielkogłowego, z luźnymi ruchami i nieoczekiwane gwałtownymi reakcjami. Trzeci, wysoki i chudy, z wąską ciemną twarzą, szedł opodal, trzymając ręce za plecami. Zrównując się ze mną, rozluźniony dryblas zdecydowanie wyhamował. Przysadzisty próbował ruszyć go z miejsca, ale na

próżno. Długi przeszedł jeszcze kilka kroków i też się zatrzymał, niecierpliwie oglądając się przez ramię.

- Mam cię, bydlaku! - wrzasnął pijany, próbując chwycić mnie za pierś wolną ręką.

Cofnąłem się do ogrodzenia.

- Ja pana nie zaczepiam - powiedziałem, zwracając się do przysadzistego.

- Przestań się wygłupiać - powiedział ostro wysoki z oddali.

- Ja cię do-dobrze zapamiętałem! - darł się pijany. - Przede mną nie uciekniesz! Już ja się z tobą policzę!

Szarpnięciami sunął w moją stronę, wlokąc za sobą przysadzistego, który wczepił się w niego jak policyjny buldog.

- To nie ten! - wołał przysadzisty, któremu było bardzo wesoło. - Tamten poszedł na dreszczkę, a ten jest trzeźwy...

- Mnie nie o-oszuka...

- Ostrzegam po raz ostatni, wyrzucimy cię!

- Przestraszył się, drań! Bransoletę zdjął!

- Przecież go nie widzisz! Przecież nie masz okularów, głupolu!

- Wszystko do-dobrze widzę!... A jeśli to nawet nie ten...

- Przestań wreszcie!

Wysoki w końcu podszedł i chwycił pijanego z drugiej strony,

- Niech pan idzie! - powiedział do mnie rozdrażniony. - Co pan, doprawdy, pijaka pan nie widział?

- O nie, mnie nie ucieknie!

Poszedłem swoją drogą. Do domu było już niedaleko. Towarzystwo ciągnęło się z tyłu.

- Ja go znam! Król przyrody... uchlał się, obił komuś mordę, sam oberwał i tyle mu wystarczy... Puśćcie mnie, dam w łeb...

- Widzisz, do czego doszedłeś, ciągniemy cię jak gangstera...

- Nie prowadźcie mnie!... Jak ja ich nienawidzę!... Dreszczki, wódki, baby... bezmózga galareta...

- Tak, tak, oczywiście, uspokój się... tylko się nie przewracaj.

- Dość tych pert... pretensji!... Mam dość waszego faryzeuszostwa! Pur... prytytanizmu... trzeba rozerwać! Strzelać! Zetrzeć z powierzchni ziemi!

- Oho, ale się udźgał! A już myślałem, że przetrzeźwiał trochę.

- Jestem trzeźwy! Wszystko pamiętam... dwudziestego ósmego... co, może nie?

- Siedz cicho, głupolu!

- Ciii! Taa jest! Wróg nie śpi! Chłopaki, tu gdzieś był szpicel... przecież z nim rozmawiałem... bransoletę, bydlak, zdjął... ale ja tego kabla jeszcze do dwudziestego ósmego...

- Bądź wreszcie cicho!

- Ciii! Ani słowa więcej... nie martwcie się, miotacze min są przy mnie.

- Zaraz uduszę tego padalca.

- We wrogów cywilizacji!... Półtora tysiąca litrów gazu łzawiącego - osobiście... sześć sektorów... eek!

Byłem już przed bramą swojego domu. Jak się obejrzałem, pijany leżał twarzą do ziemi, przysadzisty siedział nad nim w kucki, a wysoki pocierał krawędź lewej ręki dłonią prawej.

- No i dlaczego to zrobiłeś? - zapytał przysadzisty. - Zrobiłeś mu krzywdę.

- Wystarczy tego gadania - powiedział wysoki wściekle. - Nigdy nie oduczymy się gadać. Nigdy nie oduczymy się pić wódki. Wystarczy.

Błądzimy jak dzieci we mgle, doktorze Opir, pomyślałem, starając się bezszelestnie sunąć przez podwórko. Przytrzymałem skrzydła bramy, żeby nie trzasnęły.

- A gdzie tamten? - zapytał wysoki, ściszej głoś. - Kto?

- Ten typ, który szedł przed nami...

- Skręcił gdzieś...

- Zauważyłeś gdzie?

- Nie myślałem o nim!

- Szkoda. No dobra, bierz go i idziemy.

Stałem w cieniu jabłoni i patrzyłem, jak wloką pijanego obok bramy. Pijany strasznie charczał.

W domu było cicho. Poszedłem do siebie, rozebrałem się i wziąłem ciepły prysznic. Hawajka i szorty śmierdziały gazem, były pokryte tłustymi plamami świeżącego się płynu. Wrzuciłem je do utylizatora. Obejrzałem się w lustrze i znowu zdumiałem się, że tak ulgowo mi przeszło: guz za uchem, porządny siniak na lewym ramieniu i kilka śladów na żebrach. I obtarte dłonie.

Na szafce nocnej znalazłem wiadomość, w której serdecznie proponowano mi wpłacenie pieniędzy za mieszkanie za pierwsze trzydzieści dni. Suma była wysoka, ale do zniesienia. Odliczyłem kilka kredytek i wsunąłem je do przezornie przygotowanej koperty, a następnie położyłem się na łóżku, podkładając zdrową rękę pod głowę. Pościel była chłodna,

trzeszcząca świeżością, przez otwarte okno wpadało słone morskie powietrze. Nad uchem przytulnie syczał fonor. Miałem zamiar chwilę pomyśleć, ale byłem zbyt wykończony i szybko zasnąłem.

Coś mnie obudziło. Otworzyłem oczy i zacząłem czujnie nasłuchiwać. Gdzieś niedaleko ktoś płakał albo śpiewał wysokim dziecięcym głosem. Ostrożnie wstałem i wysunąłem głowę za okno. Ktoś cienkim, zrywającym się głosem mamrotał:

- W trumnach pobyli, wychodzili i żyli, jako żywi pomiędzy żywymi...

Dało się słyszeć pochlipywanie. Z daleka, niczym brzęczenie komara, dobiegało: "Dreszczka, dreszczka!". Znowu odezwał się żałosny głos:

- Krew z ziemią mieszają, nie pojedzą...

Pomyślałem, że to pijana Wuzi płacze i zawodzi w swoim pokoju na górze.

- Wuzi! - zawołałem półgłosem.

Nikt się nie odezwał. Cienki głos wykrzyknął:

- Odejdź od włosów moich, odejdź od mięsa mojego, odejdź od kości moich!

Już wiedziałem kto to. Wlazłem na parapet, zeskoczyłem na trawę i wszedłem do ogrodu, nasłuchując pochlipywań. Pomiędzy drzewami zamajaczyło światło, szybko natrafiłem na garaż. Brama była uchylona i zajrzałem do środka. Tam stał ogromny lśniący opel. Na stoliku paliły się dwie świece. Pachniało aromatyczną benzyną i gorącym woskiem.

Pod świecami, na ławce siedział Len w białej koszuli do pięt i boso, z grubą, zaczytaną książką na kolanach. Szeroko otwartymi oczami patrzył na mnie, a jego biała twarz zmartwiała z przerażenia.

- Co ty tu robisz? - zapytałem głośno i wszedłem.

Patrzył na mnie w milczeniu, potem zaczął drżeć. Usłyszałem, jak stukają jego zęby.

- Len, przyjacielu, nie poznałeś mnie? To ja, Iwan.

Upuścił książkę i wcisnął ręce pod pachy. Podobnie jak dzisiaj rano, jego twarz pokryta była potem. Usiadłem obok chłopca i objąłem go. Oparł się o mnie bezsilnie. Cały się trząsał. Spojrzałem na książkę. Niejaki doktor Nef uszczęśliwił ludzkość "Wstępem do wiedzy o zjawiskach nekrotycznych". Kopniakiem posłałem książkę pod stolik.

- Czyj to samochód? - zapytałem głośno.

- Ma-mamy...

- Wspaniały ford.

- To nie ford. To opel.

- Rzeczywiście, opel... pewnie wyciąga ze dwieście mil, co?

- Tak.

- A skąd wytrzasnąłeś świece?

- Kupilem.

- Naprawdę? Nie miałem pojęcia, że w naszych czasach można gdzieś zdobyć świece.

A co, żarówka się przepaliła? Wyszedłem do sadu zerwać jabłko, patrzę, a tu światło w garażu...

Przywarł do mnie ciasno i powiedział szeptem:

- Niech... niech pan jeszcze nie idzie.

- Dobrze. A może zgasimy światło i pójdziemy do mnie?

- Nie, tam nie można.

- Gdzie nie można?

- Do pana. Do domu nie można - mówił z ogromnym przekonaniem. - I jeszcze długo nie będzie można. Dopóki nie zasną.

- Kto?

- Oni.

- Jacy oni?

- Oni. Słyszysz pan?

Wyteżyłem słuch, ale usłyszałem tylko, jak szeleszczą poruszane wiatrem gałązki, jak gdzieś bardzo daleko ludzie wrzeszczą: "Dreszczka, dreszczka!".

- Nic szczególnego nie słyszę - powiedziałem.

- To dlatego, że pan ich nie zna. Jest pan tutaj nowy, a oni nowych nie ruszają.

- A kim są ci oni?

- Wszyscy oni. Widział pan tego typu z guzikami?

- Petiego? Widziałem. A dlaczego typu? Moim zdaniem to całkiem sympatyczny człowiek...

Len zerwał się.

- Chodźmy - wyszeptał. - Pokażę panu. Tylko cicho.

Wyszliśmy z garażu, podkradliśmy się do domu i ominęliśmy róg. Len przez cały czas trzymał mnie za rękę. Dłoń miał chłodną i mokrą.

- Niech pan patrzy - powiedział.

Rzeczywiście, widok był straszny. Na werandzie gospodarzy, wysuwając nienaturalnie wykręconą głowę przez poręcz, leżał mój celnik. Rzęciowe światło z ulicy padało na jego twarz - niebieską, opuchniętą i pokrytą ciemnymi plamami. Przez uchylone powieki widać było zamglone, zezujące w stronę nosa oczy.

- Chodzą w świetle dnia niczym żywi pomiędzy żywymi - mamrotał Len, trzymając mnie obiema rękami. - Kiwiają głowami i uśmiechają się, ale w nocy bledną jak trupy, a krew pojawia się im na twarzy...

Podszedłem do werandy. Celnik był w piżamie i dyszał ochryple. Poczułem zapach koniaku. Twarz miał całą we krwi, można by pomyśleć, że upadł mordą w rozbite szkło.

- Po prostu jest pijany - powiedziałem głośno. - Zwykły pijany człowiek. I chrapie. Przykry widok.

Len pokręcił głową.

- Jest pan nowy - wyszeptał. - Nic pan nie widzi. A ja widziałem - znowu go zatrzęsło. - Dużo ich przyszło... to ona ich przyprowadziła... i przynieśli ją... świecił księżyc. Odpisowali jej czaszkę. A ona krzyczała, tak krzyczała... a potem zaczęli jeść łyżkami. I ona jadła, i wszyscy się śmiali, że ona tak krzyczy i szarpie się...

- Kto? Kogo?

- A potem przywalili ją drewnem i spalili... i tańczyli przy ognisku... a potem wszystko zakopali w ogrodzie... ona jechała po łopatę samochodem... wszystko widziałem... chce pan? Pokażę, gdzie zakopali.

- Wiesz co, przyjacielu - powiedziałem. - Chodźmy do mnie.

- Po co?

- Spać, a po co. Wszyscy już dawno śpią, tylko my tu gadamy.

- Nikt nie śpi. Jest pan zupełnie nowy. Nikt teraz nie śpi. Teraz nie wolno spać.

- Chodźmy, chodźmy - powtórzyłem. - Chodźmy do mnie.

- Nie pójdę - zaparł się. - Niech mnie pan nie dotyka. Nie wymieniałem pańskiego imienia.

- Zaraz wezmę pas i spiorę ci tyłek!

To go chyba trochę uspokoiło. Znowu chwycił moją rękę i zamilkł.

- Chodźmy, przyjacielu. Będziesz spał, a ja posiedzę przy tobie. Jak tylko coś się stanie, od razu cię obudzę.

Weszliśmy przez okno do mojej sypialni (wejścia przez drzwi Len odmówił stanowczo) i położyłem chłopca do łóżka. Miałem zamiar opowiedzieć mu bajkę, ale usnął od razu. Twarz miał zmęczoną, podrygiwał we śnie. Przysunąłem fotel do okna, owinąłem się pledem i wypaliłem papierosa, żeby się uspokoić. Próbowałem myśleć o Rimeierze, rybakach, do których w końcu nie dotarłem, o tym, co miało się wydarzyć dwudziestego ósmego, o mecenasach, ale nic z tego nie wychodziło i to mnie denerwowało. Denerwowało mnie, że w

żaden sposób nie mogę pomyśleć o swoim zadaniu jak o czymś ważnym. Myśli rozbiegały się, włączały się emocje i ja nie tyle myślałem, ile odczuwałem. Czułem, że nie przyjechałem tu na próżno, a jednocześnie że przyjechałem tu po coś innego, niż początkowo myślałem.

Len spał. Nie obudził się nawet wtedy, gdy przed bramą zaterkotał silnik, trzasnęły drzwiczki samochodu, ktoś wrzeszczał, śmiał się i rechotał, i już pomyślałem, że przed domem popełniane jest przestępstwo, ale to tylko wróciła Wuzi. Nucąc wesoło, zaczęła się rozbierać w ogrodzie, niedbale rozwieszając na jabłoniach spódnice, bluzkę i inne części garderoby. Mnie nie zauważyła, weszła do domu, pokręciła się trochę u siebie na górze, upuściła coś ciężkiego i wreszcie ucichła. Dochodziła piąta. Nad morzem zapalała się zorza.

8.

Gdy się obudziłem, Lena już nie było. Ramię tak mnie rwało, że ból promieniował aż do skroni. Obiecałem sobie, że będę chodził ostrożnie. Stękając, chory i żalony, zrobiłem coś na kształt porannej gimnastyki, jakoś się umyłem, wziąłem kopertę z pieniędzmi i poszedłem do cioci Wajny, przechodząc przez swoje drzwi bokiem. W holu zatrzymałem się niezdecydowanie. W domu panowała absolutna cisza i nie byłem pewien, czy gospodyni już wstała. Wtedy drzwi prowadzące na połowę gospodarzy otworzyły się i do holu wyszedł celnik Peti. No wiecie państwo, pomyślałem. W nocy Peti przypominał zapijaczonego topielca. Teraz, w świetle dnia, wyglądał na ofiarę chuliganów. Dolną część twarzy miał zalaną krwią. Świeża krew lśniła na podbródku niczym lak. Peti trzymał pod szczęką chusteczkę do nosa, żeby nie upaćkać swojego śnieżnobiałego munduru ze sznurami. Twarz miał spiętą, oczy rozbiegane, ale w sumie trzymał się dość pewnie, jakby walenie mordą w tłuczone szkło było dla niego czymś absolutnie normalnym. O, to tylko taki chwilowy dyskomfort, każdemu się może zdarzyć, drodzy państwo, nie zwracajcie uwagi, zaraz wszystko będzie w porządku...

- Dzień dobry - wymamrotałem.

- Dzień dobry - uprzejmie, nieco nosowo odezwał się on, ostrożnie dotykając chusteczką podbródka.

- Coś się panu stało? Może pomóc?

- Drobiazg. Krzesło się przewróciło.

Sklonił się grzecznie i omijając mnie, niespiesznie wyszedł z domu. Z bardzo nieprzyjemnym uczuciem odprowadziłem go wzrokiem, a gdy znowu odwróciłem się do drzwi, ujrzałem przed sobą ciocię Wajnę. Tkwiała w drzwiach, z gracją opierając się o futrynę, świeża, różowa, pachnąca, i patrzyła na mnie tak, jakbym był generałem pułkownikiem Tuurem, a przynajmniej sztab-majorem Polem.

- Dzień dobry, ranny ptaszku - zagruchała. - A ja się zastanawiam, kogóż to słysząc w domu o tak wczesnej porze?

- Nie odważyłem się niepokoić pani - powiedziałem, kłaniając się salonowo i w myślach wyjąc z bólu, który przeszył ramię. - Dzień dobry, pozwoli pani, że wręczę...

- Jak miło! Od razu poznać prawdziwego dżentelmena. Generał pułkownik Tuur zawsze powtarzał, że na prawdziwego dżentelmena nikt nigdy nie musi czekać. Nikt. Nigdy...

Zauważyłem, że ona powoli, ale z dużą stanowczością odsuwa mnie od swoich drzwi. W salonie panował półmrok, najwyraźniej rolety były spuszczone, a w holu pachniało czymś słodkim.

- Ależ doprawdy, nie ma powodu do pośpiechu. - W końcu wysunęła się na dogodną pozycję i płynnym, niedbałym ruchem zamknęła drzwi. - Jednak może pan być pewien, że umiem docenić pańską przezorność... Wuzi jeszcze śpi, a ja muszę szykować Lena do szkoły, więc wybaczy pan... Aha, świeże gazety znajdzie pan na werandzie.

- Dziękuję pani - powiedziałem, odchodząc.

- Jeśli będzie pan miał ochotę, za godzinkę zapraszam na filiżankę śmietanki.

Skłoniłem się.

- Niestety, będę musiał wyjść.

Gazet było sześć. Dwie miejscowe, ilustrowane, grube jak almanachy, jedna stołeczna, dwa eleganckie dzienniki i nie wiedzieć czemu arabska "El Gunya". "El Gunyę" odłożyłem, pozostałe przejrzałem, zagryzając wiadomości kanapkami i zapijając gorącym kakao.

W Boliwii wojska rządowe po zaciekłych walkach zdobyły miasto Reies, buntownicy zostali odepchnięci za rzekę Beni. W Moskwie, na międzynarodowym kongresie fizyków jądrowych, Haggerton i Sołowiew zaprezentowali projekt instalacji technicznej przeznaczonej do otrzymywania antycząsteczek. Galeria Tretiakowska przybyła do Leopoldville, oficjalne otwarcie nastąpi jutro. Z bazy Stary Wschód (Pluton) w strefę lotu bezwładnościowego wystrzelono kolejną serię kapsuł bezzałogowych, z dwiema z nich łączność została utracona. Sekretarz generalny ONZ skierował do generalissimusa Orelianos oficjalną notę, w której uprzedza, że w przypadku powtórnego użycia przez ekstremistów granatów atomowych w Eldorado, wprowadzone zostaną siły policyjne ONZ. U źródeł rzeki Kuando (Angola Środkowa) ekspedycja archeologiczna Akademii Nauk OAR odnalazła pozostałości budowli powstałych, jak sądzą uczeni, na długo przed epoką lodowcową. Grupa specjalistów Zjednoczonego Centrum Badań nad Strukturami Subelektronicznymi (ritrinitywnymi) ocenia znajdujące się w posiadaniu ludzkości zapasy energii jako wystarczające na trzy miliardy lat. Wydział kosmiczny UNESCO oznajmia, że stosunkowy przyrost ludności pozaziemskich baz i przyczółków zbliża się do przyrostu ludności na Ziemi. Przewodniczący angielskiej delegacji ONZ w imieniu Wielkich Mocarstw wystąpił z projektem absolutnej demilitaryzacji, nawet na drodze siły, nadał zmilitaryzowanych części kuli ziemskiej...

Informacje o tym, kto ile podniósł kilogramów oraz kto i do czyich bramek wbił ile goli, pominąłem. Z lokalnych wiadomości zainteresowały mnie trzy.

Miejscowa gazeta, "Radość Życia", pisała: "Tej nocy grupa przestępców na prywatnym samolocie znowu dokonała nalotu na plac Gwiazdy, wypełniony odpoczywającymi obywatelami. Chuligani wypuścili kilka serii z cekaemu i zrzucili jedenaście bomb gazowych. W efekcie paniki kilkanaście kobiet i mężczyzn odniosło poważne obrażenia. Zasłużony odpoczynek setek porządných obywateli został zakłócony przez nikczemną grupę inteligentów bandytów, przy jawnym pobłażaniu policji. Przedstawiciel towarzystwa »Za Starą Dobrą Ojczyznę przeciwko Szkodliwym Wpływowom« oznajmił naszemu korespondentowi, że społeczeństwo planuje wziąć sprawę ochrony zasłużonego wypoczynku obywateli w swoje ręce. Przewodniczący dał niedwuznacznie do zrozumienia, kogo naród uważa za źródło szkodliwej zarazy, bandytyzmu i zmilitaryzowanego chuligaństwa".

Na dziesiętnastej stronie gazeta wydzieliła szpaltę dla artykułu "wybitnego przedstawiciela filozofii najnowszej, laureata nagród państwowych, doktora Opira". Artykuł nosił tytuł: "Beztroski świat". Doktor Opir pięknymi słowami, w sposób bardzo przekonujący uzasadniał potęgę nauki, wzywał do optymizmu, piętnował posępnych sceptyków czarnowidzów i wzywał do "bycia dziećmi". Szczególną rolę w kształtowaniu się psychiki współczesnego (to znaczy beztroskiego) człowieka przydawał metodom falowej psychotechniki. "Przypomnijmy sobie, jaki wspaniały ładunek rzeźwości i dobrego humoru daje nam jasny, szczęśliwy, radosny sen!" - wykrzykiwał przedstawiciel filozofii najnowszej. "Nic też dziwnego, że sen, jako środek leczenia wielu chorób psychicznych, znany jest od ponad stu lat. A przecież wszyscy jesteśmy w jakimś stopniu chorzy - chorzy od trosk, przytłaczają nas uciążliwe drobiazgi dnia codziennego, rzadkie co prawda, ale gdzieś jeszcze zachowane i czasem spotykane niedoróbki, nieuniknione tarcia pomiędzy indywidualnościami, naturalne, zdrowe niezaspokojenie seksualne i niezadowolenie z siebie, tak właściwe każdemu obywatelowi... Podobnie jak aromatyczny badusan zmywa kurz drogi ze zmęczonego ciała, tak radosny sen obmywa i oczyszcza udręczoną duszę. Niestraszne nam teraz żadne troski i niedoróbki. Albowiem wiemy - nadejdzie godzina i niewidoczne promieniowanie generatora snu, który wraz z narodem skłonny jestem nazwać czułym mianem »dreszczka«, wyleczy nas, napełni optymizmem, przywróci radosne odczucie bytu". Dalej doktor Opir wyjaśniał, że dreszczka jest absolutnie nieszkodliwa pod względem fizycznym i psychicznym, że ataki nieżyczliwych ludzi, dostrzegających w dreszczce podobieństwo do narkotyków, demagogicznie mówiących o "drzemiącej ludzkości", mogą budzić w nas zdumienie, a może nawet wyższe, groźne dla nieżyczliwych uczucia obywatelskie. Na zakończenie doktor Opir oświadczył, że szczęśliwy sen to najlepszy środek

walki z alkoholizmem i narkomanią, i nalegał, by nie łączyć dreszczki z innymi (nieznajdującymi aprobaty medycyny) środkami falowej stymulacji.

Tygodnik "Złote Dni" donosił, że z Państwowej Galerii Obrazów skradziono płótno, którego autorem jest, zdaniem specjalistów, Rafael. Tygodnik zwracał uwagę kompetentnym organom, że to już trzeci przypadek w ciągu ostatnich czterech miesięcy bieżącego roku i że żadne z wcześniej skradzionych dzieł sztuki nie zostało odnalezione.

Poza tym w tygodnikach nie było nic interesującego. Przejrzałem je, zrobiły na mnie nie najlepsze wrażenie. Gazety wypełnione były męczącymi dowcipami, fatalnymi karykaturami, wśród których szczególną głupotą były serie "Bez słów", biografie jakichś nieinteresujących ludzi, szkice z życia różnych warstw społecznych, koszmarne cykle "Twój mąż w pracy i domu", niekończące się dobre rady, jak zająć ręce, by przy tym, nie daj Boże, nie niepokoić głowy; namiętne, idiotyczne wypadki przeciwko pijaństwu, chuligaństwu i rozpuście, i znane mi już wezwania do wstępowania do kólek i chórów. Były wspomnienia uczestników zamętu i walk przeciwko gangsterom, poddane literackiej obróbce jakichś osłów pozbawionych sumienia i literackiego smaku, beletrystyczne ćwiczenia oczywistych grafomanów ze łzami, cierpieniami, wyczynami, heroiczną przeszłością i słodką przyszłością. No i mnóstwo krzyżówek, rebusów, zagadek...

Rzuciłem tę stertę makulatury w kąt. Co za udręka! Głaszczą idiotę, troskliwie hodują idiotę, popierają go, patronują mu i końca temu nie widać. Idiota stał się normą, jeszcze trochę, a stanie się ideałem i doktorowie filozofii będą z zachwytem pisać wokół niego w korowodach. A gazety tańczą w tych korowodach już teraz. Ach, jakiś ty wspaniały, idioto! Jakiś ty rzeński i zdrowy, idioto! Jaki z ciebie, idioto, optymista, jakiś ty mądry, jakie masz wyrafinowane poczucie humoru, jak wspaniale umiesz rozwiązywać krzyżówki!... Tylko ty się, idioto, nie denerwuj, wszystko jest takie wspaniałe, takie doskonałe, nauka jest do twoich usług, idioto, literatura również, a wszystko, żeby ci było wesoło, żebyś nie musiał o niczym myśleć... a różnych tam szkodliwie wpływających na ciebie chuliganów i sceptyków razem, idioto, rozniesiemy w pył! (Co, z tobą byśmy nie roznieśli?!). Bo czego ci chuligani właściwie chcą? Czy mają większe potrzeby niż inni? Nuda, nuda... To jakieś przekleństwo ludzkości, jakieś ohydne dziedzictwo grózb i zagrożeń. Imperializm, faszyzm... dziesiątki milionów zniszczonych istnień, skrzywionych losów... i miliony idiotów, którzy zginęli, złych i dobrych, winnych i niewinnych... ostatnie walki, ostatnie pucze, szczególnie okrutne, ponieważ ostatnie. Kryminaliści, oficerowie, którzy stają się okrutni z nudów, różni dranie z byłych wywiadów i kontrwywiadów. Znudzeni monotonią szpiegostwa gospodarczego, pragnący władzy... I trzeba było wrócić z kosmosu, wyjść z fabryk i laboratoriów, przywrócić

żołnierzy do szeregów. Poradziliśmy sobie. Wietrzyk szarpał kartki "Historii faszyzmu" pod nogami. Nie zdążyliśmy do woli rozkoszować się bezchmurnymi horyzontami, gdy z tych samych brudnych podwórek historii wychynęły niedobitki z obrzynami i samoróbkami kwantowych pistoletów, gangsterzy, gangsterskie szajki, gangsterskie korporacje i imperia... "Drobne, gdzieś gdzie zdarzające się nedoróbki..." - przekonywali i uspokajali doktorzy Opirowie, a w okna uniwersytetów leciały butelki z napalmem, bandy chuliganów zajmowały miasta, muzea płonęły jak świece. Dobrze. Odpychając łokciem doktorów Opirów, znowu trzeba było wrócić z kosmosu, wyjść z fabryk i laboratoriów, przywrócić żołnierzy do szeregów. Poradzić sobie. Znowu horyzonty są bezchmurne. I znowu wyleźli Opirowie, znowu zamruczały tygodniki i znowu z tych samych podwórek wyciekł gnój. Tony heroiny, cysterny opium, morza spirytusu... i jeszcze coś, co na razie nie ma nazwy... i znowu wszystko wisi na włosku, a idioci rozwiązują krzyżówki, tańczą flag i chcą jednego - żeby było wesoło. Ale ktoś gdzieś traci rozum, ktoś rodzi dzieci, kolejnych idiotów, ktoś dziwnie umiera w wannie, ktoś nie mniej dziwnie umiera u jakichś rybaków, a mecenas swojej namiętności do sztuki bronią kastetami... I tygodniki starają się przykryć to śmierdzące bagno kruchą jak marenga, mdlącą warstwą szczęśliwego gadulstwa, dyplomowany idiota wychwala słodkie sny, a tysiące niedyplomowanych idiotów z przyjemnością (żeby było wesoło i nie trzeba było o niczym myśleć) oddaje się snom jak pijaństwu... i znowu przekonuje się idiotów, że wszystko jest dobrze, że kosmos jest zdobywany w niebywałym tempie (i to jest prawda), że energii wystarczy na miliardy lat (i to też jest prawda), że życie staje się coraz bardziej interesujące i różnorodne (i to jest niewątpliwa prawda, ale nie dla idiotów), i szkalujący demagodzy (czytaj: ludzie myślący, że w naszych czasach jedna kropla gnoju może zarazić całą ludzkość, jak niegdyś piwne pucze przemieniły się w groźbę ogólnoswiatową), obcy interesom narodu, podlegają ogólnoswiatowemu osądowi... idioci i przestępcy... przestępcy idioci...

- Trzeba pracować - powiedziałem na głos. - Do diabła z melancholią... już my wam pokażemy sceptyków!

Muszę iść do Rimeiera. Ach, prawda, rybacy... dobra, do rybaków można będzie pójść później. Dość mam błędzenia we mgle i walenia na oślepie.

Wyszedłem na dwór i usłyszałem, jak na werandzie ciocia Wajna karmi Lena śniadaniem.

- Mamo, ja nie chcę!

- Jedz, synku, jedz, trzeba jeść... taki jesteś bladziuchny...

- Ale ja nie chcę! Takie ohydne glutu.

- Gdzie tu są jakieś glutiny? No, daj, ja zjem... Mmm... jakie smaczne! Tylko spróbuj, sam zobaczysz, jakie to dobre.

- Ale ja nie chcę! Jestem chory i nie pójdę dziś do szkoły.

- Len, co ty mówisz! Tak dużo opuszczasz...

- No i dobrze...

- Jak to dobrze! Dyrektor wzywał mnie już dwa razy. W końcu zapłacimy karę!

- No to zapłacimy...

- Jedz, synku, jedz... może się nie wyspałeś?

- Nie wyspałem się! I brzuch mnie boli, i głowa, i ząb... widzisz, o, ten...

Len mówił kapryśnym tonem, od razu wyobraziłem sobie jego wydęte wargi i kiwającą się stopę w skarpetce. Wyszedłem za bramę. Dzień znowu był jasny, słoneczny, ćwierkały ptaki. O tej wczesnej porze w drodze do Olimpika spotkałem tylko dwóch ludzi. Szli skrajem chodnika. Niesamowicie, dziwnie wyglądali w tym świecie świeżej zieleni i jasnego nieba. Jeden wymalowany był jaskrawoczerwoną farbą, drugi jaskrawoniebieską. Spod farby przebijał pot. Oddychali z trudem, ustami, a oczy mieli nalane krwią. Mimo woli rozpiąłem wszystkie guziki koszuli i odetchnąłem z ulgą, gdy ci dwaj przeszli obok mnie.

W hotelu od razu wjechałem na ósme piętro. Byłem zdecydowany. Czy Rimeier tego chce, czy nie, będzie musiał opowiedzieć mi wszystko, co mnie interesuje. Zresztą teraz Rimeier jest mi potrzebny nie tylko do tego. Potrzebny mi jest słuchacz, a w tym słonecznym domu wariatów szczerze porozmawiać mogłem tylko z Rimeierem. Co prawda, to nie był ten Rimeier, na którego liczyłem, ale z tym też dałoby się pogadać...

Przed drzwiami do pokoju Rimeiera stał rudy Oscar. Na jego widok zwoleń kroku. On w zadumie poprawił krawat, odchylił głowę i utkwiał wzrok w suficie. Wyglądał na zatroskanego.

- Cześć - powiedziałem. Musiałem przecież od czegoś zacząć.

Oscar poruszył brwiami, spojrzał na mnie i zrozumiałem, że mnie pamięta. Odezwał się powoli:

- Dzień dobry, dzień dobry.

- Pan również do Rimeiera?

- Rimeier bardzo źle się czuje - oznajmił. Stał tuż pod drzwiami i najwyraźniej nie miał zamiaru usunąć się z drogi.

- Jaka szkoda. Co mu dolega?

- Bardzo źle się czuje.

- Ajajaj... chciałbym go zobaczyć...

Podszedłem. Oscar nie miał najmniejszego zamiaru wpuszczać mnie do pokoju. Od razu zabolalo mnie ramię.

- Nie sądzę, żeby było to możliwe - powiedział z goryczą.

- Co też pan mówi? Naprawdę aż tak z nim źle?

- Trafił pan w sedno. Bardzo źle. Lepiej, żeby go pan nie niepokoił. Ani dzisiaj, ani żadnego innego dnia.

Chyba przyszedłem w samą porę, pomyślałem. Miejmy nadzieję, że nie za późno.

- Jest pan jego krewnym? - zapytałem bardzo serdecznie.

Wyszczrzył się.

- Jestem jego przyjacielem. Najbliższym przyjacielem w tym mieście. Można powiedzieć, przyjacielem z czasów dzieciństwa.

- Bardzo wzruszające. A ja jestem jego krewnym. Można nawet powiedzieć, bratem. Więc teraz razem wejźmy i razem zobaczymy, co dla biednego Rimeiera mogą zrobić jego przyjaciel i brat.

- Może brat zrobił już dla Rimeiera wystarczająco dużo?

- Co też pan mówi! Przyjechałem dopiero wczoraj.

- A nie ma pan tu przypadkiem innych braci?

- Jak mniemam, nie wśród pańskich przyjaciół - odparłem. - Rimeier to wyjątek...

Pletliśmy te brednie, a ja obserwowałem go uważnie. Nie wyglądał na zbyt zwinnego, nawet biorąc pod uwagę moje chore ramię. Ale przez cały czas trzymał ręce w kieszeniach i chociaż prawie miałem pewność, że nie będzie strzelał w hotelu, wolałem nie ryzykować. Tym bardziej że słyszałem o kwantowych pistoletach ograniczonego zasięgu.

Wiele razy zarzucano mi, że z mojej twarzy można doskonale wyczytać zamiary. A Oscar był, zdaje się, wystarczająco przenikliwy. Tyle że w kieszeniach nie miał nic odpowiedniego i niepotrzebnie trzymał w nich ręce. Odsunął się od drzwi i powiedział:

- Wejźmy.

Z Rimeierem rzeczywiście było niedobrze. Leżał na kozetce, przykryty zerwaną z okna zasłoną, i niezrozumiale bredził. Stół był przewrócony, zobaczyłem rozbitą butelkę w kałuży alkoholu i porozrzucane wszędzie zwinięte w kłębek części garderoby. Podszedłem do Rimeiera i usiadłem tak, żeby nie spuszczać wzroku z Oscara, który stanął przy oknie i oparł się o parapet. Rimeier miał otwarte oczy. Pochyliłem się nad nim.

- Rimeier - powiedziałem. - To ja, Iwan. Poznajesz mnie?

Patrzył mi tępo w twarz. Na jego podbródku pod szczeciną widniał świeży siniak.

- Ty już tam... - mamrotał. - Rybaków... żeby długo... nie bywa... nie gniewaj się... bardzo przeszkadzał... nie znoszę...

Bredził. Spojrzałem na Oscara. Słuchał chciwie, wyciągając szyję.

- Niedobrze jest, jak się budzisz... - mamrotał Rimeier. - Nikomu... budzić się. Zaczynają... wtedy się nie budzić...

Oscar nie podobał mi się coraz bardziej. Nie podobało mi się, że słucha bredzenia Rimeiera. Nie podobało mi się, że znalazł się tu przede mną. A najbardziej nie podobał mi się świeży siniak na podbródku Rimeiera. Ruda mordo, myślałem, patrząc na Oscara, jak się ciebie pozbyć?

- Trzeba wezwać lekarza - powiedziałem. - Dlaczego nie wezwał pan lekarza, Oscarze? Moim zdaniem to delirium tremens...

Od razu pożałowałem tych słów. Ku mojemu niemałemu zdumieniu, od Rimeiera wcale nie pachniało alkoholem. Oscar widocznie doskonale o tym wiedział. Uśmiechnął się:

- Delirium tremens? Jest pan pewien?

- Trzeba natychmiast wezwać lekarza - powtórzyłem. - I pielęgniarki.

Sięgnąłem do słuchawki. Momentalnie podskoczył do mnie i położył dłoń na mojej ręce.

- Dlaczego pan? - powiedział. - Lepiej ja wezwę. Pan jest tu nowy, a ja znam wspaniałego lekarza.

- Jakiego pan może znać lekarza... - zaprotestowałem, patrząc na obite kostki jego palców. To też był świeży ślad.

- Doskonały lekarz. Specjalista od białej gorączki.

- No widzi pan! - powiedziałem. - A może Rimeier wcale nie ma białej gorączki.:

Nagle odezwał się Rimeier:

- Tak kazałem... also sprach Rimeier... sam na sam ze światem...

Obejrzeliśmy się na niego. Mówił z wyższością, ale oczy miał zamknięte. Twarz w fałdach obwisłej szarej skóry sprawiała żalosne wrażenie. Bydlę, pomyślałem o Oscarze, i jeszcze ma czelność tu sterczeć. Nagle pojawił się w mojej głowie dziki pomysł, który w tym momencie wydał mi się najbardziej odpowiedni: powalić Oscara ciosem w splot słoneczny, związać i wyciągnąć z niego wszystko, co wie. A pewnie wie niejedno. Może nawet wszystko. Patrzył na mnie, a w jego bladych oczach były strach i nienawiść.

- Dobrze - powiedziałem. - Niech lekarza wezwie portier.

Oscar puścił moją rękę i zadzwoniłem do portiera. W oczekiwaniu na lekarza siedziałem przy Rimeierze, a Oscar chodził z kąta w kąt, przechodząc nad kałużą alkoholu.

Obserwowałem go kątem oka. Nagle pochylił się i podniósł coś z podłogi. Coś małego i kolorowego.

- Co to jest? - spytałem obojętnie.

Zawahał się, ale rzucił mi na kolana płaskie opakowanie z kolorową etykietką.

- Aha. - Popatrzyłem na Oscara. - Devon.

- Devon - potaknął. - Dziwne, że tu, a nie w łazience, prawda?

Cholera, pomyślałem. Jestem chyba zbyt zielony, żeby grać z nim w otwarte karty. Za mało wiedziałem.

- Nic w tym dziwnego - palnąłem na chybił trafił - przecież pan, zdaje się, rozpowszechnia to lekarstwo. To pewnie próbka, która wypadła z pańskiej kieszeni.

- Z mojej kieszeni? - zdziwił się. - A, ma pan na myśli, że ja... ale ja już dawno wypełniłem wszystkie polecenia i teraz po prostu wypoczywam - zamilkł na chwilę. - Niemniej, jeśli jest pan zainteresowany, mógłbym pomóc.

- To bardzo interesujące - powiedziałem. - Zasięgnę rady...

Niestety, w tym momencie drzwi się otworzyły i wszedł lekarz w towarzystwie dwóch pielęgniarek.

Lekarz okazał się bardzo zdecydowanym człowiekiem. Gestem odsunął mnie z kozetki i odrzucił zasłonę, którą był przykryty Rimeier. Jak się okazało - zupełnie nagi.

- No jasne - powiedział lekarz. - Znowu. - Uniósł Rimeierowi powieki, odsunął dolną wargę, pomacał puls. - Siostrzo, kordeina... i wezwijcie pokojówki, niech wylizają tę stajnię do błysku... - Wyprostował się i popatrzył na nas. - Krewni?

- Tak - odparłem. Oscar milczał.

- Znaleźliście go nieprzytomnego?

- Leżał i bredził - rzekł Oscar.

- To pan go tu przeniósł?

Oscar zawahał się.

- Tylko przykryłem go zasłoną. Jak przyszedłem, on już leżał tak jak teraz. Bałem się, że się przeziębi.

Lekarz przyglądał mu się dłuższą chwilę.

- To bez znaczenia. Możecie iść. Obaj. Zostanie przy nim pielęgniarka. Wieczorem będziecie mogli zadzwonić. Wszystkiego dobrego.

- Co z nim, doktorze? - zapytałem.

Lekarz wzruszył ramionami.

- Nic szczególnego. Przemęczenie, wyczerpanie nerwowe... prócz tego najwyraźniej za dużo pali. Jutro będziecie mogli go zawieźć do domu. Pozostawanie u nas jest dla niego niewskazane. Tu jest zbyt rozrywkowo. Do widzenia.

Wyszliśmy na korytarz.

- Może pójdziemy się napić? - zaproponowałem.

- Zapomniał pan, że ja nie piję.

- Szkoda. Cała ta historia tak mnie zdenerwowała, że mam ochotę się napić. Rimeier zawsze był taki zdrowy.

- No, w ostatnim czasie bardzo się posunął - rzucił ostrożnie Oscar.

- To prawda, wczoraj z trudem go poznałem...

- Ja też - odparł Oscar. Nie wierzył ani jednemu mojemu słowu. Ja również mu nie wierzyłem.

- Gdzie się pan zatrzymał? - spytałem.

- Tutaj. Piętro niżej, pokój osiemset siedemnaście.

- Szkoda, że pan nie pije. Moglibyśmy posiedzieć u pana i porozmawiać.

- Tak, to byłby niezły pomysł. Niestety, bardzo się spieszę... Wie pan co, niech mi pan da swój adres, jutro rano wrócę i wstąpię do pana. Około dziesiątej. Odpowiada panu? Albo niech pan zadzwoni...

- Zadzwoń - powiedziałem i dałem mu swój adres. - Szczerze mówiąc, bardzo interesuje mnie devon.

Zbiegł po schodach. Chyba rzeczywiście się spieszył. A ja zjechałem windą i wysłałem telegram do Marii. "Z bratem bardzo źle czuję się samotny trzymam się iwan". Naprawdę czułem się samotny. Rimeier wypadł z gry - przynajmniej na dobę. Jedyna aluzja, jaką mi dał, to ta o rybakach. Nic konkretnego nie miałem. Byli rybacy w jakimś Starym Metrze, był devon, który, być może, jakimś bokiem przystawał do mojego zadania, ale równie dobrze mógł nie mieć z nim nic wspólnego, był Oscar, wyraźnie związany z devonem i Rimeierem, postać nieprzyjemna i złowieszcza, ale bez wątpienia zaledwie jedna z wielu nieprzyjemnych i złowieszczych postaci na tutejszych bezchmurnych horyzontach, był jakiś Buba, który wyposażył w devon porowaty nos... w końcu jestem tu dopiero dobę. Mam czas. Na Rimeiera jeszcze będzie można liczyć i może Pecka uda się odnaleźć... Przypomniałem sobie wczorajszą noc i posłałem telegram Zygmuntowi - "Koncert twórców amatorów dwudziestego ósmego szczegółów nie znam iwan". Potem zawołałem portiera i zapytałem, jak najszybciej dojść do Starego Metra.

9.

- Może przyjdzie pan wieczorem, teraz jest za wcześnie...

- Ja chcę teraz.

- Znaczy się, przypiliło... a może pomylił pan adres?

- Nie pomyliłem.

- I potrzebuje pan właśnie teraz?

- Właśnie teraz. Nie później.

Pocmokał językiem i poskubał dolną wargę. Był przysadzisty, mocny, a okrągłą głowę miał gładko ogoloną. Mówił, ledwie poruszając językiem, i wywracał oczami. Chyba się nie wyspał. Jego przyjaciel, siedzący za barierką w fotelu, też wyglądał na sennego. Ale on się nie odzywał, nawet nie patrzył w moją stronę. Pomieszczenie było posępne, zatęchłe, z odstającymi od ścian, wypaczonymi panelami. Pod sufitem na brudnym kablu wisiała brudna od kurzu żarówka bez abażuru.

- Ale czemu właściwie nie miałby pan przyjść później? - wymamrotał człowiek z okrągłą głową. - Wtedy gdy wszyscy przychodzą...

- Tak mi się jakoś zachciało - powiedziałem skromnie.

- Zachciało... - Poszperał na stole. - Nawet blankiety mi się skończyły... El, masz jeszcze blankiety?

El nachylił się i bez słowa wyciągnął spod barierki pomiętą kartkę papieru. Człowiek z okrągłą głową ziewnął.

- Przychodzi pan skoro świt... ludzi nie ma, dziewczyn też... jeszcze śpią... nikt się nie bawi... - Podał mi blankiet. - Proszę wypełnić i podpisać. Ja i El podpiszemy za świadków. Niech pan zda pieniądze... proszę się nie bać, u nas wszystko uczciwie... dokumenty pan jakieś ma?

- Żadnych.

- Chociaż tyle.

Spojrzałem na blankiet. "Niniejszym ja, niżej podpisany (puste miejsce) w obecności świadków (dużo pustego miejsca) proszę o poddanie mnie wstępnym próbom ubiegania się o tytuł członka Towarzystwa DOC. Podpis ubiegającego się. Podpisy świadków".

- Co to jest DOC? - zapytałem.

- To myśmy tak zarejestrowali - odparł okrągłogłowy. Przeliczał pieniądze.

- A to DOC się jakoś rozszyfrowuje?

- A kto go tam wie... to było, zanim przyszedłem... DOC to DOC... Nie wiesz, El? -
Zwrócił się do kolegi, ale El leniwie pokręcił głową. - No, naprawdę, czy to nie wszystko
jedno...

- Absolutnie wszystko jedno - powiedziałem, wstawiłem swoje nazwisko i podpisałem
się.

Okrągłogłowy popatrzył, też wpisał swoje nazwisko, podpisał się i przekazał blankiet
Elowi.

- Jest pan cudzoziemcem?

- Tak.

- To niech pan wpisze adres zamieszkania. Ma pan krewnych?

- Nie.

- To niech pan nie wpisuje. Gotowe, El? Włóż do teczki... No jak, idziemy?

Podniósł barierkę i poprowadził mnie do masywnych kwadratowych drzwi,
pozostałych zapewne z czasów, gdy stacja metra miała służyć jako schron atomowy.

- Dużego wyboru i tak nie ma - powiedział, jakby się usprawiedliwiając. Odciągnął
zasuwę i z wysiłkiem przekręcił zardzewiałą rączkę. - Pójdzie pan prosto korytarzem, a potem
to już pan sam zobaczy.

Wydawało mi się, że El zachichotał z tyłu. Odwróciłem się. W barierkę przed nim
wmontowany był niewielki ekran. Na ekranie coś się ruszało, ale nie zauważyłem co.
Okrągłogłowy, napierając z całych sił na klamkę, odsunął drzwi. Za nimi było zakurzone
przejście. Przez kilka sekund okrągłogłowy nasłuchiwał, po czym powtórzył:

- Prosto przed siebie, tym korytarzem.

- I co tam będzie?

- To co pan chciał. A może się pan rozmyślił?

To wyraźnie nie było to, o co mi chodziło, ale jak wiadomo, póki nie spróbujesz, poty
nie wiesz. Przekroczyłem wysoki próg i drzwi zamknęły się za mną z głośnym cmoknięciem.
Zgrzytnęły zasuwę. Korytarz oświetlało kilka ocalałych lamp. Było wilgotno, na
cementowych ścianach kwitła pleśń. Postąłem chwilę, nasłuchując, ale usłyszałem tylko
rzadki plusk kropli. Ostrożnie ruszyłem do przodu. Pod nogami zaskrzypiało betonowe
kruszywo. Korytarz skończył się szybko i znalazłem się w betonowym tunelu o łukowym
sklepieniu, prawie wcale nieoświetlonym. Gdy oczy przyzwyczyły się do półmroku,
dojrzałem zardzewiałe szyny i ciemniejące kałuże nieruchomej wody pomiędzy nimi. Pod
sklepieniem ciągnęły się wiszące kable.

Wilgoć przenikała do szpiku kości, unosił się ohydny odór - połączenie padliny z nieczynną kanalizacją. To stanowczo nie było to, czego szukałem. Nie miałem ochoty marnować czasu. Pomyślałem, że chyba zawrócę i powiem, że przyjdę innym razem, ale postanowiłem - z czystej ciekawości - przejść jeszcze kilka metrów. Poszedłem w prawo, w stronę światła odległych lamp. Przeskakiwałem przez kałuże, potykałem się o przegniłe podkłady, plątałem się w pozrywanych kablach. Przy pierwszej lampie znowu się zatrzymałem. Szyny były rozebrane. Podkłady walały się pod ścianami, a na pustej drodze ziały dziury wypełnione wodą. Szyny zobaczyłem dopiero po chwili. Nigdy jeszcze nie widziałem szyn w takim stanie. Niektóre były skręcone jak korkociąg. Wyczyszczono je do połysku i teraz przypominały gigantyczne wiertła. Inne z ogromną siłą wbito w ziemię i w ściany tunelu. A jeszcze inne powiązano w supły. Przeszył mnie dreszcz. Zwykle supły, supełki z kokardką, z dwiema kokardkami, jak na sznurowadłach przy butach... Wszystkie były błękitne od zgorzeliny.

Spojrzałem w głąb tunelu. Stamtąd ciągnęło zgnilizną, słabe żółte światła rzadkich lamp mrugały miarowo, jakby coś kołysało się w przeciągu, na przemian zasłaniając je i odsłaniając. Nerwy mi nie wytrzymały. Czułem, że to tylko idiotyczny dowcip, ale nie mogłem nic na to poradzić. Przykucnąłem i rozejrzałem się. Wkrótce znalazłem to, czego szukałem - metalowy pręt. Wziąłem go pod pachę i ruszyłem dalej. Żelazo było zimne, wilgotne i szorstkie od rdzy. Migotliwe światło dalekich lamp odbijało się od śliskich, błyszczących od wilgoci ścian. Już dawno zauważyłem na nich dziwne okrągłe zacieki, początkowo nie zwróciłem na nie uwagi, a teraz zainteresowałem się i podszedłem, żeby przyjrzeć się dokładniej. Po ścianie ciągnęły się dwa rzędy okrągłych śladów rozdzielonych metrowymi przerwami. Wyglądało to tak, jakby przebiegł tędy słoń, i to niezbyt dawno - na brzegu jednego ze śladów słabo ruszała się zmiażdżona biała stonoga. Wystarczy, pomyślałem, pora wracać. Popatrzyłem w górę. Teraz pod lampami widać było wyraźnie czarne, kołyszące się girlandy. Ująłem pręt wygodniej i poszedłem do przodu, trzymając się bliżej ściany.

To też robiło spore wrażenie. Pod sufitem tunelu ciągnęły się zwisające kable, a na nich, powiązane ogonami i zebrane w ciężkie najeżone kiście, kołysały się w przeciągu martwe szczury. Tysiące martwych szczurów. Drobne, wyszczerzone zęby błyszcząły ohydnie w półmroku, zeszywniałe łapki sterczały na wszystkie strony. Kiście połączone w ohydne girlandy znikwały w głębi tunelu. Gęsty, duszący smród unosił się pod sklepieniem i z wolna płynął tunelem, zwarty jak kisiel...

Rozległ się przenikliwy pisk i spod mojej nogi uskoczył ogromny szczur. Potem jeszcze jeden. I następny. Cofnąłem się. Szczury pędziły stamtąd, z ciemności, gdzie nie było żadnych lamp. Poczułem falę powietrza, również płynącego stamtąd. Wymacałem łokciem niszę w ścianie i wsunąłem się w nią. Po obcasami zatłukło się i rozwrzeszczało coś żywego. Nie patrząc, zamachnąłem się żelazną pałą. Szczury mnie nie interesowały - słyszałem, jak ktoś ciężko biegnie tunelem, pluskały kałuże. Niepotrzebnie się w to wszystko wmieszałem, pomyślałem. Żelazny pręt wydawał mi się lekki i żaloszny w porównaniu z zawiązanymi na supeł szynami... to nie latająca pijawka... i nie dinozaur z Kongo. Żeby tylko nie gigantopitek, cokolwiek, byle nie gigantopitek... Te osły są wystarczająco głupie, żeby złapać gigantopiteka i wrzucić do tunelu... poczułem pustkę w głowie i nieoczekiwanie pomyślałem o Rimeierze. Po co mnie tu przysłał? Co on, oszalał?... Żeby tylko nie gigantopitek...

Przemknął obok mnie tak szybko, że nie zdążyłem się zorientować, co to takiego. Tunel huczał od jego galopu. Potem gdzieś obok rozległ się rozpaczliwy pisk szczura i zapadła cisza. Ostrożnie wyrząłem z niszy. Stał dziesięć metrów ode mnie, pod lampą... poczułem tak ogromną ulgę, że aż nogi ugięły się pod mną.

- Kombinatorzy - powiedziałem na głos, omal nie płacząc. - Samouki dowcipnisie... Żeby wymyślić coś takiego! Talenty domorośle...

Usłyszał mój głos i zadzierając nogi, odezwał się:

- Temperaturka będzie ze dwa metry trzynaście cali, wilgoci nie ma. Nie ma i już...

Podszedłem bliżej.

- Melduj, jakie jest twoje zadanie.

Ze świstem wypuścił z przyssawek sprężone powietrze, bezmyślnie pomachał nogami i wbiegł na sufit.

- Złaż na dół - zażądałem - i odpowiadaj.

Wisiał nad moją głową wśród zapleśniałych kabli. Przeszarżały cyber. Przeznaczony do pracy na asteroidach, żaloszny i dziwaczny, pokryty strzępami karboksylowej korozji i kleksami czarnego podziemnego brudu.

- Złaż na dół! - warknąłem.

Rzucił we mnie zdechłym szczurem i pomknął w ciemność.

- Bazalty! Granity! - wył różnymi głosami. - Pseudomorficzne skały! Jestem nad Berlinem! Jak mnie słyszycie?! Pora spać!

Rzuciłem pręt i poszedłem za cyberem. Dobiegł do następnej lampy, zszedł na dół i zaczął szybko, jak pies, ryć beton manipulatorami roboczymi. Biedak, nawet w czasach świetności jego mózg był zdolny do pracy tylko w warunkach przyciągania wynoszącego

jedną setną ziemskiego. Teraz był zupełnie nieprzytomny. Pochyliłem się nad nim i zacząłem grzebać pod pancerzem, szukając ośrodka regulacji.

- Łajdaki! - powiedziałem. Ośrodek regulacji był zmiądzony, jakby ktoś walnął w niego młotem kowalskim.

Cyber przestał kopać i chwycił mnie za nogę.

- Stop! - krzyknąłem. - Przestań.

Przestał, położył się na bok i oznajmił basem:

- Jak ja mam cię dosyć, El... Napilibyśmy się brandy...

W jego wnętrzu pstryknęły styki i zagrała muzyka. Sycząc i poświstując, cyber wykonał "Marsz łowców". Patrzyłem na niego i myślałem, jakie to głupie i wstrętne, jakie śmieszne i straszne jednocześnie. Gdybym nie był astronautą, przestraszyłbym się i zaczął uciekać, i on prawie na pewno by mnie zabił... A przecież tutaj nikt nie wiedział, że byłem astronautą. Nikt. Ani jeden człowiek. Rimeier też o tym nie wiedział...

- Wstań - poleciłem.

Zabrzączał i zaczął drapać ścianę. Wtedy odwróciłem się i poszedłem z powrotem. Przez cały czas, idąc do zakrętu korytarza, słyszałem, jak hałasuje w stercie powykręcanych szyn, syczy spawarką elektryczną i papie coś na dwa głosy.

Atomowe drzwi były już otwarte. Przeszedłem przez próg i zatrzasnąłem je za sobą.

- I jak? - zapytał okrągłogłowy.

- Głupio - odparłem.

- Przecież nie wiedziałem, że pracował pan w kosmosie. Pracował pan w kosmosie?

- Pracowałem. Ale i tak głupio. Dla głupców. Dla niewykształconych egzaltowanych głupców.

- Dla jakich?

- Egzaltowanych.

- A... No, no, niech pan tak nie mówi. Wielu osobom się podoba. I w ogóle, przecież mówiłem, żeby pan przyszedł wieczorem. Dla samotników mamy niewiele rozrywek. - Nalał sobie whisky i dodał wody z syfonu. - Chce pan?

Wziąłem szklankę i oparłem się o barierkę. El z przyklejonym do ust papierosem spoglądał posępnie na ekran. Na ekranie widać było oślizgłe ściany tunelu, skręcone szyny, czarne kałuże, lecące ze spawarki iskry.

- To nie dla mnie - oznajmiłem. - W to niech się bawią księgowi i fryzjerzy. Nic do nich nie mam, ale ja potrzebuję czegoś takiego, czego jeszcze w życiu nie widziałem.

- Czyli sam pan nie wie, czego pan chce - stwierdził okrągłogłowy. - Ciężki przypadek. Przepraszam, nie jest pan czasem intelem?

- Czemu pan pyta?

- O, niech pan nie myśli, przed kostuchą wszyscy jesteśmy równi, sam pan wie. Ja tylko chciałem powiedzieć, że intele to najbardziej kapryśni klienci. Prawda, El? Jak przychodzi, dajmy na to, księgowy czy fryzjer, to on dobrze wie, czego chce. Chce, żeby krew szybciej krążyła, żeby mógł być z siebie dumny, żeby dziewczyny piszczały i klaskały, żeby mógł pokazać wszystkim dziurki na ciele... To proste chłopaki, każdy chce poczuć się mężczyzną. Bo kim jest nasz klient? Zdolności szczególnych nie ma, zresztą nie są mu potrzebne... Czytałem w jednej książce, że kiedyś ludzie przynajmniej mogli zazdrościć sobie nawzajem. Że sąsiad jak pączek w maśle, a ja to na lodówkę nie mogę uskladać... jak to tak może być? Trzymali się kurczowo różnego baracha, pieniędzy, dobrej posady... życie temu poświęcali! Kto miał mocną pięść albo trochę rozumu, ten był na górze! A teraz? Teraz życie jest tłuste i spokojne, wszystkiego pod dostatkiem. No i co mam robić? W końcu nie jestem karasiem, tylko człowiekiem, nudzi mi się, a nie umiem nic sam wymyślić. Bo żeby wymyślać, o, to już trzeba mieć szczególne zdolności! Trzeba górę książek przeczytać, a spróbuj czytać, jak cię od nich mdli... zostać sławą na skalę światową albo wymyślić jakąś maszynę, to przecież nie przychodzi do głowy tak od razu, a jeśli nawet przyjdzie, jaki z tego pożytek? Nikomu nie jesteś potrzebny, nawet - bądźmy szczerzy - żonie i dzieciom nie jesteś potrzebny. Prawda, El? I ty też nikogo nie potrzebujesz... No to teraz mądrzy ludzie wymyślają dla ciebie coś nowego, a to aromatercy, a to dreszczkę, a to nowy taniec... teraz nowego drinka wymyślili, nazywa się tchórz. Chce pan, to panu zrobię. On takiego tchórza łyknie, oczy mu wyjdą z orbit i już cały zadowolony... A póki oczy ma na swoim miejscu, życie jest dla niego jak deszczówka. Przychodzi do nas jeden intel i ciągle się skarży. Życie, mówi, chłopaki, jest takie jałowe... a gdy stąd wychodzę, czuję się jak bohater! Po, dajmy na to, "Kulce" czy "Jednym na dwunastu" zupełnie inaczej na siebie patrzę. Prawda, El? Wszystko znowu nabiera smaku - baby, żarcie, wino...

- Tak - pokiwałem głową ze współczuciem - doskonale pana rozumiem. Ale dla mnie to wszystko jest jałowe.

- Sleg mu potrzebny - odezwał się El basem.

- Co, co? - zapytałem.

- Sleg, mówię.

Okrągłogłowy się skrzywił.

- Daj spokój, El. Coś ty dzisiaj taki...

- Sram na niego - powiedział El. - Nie lubię takich... wszystko dla niego jałowe, nic mu nie pasuje...

- Niech pan go nie słucha - powiedział pojednawczo okrągłogłowy. - Całą noc nie spał...

- Nie, dlaczego? - sprzeciwiłem się. - To bardzo interesujące. Co to za sleg?

Okrągłogłowy znowu się skrzywił.

- To nieprzyzwoite, rozumie pan? - wyjaśnił. - Niech pan nie słucha Ela, to prosty chłopak, dobry, ale naubliżanie człowiekowi to dla niego pestka. A sleg to niedobre słowo. Teraz jacyś chuligani zaczęli je na murach pisać. Chuliganeria, co? Smarkacze, nawet nie rozumieją, co to takiego, a piszą... widzi pan, barierkę ostrugaliśmy... jakiś łobuz nabazgrał, jakbym go złapał, tobym mu uszy oderwał... Przecież u nas nawet kobiety bywają.

- Powiedz mu - zwrócił się El do okrągłogłowego - żeby sobie załatwił sleg i się uspokoił. Niech poszuka Buby...

- Zamknij się, El - rzekł okrągłogłowy surowo. - Proszę go nie słuchać.

Słyszając imię Buby, znowu nappełniłem szklankę i usiadłem wygodniej.

- I co to takiego jest? - zapytałem. - Jakiś tajny nałóg?

- Tajny! - zahuczał El basem i zaśmiał się nieprzyjemnie.

Okrągłogłowy też się roześmiał.

- U nas nie może być nic tajnego - wyjaśnił. - Jakie mogą być tajemnice, gdy naród od piętnastu lat donosi? Ci durni intełe wszystkie tajemnice nagłaśniają... chcą dwudziestego ósmego zamęt urządzić, szepczą, miotacze min za miasto pociągnęli, niby żeby schować, no dosłownie jak dzieci...

- Powiedz mu - prosty chłopak El nie dawał za wygraną. - Powiedz mu i niech zjeżdża do diabła. Nie broń go. Powiedz mu, niech idzie do Buby, do Oazy i koniec gadki.

Wyrzucił na barierkę mój portfel i blankiet. Dopilem whisky.

- Oczywiście, to pańska sprawa i zrobi pan, jak zechce - rzekł poważnie okrągłogłowy - ale ja panu radzę trzymać się z daleka. Możliwe, że wszyscy do slegu dojdziemy, ale im później, tym lepiej. Nie umiem wyjaśnić, tylko czuję, że do tego - jak do trumny - nigdy nie jest za późno, a zawsze za wcześnie.

- Dziękuję - powiedziałem.

- Jeszcze dziękuję! - zarechotał El. - Widziałeś kiedyś coś takiego? Jeszcze dziękuję!

- Trzy ruble zatrzymaliśmy - uprzedził okrągłogłowy. - A blankiet niech pan podrze. Albo nie, ja podrę. Bo jeszcze, nie daj Boże, coś się panu stanie, a potem policja przyczepi się do nas.

Schowałem portfel.

- Szczerze mówiąc, nie rozumiem, czemu nie zamkną waszego interesu.

- U nas wszystko jest uczciwie i szczerze - rzekł okrągłogłowy. - Nikt nikogo nie zmusza. A jak się coś stanie, sam jesteś sobie winien.

- Narkomanów też nikt nie zmusza - zaprotestowałem.

- Też pan znalazł porównanie! Narkotyki to wielki biznes, ogromna forsa...

- Dobrze, do widzenia. Dziękuję, chłopaki. Mówił pan, że gdzie znajdę Bubę?

- W Oazie - zahuczał El. - Taka kawiarnia. Zjeżdżaj.

- Jakiś ty uprzejmy, przyjacielu. Aż się człowiekowi ciepło na sercu robi.

- Zjeżdżaj, zjeżdżaj! - powtórzył El. - Intel śmierdzący.

- Nie denerwuj się tak, mój drogi - powiedziałem - bo jeszcze zaparcia dostaniesz.

Dbaj o żołądek, przecież nic dreszczszego od żołądka nie masz, prawda?

El zaczął się powoli wysuwać zza barierki. Wyszedłem. Znowu rozboleła mnie ramię.

Padał ciepły deszcz. Liście drzew błyszcząły mokro i wesoło, pachniało świeżością, ozonem i burzą.

Pojechałem taksówką. Miasto w deszczu było tak ładne, że robiło się nieprzyjemnie na samą myśl o zapleśniałym, śmierdzącym, porzuconym metrze.

Lało jak z cebra, więc wyskoczyłem z taksówki, jednym susem pokonałem chodnik i wpadłem do Oazy. Ludzi było dużo, prawie wszyscy jedli, barman za barem wioskował zupę, talerz postawił pomiędzy szklaneczkami do alkoholu. Ci, którzy już zjedli, palili, z roztargnieniem patrząc na ulicę przez zalaną wodą szybę. Podszedłem do baru i półgłosem zapytałem, czy jest Buba. Barman odłożył łyżkę i obejrzał salę.

- Nie - powiedział. - Niech pan zje obiad, on niedługo przyjdzie.

- Jak niedługo?

- Za jakieś dwadzieścia minut, może pół godziny.

- Aha. W takim razie coś zjem, a potem podejdę i pokaże mi go pan.

- Uhm - mruknął barman i zanurzył łyżkę w zupie.

Wziąłem tacę, wybrałem sobie obiad i siadłem przy oknie, jak najdalej od innych gości. Chciałem pomyśleć. Czuję, że materiału jest wystarczająco dużo, żeby zastanowić się wreszcie nad zadaniem. Chyba zarysował się jakiś łańcuszek. Opakowania devonu w łazience. Porowaty nos mówił o Bubie i devonie (szepem). Prosty dobry chłopak El mówił o Bubie i slegu. Wyraźny łańcuszek: łazienka, devon, Buba, sleg. Więcej. Opalony umięśniony facet ostrzegał, że devon i cała reszta to największe świństwo, a okrągłogłowy adept społecznego masochizmu nie widział różnicy pomiędzy slegiem i trumną. Wszystko się

łączyło... to chyba byłoby to, czego szukamy... i jeśli rzeczywiście tak jest, Rimeier miał rację, wysyłając mnie do rybaków. Rimeier, powiedziałem do siebie. Po co wysłałeś mnie do rybaków, Rimeier? I jeszcze kazałeś mi nie kaprysić, tylko robić, co każą. Przecież nie wiedziałeś, że jestem kosmonautą, Rimeier. A jeśli nawet wiedziałeś, to przecież tam jest nie tylko oszalały cyber, ale jeszcze i "Kulka", i "Jeden na dwunastu". Coś ci się we mnie nie spodobało, Rimeier. W czymś ci przeszkodziłem. Ależ nie, powiedziałem sobie, to przecież niemożliwe. Po prostu mi nie dowierzałeś, Rimeier. Po prostu nadal czegoś nie wiem. Na przykład nie wiem, kim właściwie jest Oscar, który handluje w kurorcie devonem i jest z tobą jakoś związany, Rimeier... Pewnie przed naszą rozmową w windzie widziałeś się z Oscarem. Nie chciałem o tym myśleć. Rimeier leży jak trup, ja myślę o nim takie rzeczy, a on nie może się nawet usprawiedliwić. Nagle poczułem chłód w środku. No dobrze, wyłapiemy tę szajkę. Co to zmieni? Dreszczka zostanie, Len o odstających uszach nadal nie będzie spał w nocy, Wuzi nadal będzie przychodziła pijana w trupa, a celnik Peti będzie upadał mordą w potłuczone szkło... I wszyscy będą się troszczyć o dobro społeczeństwa. Jednych poleją gazem łzawiącym, innych wbiją po uszy w ziemię, jeszcze innych przemienia z małp w to, co z powodzeniem może uchodzić za człowieka... potem dreszczka wyjdzie z mody i narodowi подарują superdreszczkę, a zamiast wycofanego slegu dadzą supersleg. Wszystko dla dobra społeczeństwa. Raduj się, Kraino Głupców, i o niczym nie myśl!

Przy sąsiednim stoliku usiadło dwóch mężczyzn w pelerynach. Jeden wydał mi się znajomy. Miał szlachetną, dumną twarz i gdyby nie gruby biały plaster na lewej skroni, na pewno bym go rozpoznał - takie odniosłem wrażenie. Drugim był rumiany człowiek z wielką łysiną i szybkimi ruchami. Rozmawiali półgłosem - choć raczej nie dlatego, że mieli coś do ukrycia - i doskonale słyszałem ich z miejsca, gdzie siedziałem.

- Proszę mnie dobrze zrozumieć - mówił z przekonaniem rumiany, pospiesznie łykając sznycel. - Naprawdę nie mam nic przeciwko muzeom i teatrom. Ale asygnacje na teatr miejski w przyszłym roku są niewykorzystywane do końca, a do muzeów chodzą jedynie turyści...

- I złodzieje obrazów - wtrącił człowiek z plastrem.

- Niech pan da spokój. Nie mamy obrazów wartych kradzieży. Chwała Bogu, jeszcze nie nauczono się syntezować madonn sykstyńskich z opiłków. Chcę zwrócić pańską uwagę na to, że w naszych czasach propagować kulturę trzeba w zupełnie inny sposób. Kultura nie powinna wychodzić do narodu, lecz wychodzić z narodu. Kapele ludowe, kółka zainteresowań, widowiska masowe - tego potrzeba naszej publiczności...

- Naszej publiczności potrzeba porządnej armii okupanta - oznajmił człowiek z plastrem.

- Ach, niech pan przestanie, przecież naprawdę pan tak nie myśli. Zainteresowanie kółkami jest u nas na beznadziejnym poziomie. Boela skarżyła mi się wczoraj, że na jej odczyty przychodzi tylko jeden człowiek i to, jak się zdaje, w celach matrymonialnych. A my musimy odciągnąć naród od dreszczki, od alkoholu, od rozrywek seksualnych. Musimy podnosić ducha...

Człowiek z plastrem mu przerwał:

- Czego pan ode mnie chce? Żebym dzisiaj poparł pański projekt przed tym osłem, naszym szanownym merem? Proszę bardzo! Mnie jest absolutnie wszystko jedno. Ale jeśli chce pan znać moje zdanie o duchu, to ducha nie ma, drogi radco! Duch umarł dawno temu! Zadławił się sadłem. Na pańskim miejscu liczyłbym się z tym i tylko z tym.

Wydawało się, że rumiany człowiek jest przybity. Przez jakiś czas milczał, wreszcie jęknął:

- Mój Boże, mój Boże, czym musimy się zajmować! Ale przecież ktoś jednak lata do gwiazd! Gdzieś budują reaktory mezonowe! Gdzieś tworzą nową pedagogikę! Mój Boże, niedawno pomyślałem, że my nawet nie jesteśmy prowincją - jesteśmy skansenem! W oczach całego świata jesteśmy skansenem głupoty, ciemnoty i pornokracji. Proszę sobie wyobrazić, że w naszym mieście drugi rok przebywa profesor Rubinstein. Psycholog społeczny, nazwisko światowej sławy. I on studiuje nasze zachowania niczym zachowania zwierząt... "Instynktowna socjologia rozkładających się formacji ekonomicznych". Tak nazywa się jego praca. Interesuje go człowiek jako nosiciel pierwotnych instynktów. Skarżył mi się, jak trudno było mu zebrać materiały w krajach, gdzie intuicyjna działalność jest wypaczona i stłumiona przez system pedagogiki. A u nas pracuje mu się znakomicie! Według jego słów, u nas nie ma żadnej działalności poza intuicyjną. Byłem obrażony, było mi wstyd, ale mój Boże, co mogłem powiedzieć?... Niech mnie pan zrozumie! Przecież jest pan mądrym człowiekiem, przyjacielu, chłodnym, owszem, ale nie mogę uwierzyć, żeby do tego stopnia było panu wszystko jedno...

Człowiek z plastrem patrzył na niego z wyższością i nagle drgnął mu policzek. Wtedy go poznałem: to był ten typ z monoklem, który tak zręcznie oblał mnie świecącym się draństwem wczoraj u mecenasów. Ach ty draniu! - pomyślałem. Ty złodzieju! Armii okupanta ci się zachciewa! Duch, widzicie go, zadławił się sadłem...

- Pan wybaczy, radco - rzekł pogardliwie człowiek z plastrem. - Wszystko rozumiem i właśnie dlatego jest dla mnie zupełnie jasne, że otacza nas marazm. Ostatnie podrygi. Euforia.

Wstałem i podszedłem do ich stolika.

- Panowie pozwolą? - zapytałem.

Patrzyli na mnie ze zdumieniem. Usiadłem.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziałem - jestem turystą i goszczę u was od niedawna, a wy, jak sądzę, jesteście miejscowi i nawet macie jakiś związek z radą miejską... dlatego pozwoliłem sobie panom przeszkodzić. Ciągłe słyszę dookoła: mecenasowie, mecenasowie... a co to takiego, nikt dokładnie nie wie...

Człowiekowi z plastrem znowu drgnął policzek. Jego oczy rozszerzyły się - on też mnie poznał.

- Mecenasowie? - uprzejmie powtórzył rumiany. - To prawda, istnieje u nas taka barbarzyńska organizacja, to bardzo smutne, ale tak jest w istocie - tłumaczył, a ja kiwałem głową i przyglądałem się plastrowi. Mój znajomy już się opanował i z godnością jadł galaretkę. - Mówiąc krótko, są to współcześni wandalie. Trudno mi znaleźć inne słowo. Skupują kradzione obrazy, rzeźby, rękopisy niepublikowanych książek, patenty i niszczą je. Wyobraża pan sobie coś podobnego? Znajdują jakąś patologiczną rozkosz w niszczeniu elementów kultury światowej. Zbiera się wielki, elegancki tłum i niespiesznie, z wyrachowaniem i rozkoszą niszczy...

- Ajajaj! - wykrzyknąłem, nie odrywając oczu od plastra. - Przecież takich ludzi trzeba wieszać za nogi!

- Prześladowujemy ich! - zawołał rumiany radca. - Prześladowujemy ich zgodnie z literą prawa. Niestety, nie możemy nękać artików i perszy, oni w zasadzie nie łamią żadnych obowiązujących praw, ale mecenasowie...

- Skończył pan już obiad, radco? - zapytał człowiek z plastrem. Mnie ignorował.

Rumiany drgnął.

- Tak, tak, na nas już pora. Pan wybaczy - powiedział, zwracając się do mnie - mamy posiedzenie w radzie miejskiej...

- Barman! - stalowym głosem zawołał człowiek z plastrem. - Proszę nam zamówić taksówkę.

- Od dawna jest pan w mieście? - spytał rumiany.

- Drugi dzień - odparłem.

- I jak się panu podoba?

- Przyjemne miasto.

- Taak...

Zamilkliśmy. Człowiek z plastrem bezczelnie wstawił w oko monokl i wyciągnął cygaro.

- Boli? - spytałem ze współczuciem.
- Co takiego? - rzekł z wyższością.
- Skroń. I chyba jeszcze powinna boleć wątroba.
- Mnie nigdy nic nie boli - odparł, łykając monoklem.
- Panowie się znacie? - zdumiał się rumiany.
- Odrobinę - odparłem. - Mieliśmy małą różnicę zdań na temat sztuki.

Barman krzyknął, że taksówka przyjechała. Człowiek z plastrem wstał.

- Chodźmy, radco - powiedział.

Rumiany uśmiechnął się do mnie stropiony i też wstał. Poszli do wyjścia. Odprowadziłem ich wzrokiem i podszedłem do baru.

- Brandy? - zapytał barman.

- Tak. - Trzęsło mnie ze złości. - Kim są ci ludzie, z którymi przed chwilą rozmawiałem?

- Łysy to radca zarządu miejskiego, zajmuje się kulturą. A ten z monoklem to miejski skarbnik.

- Skarbnik - powiedziałem. - Bydlę, a nie skarbnik.

- Tak? - zainteresował się barman.

- Tak. Buba przyszedł?

- Jeszcze nie. A skarbnik co?

- Bydlę - powtórzyłem. - Złodziej.

Barman zastanowił się.

- Bardzo możliwe - rzekł w końcu. - Zasadniczo jest baronem. Byłym, oczywiście. Maniery ma rzeczywiście jak bydlak. Szkoda, że nie głosowałem, głosowałbym przeciwko niemu. A co on panu zrobił?

- On wam zrobił. Ja jemu zrobiłem. I jeszcze coś mu zrobię. Taka sytuacja.

Barman, nic nie rozumiejąc, skinął głową i powiedział:

- Powtórzmy?

- Pewnie.

Nalał mi brandy i oznajmił:

- A oto i Buba.

Obejrzałem się i omal nie upuściłem szklanki. Poznałem Bubę.

10.

Stał w drzwiach i rozglądał się z taką miną, jakby próbował sobie przypomnieć, dokąd i po co przyszedł. Wyglądał zupełnie inaczej niż wtedy, gdy widziałem go po raz ostatni, ale i tak poznałem go od razu. Przez cztery lata siedzieliśmy obok siebie w audytoriach szkoły, a potem przez kolejnych kilka lat widywaliśmy się niemal codziennie.

- Przepraszam - zwróciłem się do barmana. - On się nazywa Buba?

- Uhm - mruknął barman.

- To taka ksywka?

- Skąd mam wiedzieć? Wszyscy go tak nazywają. Buba to Buba.

- Peck! - krzyknąłem.

Wszyscy popatrzyli na mnie. On też powoli odwrócił głowę i poszukał wzrokiem, kto go woła. Na mnie nie zwrócił uwagi. Jakby sobie coś przypominając, zaczął gwałtownymi ruchami otrząsać wodę z płaszcza, a potem, szurając podszwami, podszedł do baru i z trudem wgramolił się na stołek obok mnie.

- To co zwykle - rzucił barmanowi. Głos miał głuchy i stłumiony, jakby ktoś ścisnął go za gardło.

- Ten pan czeka na pana - powiedział barman, stawiając przed nim szklankę spirytusu i płaski talerzyk wypełniony miałkim cukrem.

Peck powoli odwrócił głowę, popatrzył na mnie i zapytał:

- No? O co chodzi?

Powieki miał czerwone i przymknięte, w kącikach oczu żółte grudki. I oddychał ustami, jakby miał przerośnięty trzeci migdał.

- Peck Zenay - powiedziałem cicho. - Kursant Peck Zenay, wróćcie z ziemi na niebo.

Nadal patrzył na mnie niewidzącymi oczami. Obliznął wargi.

- Kumpel z kursu?

Odwrócił się, wycodził spirytus i dławiąc się z obrzydzenia, zaczął jeść cukier łyżką do zupy. Barman nalał mu drugą szklankę.

Zrobiło mi się nieswojo.

- Peck, co z tobą, przyjacielu, nie pamiętasz mnie?

Znowu mi się przyjrzał.

- Nie wiem... chyba gdzieś pana widziałem...

- Widziałem! - wykrzyknąłem z rozpaczą. - Jestem Iwan Żylin! Czy ty mnie zupełnie zapomniałeś?

Ręka ze szklanką ledwie dostrzegalnie drgnęła - i to było wszystko.

- Nie, przyjacielu, bardzo przepraszam, ale nie pamiętam pana.

- Tachmasibu też nie pamiętasz? I Iowy Smitha też nie?

- Męczy mnie dzisiaj zgaga - oznajmił barmanowi. - Dałbyś mi sodówki, Con.

Barman, słuchający nas z zainteresowaniem, nalał sodówki.

- Co za koszmarny dzień - powiedział Buba. - Dwa automaty przestały działać, wyobraża pan sobie, Con?

Barman pokręcił głową i westchnął.

- Dyrektor się wściekł - ciągnął Buba - wezwał mnie na dywanik i skłął. Odchodzę stamtąd. Posłałem go do diabła, a on mnie zwolnił.

- Niech pan zgłosi do związków zawodowych - poradził barman.

- Do licha z nimi! - Buba wypił sodówkę i wytarł usta dłonią. Na mnie nie patrzył.

Czułem się jak opluty. Zupełnie zapomniałem, po co potrzebny był mi Buba. Potrzebowałem Buby, a nie Pecka... to znaczy Peck też był mi potrzebny, ale nie ten... ten nie był już Peckiem, tylko jakimś obcym, niesympatycznym Buba... Z przerażeniem patrzyłem, jak wycedził drugą szklankę spirytusu i znowu łychemi zaczął ładować w siebie cukier. Jego twarz pokryła się czerwonymi plamami, on dławił się i słuchał, jak barman z zapalem opowiada mu o futbolu... Chciałem krzyknąć: "Peck, co się z tobą stało, Peck, przecież ty tego nienawidziłeś!". Położyłem mu rękę na ramieniu i powiedziałem błagalnie:

- Peck, stary, wysłuchaj mnie... proszę...

Odsunął się.

- O co chodzi, przyjacielu? - Jego oczy niczego już nie widziały. - Nie jestem Peck, nazywam się Buba, rozumie pan? Z kimś mnie pan pomylił... żadnego Pecka tu nie ma. I co wtedy Nosorożce, Con?

Przypomniałem sobie, gdzie jestem, i zrozumiałem, że Pecka rzeczywiście już nie ma, jest tylko Buba, agent przestępczej organizacji, i to jedyna rzeczywistość, a Peck Zenay to miraż, dobre wspomnienie, muszę o nim jak najszybciej zapomnieć, jeśli mam zamiar pracować... Świetnie, pomyślałem, zaciskając zęby, niech będzie, jak chcecie.

- Allez, Buba - rzuciłem - mam do ciebie interes.

Już był pijany.

- A ja nie rozmawiam o interesach przy barze - oznajmił. - Na dzisiaj skończyłem pracę. Koniec. Nie mam żadnych innych spraw. Zwróć się, przyjacielu, do rady miejskiej. Tam ci pomogą.

- Zwracam się do ciebie, a nie do rady miejskiej - powiedziałem. - Wysłuchasz mnie?

- I tak cię cały czas słucham. Tylko zdrowie tracę.
- Mam do ciebie niewielki interes. Potrzebny mi sleg.

Drgnął.

- Przyjacielu, jesteś szurnięty?

- Jak panu nie wstyd! - wtrącił się barman. - Przy ludziach... zupełnie pan sumienia nie ma.

- Zamknij się - poradziłem mu.

- Grzeczniej - powiedział groźnie barman. - Dawno nie ciągali pana na policję?

Raz-dwa i wysyłka...

- Mam gdzieś twoją wysyłkę - odparłem beczelnie. - Nie wsadzaj nosa w nie swoje sprawy.

- Slegacz cholerny. - Barman wyraźnie był wściekły, ale mówił półgłosem. - Slegu mu się zachciało. Zaraz zawołam sierżanta, już on ci da sleg...

Buba zsunął się ze stołka, poczłapał do wyjścia. Zostawiłem barmana i pospieszyłem za nim. Wyskoczył na deszcz. Zapomniał założyć kaptur, rozglądał się w poszukiwaniu taksówki. Dogoniłem go i złapałem za rękaw.

- Czego ty ode mnie chcesz? - zawołał z męką. - Zaraz zawołam policję!

- Peck, opamiętaj się, Peck, jestem Iwan Żylin, nie mogłeś mnie zapomnieć!

Nadal się rozglądał, co rusz ocierał dłonią wodę płynącą strużkami po jego twarzy. Wyglądał żałośnie, jak zaszczute zwierzę. Próbowałem stłumić rozdrażnienie, przekonywałem siebie, że to mój Peck, beczenny Peck, niezastąpiony Peck, dobry, mądry, wesół Peck, i cały czas próbowałem sobie przypomnieć, jaki on był za pulpitem Gladiatora, i nie mogłem, bo teraz mogłem go sobie wyobrazić tylko za barem nad szklanką spirytusu.

- Taksówka! - zawołał, ale samochód pojechał dalej, siedziało w nim pełno ludzi.

- Peck - spróbowałem znowu - chodźmy do mnie. Wszystko ci opowiem.

- Proszę mnie zostawić - powiedział, dzwoniąc zębami. - Nigdzie z panem nie pojedę.

Odczep się! Nic ci nie zrobiłem, odczep się, na miłość boską!

- Dobrze. Odczepię się. Ale najpierw dasz mi sleg i swój adres.

- Nic nie wiem o żadnych slegach - wyjęczał. - Co za dzień, Boże drogi!...

Utykając na lewą nogę, poszedł dalej i nagle zanurkował do sutereny z ładnym, skromnym szyldem. Poszedłem za nim. Usiedliśmy przy stoliku i od razu przyniesiono nam gorące mięso i piwo, chociaż nic nie zamawialiśmy. Peck ze wstrętem odsunął talerz i zaczął pić piwo, obejmując kufel obiema dłońmi. W suterenie było cicho i pusto, nad lśniącym bufetem wisiała biała deska ze złotymi literami: U NAS SIĘ PŁACI.

Buba podniósł głowę znad kufla i powiedział zmęczonym głosem:

- Pójdę, dobrze, Iwan? Nie mogę... po co te wszystkie rozmowy... puść mnie, proszę...

Wziąłem go za rękę.

- Peck, co się z tobą dzieje? Szukałem cię, nigdzie nie ma twojego adresu... spotkałem cię zupełnie przypadkiem i nic nie rozumiem. Jak wdepnąłeś w tę historię? Mogę ci jakoś pomóc? Może my...

Nagle ze wściekłością wyrwał rękę.

- Kacie! - zasyczał. - Gestapowcu... diabli mnie zanieśli do tej Oazy... kretyńskie rozmowy, głupie sentymenty. Nie mam slegu, rozumiesz? Mam jeden, no to przecież ci nie oddam! Co ja potem - jak Archimedes? Czy ty masz sumienie? Jak masz, to mnie puść, nie dręcz...

- Nie mogę cię puścić. Dopóki nie dostanę slegu i twojego adresu. Musimy porozmawiać...

- Nie chcę z tobą rozmawiać! Nie rozumiesz tego!? Nie chcę z nikim o niczym rozmawiać... Chcę do domu... i nie dam ci mojego slegu... co ja jestem, fabryka? Swój dam tobie, a potem mam przez całe miasto robić taki hak?

Milczałem. Wiedziałem, że teraz mnie nienawidzi. Gdyby miał dość sił, zabiłby mnie i wyszedł. Ale wiedział, że nie zdoła.

- Bydlaku! - rzucił wściekle. - Nie możesz sam kupić? Pieniądzy nie masz? Bierz, trzymaj! - zaczął gorączkowo grzebać w kieszeniach, rzucając na stół miedziaki i pomięte banknoty. - Bierz, wystarczy!

- Co kupić? U kogo?

- Osioł przekłety... no, to ten, tego... jak go tam... noo... jak go... do diabła! Żeby cię szlag trafił! - Wsunął palce do wewnętrznej kieszeni i wyjął płaski plastikowy futerał. W środku była błyszcząca metalowa rurka przypominająca heterodyne do kieszonkowych radiodbiorników. - Bierz, nażryj się! - podał mi rurkę. Była malutka, miała najwyżej całą długości, milimetr grubości.

- Dziękuję - powiedziałem. - Jak tego użyć?

Peck otworzył szeroko oczy. Chyba się nawet uśmiechnął.

- Mój Boże - westchnął prawie z czułością. - Czy ty nic nie wiesz?

- Nic nie wiem - przyznałem.

- Trzeba było tak od razu. A ja myślę, co on mnie dręczy jak kat? Radio masz? Włóż do środka zamiast heterodyny, powieś w łazience albo postaw, wszystko jedno, i zasuważ.

- W łazience?

- Tak.

- Koniecznie w łazience?

- Tak! Ciało musi być koniecznie w wodzie. W gorącej wodzie... ech, ty cielaku...

- A devon?

- Devon wsyp do wody. Pięć tabletek do wody, jedną do ust. W smaku ohydne, ale potem nie pożałujesz... i koniecznie dodaj do wody soli aromatycznych. A jeszcze wcześniej wypij ze dwie szklanki czegoś mocnego. Musisz się, no, jak to mówią... rozluźnić...

- Tak - powiedziałem. - Rozumiem. Teraz wszystko rozumiem. - Zawinałem sleg w papierową serwetkę i włożyłem do kieszeni. - Więc to falowa psychotechnika?

- O Boże, co cię to obchodzi? - Już stał, nasuwając kaptur na głowę.

- Nic. Ile ci jestem winien?

- Głupstwo! Chodźmy szybciej! Po cholere tracimy czas? Wyszliśmy na ulicę.

- Słuszna decyzja - odezwał się Peck. - Czy to jest świat? Czy w tym świecie my jesteśmy ludźmi? To gównno, a nie świat. Taksówka! - wrzasnął. - Hej, taksówka! - zatrzęsło go z oburzenia. - I co mnie zaniósło do tej Oazy? Nie, teraz to ja już nigdzie, nigdzie...

- Daj mi swój adres.

- Po co ci mój adres?

Podjechała taksówka, Buba szarpnął za drzwiczki.

- Adres! - złapałem go za ramię.

- Ale idiota - powiedział Buba. - Słoneczna jedenaście... ale idiota - powtórzył, wsiadając.

- Jutro do ciebie przyjadę.

Już nie zwracał na mnie uwagi.

- Słoneczna! - krzyknął do kierowcy. - Przez centrum! I błagam, szybko!

Jakie to proste, pomyślałem. Jakie to wszystko okazało się proste! I jak wszystko do siebie pasuje. I łazienka, i devon. I wrzeszczące radia, na które nigdy nie zwracaliśmy uwagi. Po prostu wyłączyliśmy je... Wziąłem taksówkę i ruszyłem do domu.

A jeśli on mnie okłamał? - pomyślałem nagle. Jeśli zwyczajnie chciał się ode mnie jak najszybciej uwolnić? Wkrótce się o tym przekonam. On wcale nie przypomina agenta. To przecież Peck... Zresztą to już nie jest Peck. Biedny Peck! Nie jesteś żadnym agentem, jesteś zwykłą ofiarą. To prawda, wiesz, gdzie można kupić ten syf, ale jesteś tylko ofiarą... Nie chcę przesłuchiwać Pecka, nie chcę go trząść jak jakiegoś chuligana... No tak, ale to przecież nie Peck. Do diabła, co to znaczy - nie Peck? To Peck... A jednak... będę musiał... falowa psychotechnika... ale dreszczka to też falowa psychotechnika. Coś za łatwo się to układa,

pomyślałem. Jestem tu niecałe dwa dni, a Rimeier mieszka tu od samego buntu. Wrzucili go tutaj, on się zaadaptował i wszyscy byli z niego zadowoleni, chociaż w ostatnich raportach pisał już, że nic z tego, czego szukamy, tu nie ma. No tak, ale on jest wyczerpany nerwowo... i ten devon na podłodze. I Oscar. Rimeier nie błagał, żebym go puścił, tylko wysłał mnie do rybaków...

Nikogo nie zastałem ani przed domem, ani w holu. Dochodziła piąta. Wszedłem do swojego gabinetu i zadzwoniłem do Rimeiera. Odpowiedział cichy kobiecy głos.

- Jak się czuje chory? - zapytałem.

- Śpi. Lepiej mu nie przeszkadzać.

- Nie będę przeszkadzał. Czuje się lepiej?

- Przecież panu powiedziałam, że zasnął. I proszę tak często nie dzwonić. Pańskie telefony go niepokoją.

- Będzie pani u niego przez cały czas?

- W każdym razie do rana. Jeśli zadzwoni pan choćby raz, wyłączę telefon.

- Dziękuję pani - powiedziałem. - Tylko niech pani go nie opuszcza do rana. Nie będę więcej telefonował.

Odłożyłem słuchawkę i przez jakiś czas siedziałem, rozmyślając, w wygodnym miękkim fotelu przed dużym i kompletnie pustym biurkiem. Wyjąłem z kieszeni sleg i położyłem przed sobą. Mała błyszcząca rurka, z pozoru kompletnie nieszkodliwa, zwykły element radia. Można takie produkować milionami. Powinny kosztować grosze i być bardzo wygodne w transporcie.

- Co pan tu ma? - odezwał się Len tuż nad moich uchem.

Stał obok mnie i patrzył na sleg.

- Tak jakbyś nie wiedział.

- To chyba z radia... w moim radiu jest takie coś. Ciągłe się psuje.

Wyjąłem z kieszeni radio, wyciągnąłem z niego heterodyne i położyłem obok slegu.

Była podobna do slegu, ale nie była slegiem.

- Nie są jednakowe - przyznał Len. - Ale już takie coś widziałem.

- Jakie?

- Takie jak to.

Nagle się zasepił.

- Przypomniałeś sobie?

- Nie - powiedział ponuro. - Nic sobie nie przypomniałem.

- No i dobrze.

Włożyłem sleg do radia zamiast heterodyny. Len chwycił mnie za rękę.

- Niech pan tego nie robi.

- Dlaczego?

Milczał, nie spuszczać z radia czujnego spojrzenia.

- Czego się boisz? - spytałem.

- Niczego się nie boję, skąd panu to przyszło do głowy...

- Przejrzyj się w lustrze. - Włożyłem radyjko do kieszeni. - Miałeś taką minę, jakbyś bał się o mnie.

- O pana? - zdumiał się.

- No chyba nie o siebie... chociaż, prawda, ty się jeszcze boisz tych... zjawisk nekrotycznych.

Teraz patrzył w bok.

- Skąd panu to przyszło do głowy... To przecież zabawa.

Prychnąłem pogardliwie.

- Znam ja takie zabawy! Jednego tylko nie wiem: skąd w naszych czasach biorą się zjawiska nekrotyczne?

Rozglądał się na boki, potem zaczął się cofać.

- Pójdę już - powiedział.

- Nie - zaprotestowałem zdecydowanie. - Porozmawiajmy, skoro zaczęliśmy. Jak mężczyzna z mężczyzną. Ty sobie nie myśl, ja o tych zjawiskach nekrotycznych trochę wiem.

- I co pan wie? - Stał już przy drzwiach i mówił bardzo cicho.

- Więcej od ciebie - rzekłem surowo. - Ale nie mam zamiaru wrzeszczeć na cały dom. Jak chcesz posłuchać, podejdź tutaj. Przecież ja nie jestem nekrotycznym zjawiskiem. Chodź, siadaj.

Wahał się całą minutę, spoglądając na mnie spode łba, i wszystko, czego się bał i na co liczył, przewinęło się przez jego twarz. W końcu powiedział:

- Tylko zamknę drzwi.

Pobiegł do salonu, zamknął drzwi do holu, wrócił, szczelnie zamknął drzwi do salonu i podszedł do mnie. Ręce w kieszeniach, twarz blada, a odstające uszy czerwone i zimne.

- Po pierwsze, jesteś głupi - oznajmiłem, przyciągając go i ustawiając sobie między kolanami. - Był sobie kiedyś chłopiec tak przerażony, że spodnie nie wysychały mu nawet na plaży, a uszy miał ze strachu takie zimne, jakby na noc wkładał je do lodówki. Ten chłopiec cały czas się trząsał, i to tak, że jak dorósł, nogi miał krzywe, a skórę jak u oskubanej gęsi.

Miałem nadzieję, że chociaż raz się uśmiechnie, ale słuchał bardzo poważnie i bardzo poważnie zapytał:

- A czego on się bał?

- Miał starszego brata, dobrego człowieka, ale wielkiego amatora alkoholu. I jak to często bywa, pijany brat bardzo różnił się od brata trzeźwego. Wyglądał wtedy dziko. A gdy wypijał bardzo dużo, stawał się podobny do nieboszczyka. I ten chłopiec...

Na twarzy Lena pojawił się wzdorczy uśmiech.

- Też nie miał się czego bać... Jak się upiją, to akurat są dobre...

- One? Kto? - zareagowałem od razu. - Mama? Wuzi?

- No tak. Mama, jak wstanie rano, to zawsze się gniewa, potem raz się napije wermutu, drugi raz się napije wermutu i po wszystkim. A pod wieczór to jest całkiem miła, bo noc już blisko...

- A nocą?

- Nocą przychodzi ten typek - odparł z niechęcią Len.

- Typek nas nie interesuje - stwierdziłem rzeczowo. - Przecież nie od typka uciekasz w nocy do garażu.

- Nie uciekam - powiedział z uporem. - To taka zabawa.

- No, nie wiem, nie wiem. Ja różnych rzeczy się boję. Na przykład, gdy jakiś chłopiec płacze i drży. Nie mogę na to patrzeć, bo mi się wszystko w środku przewraca. Albo czasem bolą zęby, a tu trzeba się uśmiechać. To jest straszne, nie powiem. A zdarzają się zwykłe głupoty. Na przykład gdy ludzie z nudów i przeżarcia jedzą mózg żywej małpki. Tego nie ma się co bać, to po prostu jest obrzydliwe. Tym bardziej że sami tego nie wymyślili. Tysiąc lat temu i też z przeżarcia wymyślili to tłuszczy tyranów na Dalekim Wschodzie. A dzisiejsi głupcy usłyszeli o tym i ucieszyli się. Tym ludziom trzeba współczuć, a nie bać się ich...

- Współczuć - powtórzył Len. - Oni tam nikomu nie współczują. I robią, co chcą. Przecież im jest wszystko jedno! Dlaczego pan tego nie rozumie? Jak się nudzą, to im jest wszystko jedno, komu będą głowę piłować. Głupcy! Może w dzień są głupcami, pan tego nie rozumie, ale nocą nie są głupcami, wszyscy są przekłeci...

- Jak to?

- Przekłeci przez cały świat. Nie zaznają spokoju. Pan nic nie wie... przyjechał pan, potem pan wyjedzie... oni nocą są żywi, a w nocy martwi. Trupowaci...

Poszedłem do salonu i przyniosłem mu wodę. Wypił całą szklankę i zapytał:

- Niedługo pan wyjeżdża?

- Coś ty - poklepałem go po plecach. - Dopiero przyjechałem.

- A mógłbym u pana nocować?

- Oczywiście.

- Kiedyś miałem zamek w drzwiach, ale teraz mi zdjęła i nie powiedziała dlaczego.

- Dobrze. Będziesz spał w moim salonie. Chcesz?

- Tak.

- To się tam zamknij i śpij na zdrowie. A ja wejdę do sypialni przez okno.

Podniósł głowę i uważnie spojrzał mi w oczy.

- Myśli pan, że u pana drzwi się zamykają? Ja tu wszystko znam. U pana też się nie zamykają.

- To u was się nie zamykają - powiedziałem w miarę możliwości niedbale. - A u mnie będą się zamykać. Pół godziny roboty.

Len zaśmiał się nieprzyjemnie, jak dorosły.

- Sam się pan boi. Dobra, żartowałem. Zamykają się u pana, niech się pan nie boi.

- Głuptas z ciebie. Już ci powiedziałem, że takich rzeczy się nie boję. A zamek w salonie i tak zrobię, specjalnie po to, żebyś spał spokojnie, skoroś taki bojaźliwy. Ja zawsze śpię przy otwartym oknie.

- Przecież mówię. - Popatrzył na mnie badawczo. - Żartowałem.

Milczeliśmy.

- Kim będziesz, jak dorośniesz? - zapytałem.

- A co? - Bardzo się zdziwił. - Co za różnica?

- Jak to, co za różnica? Wszystko ci jedno, czy będziesz chemikiem, czy barmanem?

- Już panu powiedziałem: wszyscy jesteśmy przeklęci. Od przekleństwa się nie ucieknie. A pan nie może zrozumieć. Przecież każdy to wie.

- Cóż, bywały dawniej przeklęte narody, a potem pojawiały się dzieci i zdejmowały przekleństwo.

- Jak?

- Długo by wyjaśniać, mały. - Wstałem. - Na pewno ci o tym opowiem. A teraz leć się bawić. Przynajmniej w dzień się bawisz? No to leć. Jak słońce zajdzie, przyjdź, pościelę ci.

Wsunął ręce do kieszeni i poszedł do drzwi. Tam się zatrzymał i powiedział przez ramię:

- A tamto coś niech pan lepiej wyjmie z radia. Myśli pan, że co to jest?

- Heterodyna.

- To nie jest żadna heterodyna. Niech pan to wyjmie, bo będzie panu źle.

- Dlaczego będzie mi źle?

- Niech pan wyjmie - powtórzył. - Znienawidzi pan wszystkich. Teraz nie jest pan przeklęty, ale wtedy pan będzie. Kto panu to dał? Wuzi?

- Nie.

Popatrzył na mnie błagalnie.

- Iwan, niech pan to wyjmie!

- Co zrobić - powiedziałem. - Wyjmę. Leć się bawić. I nigdy się mnie nie bój, słyszysz?

Nic nie powiedział i wyszedł, a ja nadal siedziałem w fotelu. Położyłem ręce na biurku i wkrótce usłyszałem, jak Len szeleści w krzakach bzu pod oknami. Szeleścił, tupał i mamrotał, pokrzykując szeptem i rozmawiając sam ze sobą: "...Przynieście flagi i postawcie tutaj, tutaj i tutaj. Tak... tak... tak... a ja wsiadam do samolotu i lecę w góry...". Ciekawe, o której on się kładzie, pomyślałem. Dobrze by było, gdyby o ósmej albo dziewiątej... Chyba niepotrzebnie to wszystko zorganizowałem, zamknąłbym się teraz w łazience i za dwie godziny wiedziałbym wszystko, no nie, nie można mu było odmówić, wyobraź sobie siebie na jego miejscu, a z drugiej strony to nie metoda, popieram jego lęki, trzeba było wymyślić coś mądrzejszego, ale weź i wymyśl, to nie internat w Anjudinie, ach, jak bardzo nie jest to internat w Anjudinie! Jakie tu wszystko jest inne i co mnie teraz czeka, ciekawe, jaki krąg raj, jeśli będzie łaskotało, to nie wytrzymam, ciekawe, a rybacy to przecież też krąg raj, mecenat dla arystokratów ducha, Stare Metro jest dla tych mniej finezyjnych, ale intełe też są arystokratami ducha, a upijają się jak świnie i do niczego się nie nadają, za dużo nienawiści, za mało miłości, nienawiści łatwo się nauczyć, a miłości trudno, miłość zbrukali i obślinili, miłość jest pasywna, dlaczego tak wyszło, że miłość zawsze jest pasywna, za to nienawiść aktywna i dlatego bardziej atrakcyjna, i mówi się jeszcze, że nienawiść jest naturalna, a miłość wymaga wielkiego rozumu, z intelami jednak warto byłoby porozmawiać, przecież w końcu nie wszyscy są głupcami i histerykami, może uda się znaleźć człowieka, co właściwie jest dobre w człowieku z natury, najwyżej funt szarej substancji, a i to nie zawsze jest dobre, i każdy człowiek musi zaczynać od zera, dobrze by było, gdyby dało się dziedziczyć cechy społeczne, no tak, ale wtedy Len byłby małym generałem pułkownikiem, już lepiej nie, już lepiej od zera, wtedy nie bałby się niczego, ale straszylby innych, którzy nie są generałami pułkownikami...

Drgnąłem. Zobaczyłem, że na jabłonce naprzeciw okna siedzi Len i bacznie mi się przygląda. W chwilę później znikł, tylko zatrzeszczały gałęzie i posypały się jabłka. Nie wierzy w nic, pomyślałem. Nie wierzy nikomu. A komu ja wierzę w tym mieście? Policzyłem w myślach wszystkich, których mogłem sobie przypomnieć. Nikomu nie wierzę. Wyjąłem

urkę slegu, zadzwoniłem do Olimpika i poprosiłem o połączenie z pokojem osiemset siedemnaście.

- Słucham - odezwał się Oscar.

Milczałem, zasłaniając mikrofon dłonią.

- Słucham! - krzyknął Oscar z rozdrażnieniem. - To już drugi raz - powiedział do kogoś. - Halo!... Skąd, jakie ja tu mogę mieć kobiety? - odłożył słuchawkę.

Wziąłem tom Minca, położyłem się w salonie na tapczanie i czytałem aż do zmierzchu. Bardzo lubię Minca, ale zupełnie nie pamiętam, o czym czytałem. Z hałasem przyjechała wieczorna zmiana. Ciocia Wajna karmiła Lena kolacją, wpychała mu owsiankę z gorącym mlekiem. Len kaprysił i marudził, a ona namawiała go cierpliwie i czule. Celnik Peti grzmiał tonem dowódcy: "Trzeba jeść, trzeba jeść, skoro matka mówi, trzeba jeść, trzeba wykonać!". Przychodziło dwóch, sądząc po głosach, gadatliwych młodych ludzi, pytali o Wuzi i podrywali ciocię Wajnę. Moim zdaniem byli pijani. Szybko zapadał zmierzch. O ósmej w gabinecie zadzwonił telefon. Pobiegiłem boso i podniosłem słuchawkę, ale nikt się nie odezwał. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. O ósmej dziesięć do drzwi ktoś zapukał. Ucieszyłem się, że to Len, ale to była Wuzi.

- No i czemu pan nie przychodzi? - powiedziała z oburzeniem od progu. Miała na sobie szorty z rysunkiem mrugającej okiem twarzy, opiętą kamizelkę odsłaniającą pępek i ogromny przezroczysty szal; była świeża i jędrna jak niedojrzałe jabłuszko. Do znudzenia. - Cały dzień siedzę i czekam, a on sobie leży. Coś pana boli?

Wstałem i wsunąłem nogi w kaptcie.

- Niech pani siada, Wuzi - poklepałem tapczan obok siebie.

- Nie usiądę obok pana. Okazuje się, że on tu sobie czyta! Żeby mi chociaż zaproponował drinka...

- Jest w barku - powiedziałem. - Jak się miewa zaśliniona krowa?

- Chwała Bogu, dziś jej nie było. - Wuzi weszła za ladę barku. - Dzisiaj dopiekła mi żona mera... co za idiotka! Dlaczego, uważa pan, nikt jej nie kocha? A za co ją kochać? Dla pana z wodą? Oczy blade, morda czerwona, tyłek jak kanapa, jak u żaby, słowo daję... a może zrobimy tchórza, chce pan? Teraz wszyscy robią tchórza...

- Nie lubię robić tak jak wszyscy.

- To już zauważyłam. Wszyscy idą się bawić, a ten leży. I czyta na dodatek.

- Jest zmęczony - odparłem.

- Ach tak? Mogę sobie pójść!

- A ja pani nie puszcę. - Chwyciłem ją za szal i usadziłem obok siebie. - Wuzi, dziecko, jest pani specjalistą tylko od kobiecego dobrego nastroju, czy generalnie? Nie mogłaby pani poprawić humoru samotnemu mężczyźnie, którego nikt nie kocha?

- A za co pana kochać? - Przyjrzała mi się. - Włosy rude, nos jak kartofel...

- Jak u krokodyla.

- Jak u psa... Proszę mnie nie obejmować, nie pozwalam. Dlaczego pan nie przyszedł?

- A dlaczego pani mnie wczoraj porzuciła?

- Aha, ja go porzuciłam!

- Samego, w obcym mieście...

- Ja go porzuciłam! Ja pana wszędzie szukałam! Wszystkim opowiadałam, że jest pan Tunguzem, a pan zniknął. Bardzo nieładnie z pana strony. Nie, nie pozwalam! I gdzie pan wczoraj był? Pewnie pan rybaczył, co? A dzisiaj znowu nic pan nie opowie...

- Dlaczego nie opowiem? - zaprotestowałem i opowiedziałem jej o Starym Metrze. Od razu wiedziałem, że prawda nie wystarczy, i opowiedziałem o ludziach w żelaznych maskach, o strasznej przysiędze, o ścianie mokrej od krwi, o wyjąłym szkielecie - opowiedziałem o różnych rzeczach i pozwoliłem pomacać guz za uchem. Wszystko jej się strasznie spodobało.

- Chodźmy tam teraz - powiedziała.

- Za nic! - Położyłem się.

- Co to za maniery? Niech pan wstaje i idziemy! Przecież mnie nikt nie uwierzy, a pan pokaże tę śliwę i wszystko będzie w porządku.

- A potem pójdziemy na dreszczkę? - zapytałem.

- No pewnie! Wie pan, okazuje się nawet, że to jest pożyteczne dla zdrowia!

- I będziemy pić brandy?

- I brandy, i wermut, i tchórza., i whisky...

- Wystarczy... i będziemy ścigać się samochodami sto pięćdziesiąt mil na godzinę?

Wuzi, po co chce pani tam iść?

W końcu zrozumiała i uśmiechnęła się stropiona.

- A co w tym złego? Przecież rybacy też chodzą...

- Nic złego. Ale co w tym dobrego?

- Nie wiem, wszyscy tak robią. Czasem bywa bardzo wesoło. I dreszczka. Wtedy wszystko się spełnia...

- Co wszystko?

- No, nie wszystko... ale to, o czym myślisz, czego byś chciał, często się spełnia. Jak we śnie.

- To nie lepiej położyć się spać?

- Jasne! - krzyknęła gniewnie. - W prawdziwym śnie są czasem takie rzeczy... jakby pan nie wiedział! A w dreszczce tylko to, co chcesz.

- A czego pani chce?

- No... dużo bym chciała...

- Śmiało! Załóżmy, że jestem czarodziejem i mówię: spełnię trzy pani życzenia. Dowolne, jakie tylko pani zechce. Najbardziej nieprawdopodobne. No?

Zamyśliła się głęboko, aż opuściła ramiona. W końcu twarz jej się rozjaśniła.

- Żebym się nigdy nie zestarzała!

- Doskonale - powiedziałem. - Jedno.

- Żebym... - zaczęła w natchnieniu i zamilkła.

Bardzo lubiłem zadawać to pytanie swoim znajomym i zadawałem je przy każdej nadarzającej się okazji. Kilka razy zadałem również swoim dzieciakom wypracowanie na temat "Trzy życzenia". I co najciekawsze, z tysiąca kobiet i mężczyzn, starców i dzieci najwyżej trzydzieści osób zorientowało się, że życzyć można nie tylko sobie i swoim najbliższym, ale również światu, całej ludzkości. To nawet nie było świadectwem odwiecznego ludzkiego egoizmu, życzenia wcale nie były takie egoistyczne, a większość zapytanych, już potem, gdy wspominałem o przegapionej możliwości i wielkich ogólnoludzkich problemach, złościła się na mnie i miała pretensje, że od razu o tym nie powiedziałem. Ale tak czy inaczej, zapytani zawsze zaczynali swoją odpowiedź od "żebym". Przejawiało się w tym jakieś pradawne, podświadome przekonanie, że bez względu na to, czy masz czarodziejską różdżkę, czy nie - i tak nic nie możesz zrobić...

- Żebym ja... - znowu zaczęła Wuzi i znowu zamilkła. Obserwowałem ją ukradkiem. Zauważyła to, rozplynęła się w uśmiechu, machnęła ręką i powiedziała: - Do licha z panem... Pan jak coś wymyśli!

- Nie, nie, nie... Na to pytanie trzeba być zawsze przygotowanym. Miałem takiego znajomego, wszystkim zadawał to pytanie, a potem się zamartwiał: "A ja o tym nie pomyślałem, taką okazję przegapiłem". Więc to zupełnie na poważnie. Po pierwsze, nie chce się pani nigdy zestarzeć. A dalej?

- Co dalej? No, oczywiście, dobrze byłoby mieć przystojnego chłopaka, żeby wszystkie za nim biegały, a on byłby tylko ze mną. Zawsze.

- Świetnie. To już dwa. I ostatnie?

Po minie poznałem, że już się znudziła tą zabawą i jak zaraz z czymś wyskoczy... i wyskoczyła. Aż zamrugałem z niedowierzania.

- Tak - powiedziałem. - Oczywiście, tak... ale to się zdarza również bez magii...

- Zależy! - zaprotestowała i zaczęła rozwijać myśl, powołując się na rozterki swoich klientek. Cała ta kwestia szalenie ją bawiła, a ja z zakłopotaniem piłem brandy z sokiem cytrynowym i zawstydzony chichotałem, czując się jak dziewczica nieudacznica. Gdyby nasza rozmowa miała miejsce w knajpie, wiedziałbym, jak się zachować... Ojej... No, no... Taaak!... Ładnymi rzeczami zajmują się w tych swoich salonach dobrego nastroju... a to ci staruszkowie!

- Fu! - powiedziałem w końcu. - Wuzi, zawstydz mnie pani... no, już wszystko zrozumiałem. Widzę, że bez magii rzeczywiście się nie obejdzicie! Dobrze, że nie jestem czarodziejem!

- Ale panu dopiekłam, co? - roześmiała się radośnie Wuzi. - A co pan by sobie zażyczył?

Ja też postanowiłem zażartować.

- Mnie nic takiego nie potrzeba. Ja nawet nic takiego nie umiem. Ja bym chciał dobry sleg...

Uśmiechała się wesoło.

- Nie potrzebuję trzech życzeń - wyjaśniłem. - Wystarczy mi to jedno...

Jeszcze się uśmiechała, ale jej uśmiech stał się stropiony, potem krzywy, aż wreszcie w ogóle zniknął.

- Co? - spytała żałośnie.

- Wuzi!... - Wstałem. - Wuzi!...

Nie wiedziała, co ma zrobić. Zerwała się, usiadła, znowu się zerwała. Przewróciła stolik z butelkami. Miała w oczach łzy, a twarz smutną jak dziecko, które bezczelnie, brutalnie, okrutnie, drwiąco oszukano. Nagle przygryzła wargę i z całej siły uderzyła mnie w twarz. Raz, potem drugi. I gdy ja mrugałem powiekami, ona, już zupełnie otwarcie płacząc, kopnęła przewrócony stolik i wybiegła z pokoju. Siedziałem z otwartymi ustami. W ciemnym ogrodzie zaryczał silnik, zapłonęły reflektory, potem szum silnika przemknął przez podwórko, przez ulicę i zacichł w oddali.

Pomacałem twarz. Ale mi się żart udał! Jeszcze nigdy w życiu nie zażartowałem tak efektywnie! Stary bałwan... masz ten swój sleg...

- Można? - zapytał Len. Stał w drzwiach i nie był sam. Obok tkwił posępny, ostrzyżony na zero chłopak. - To Riug. Czy on też mógłby tu przenocować?

- Riug - powiedziałem w zadumie, masując policzki. - Riug, znaczy... oczywiście, nawet dwóch Riugów... Słuchaj, Len, czemu nie przyszedłeś choćby pięć minut wcześniej?

- Przecież ona tu była. Patrzyliśmy w okno, czekaliśmy, aż ona wyjdzie.

- Tak? Bardzo interesujące. Riug, a co na to twoi rodzice?

Riug milczał. Odezwał się Len:

- On nie miewa rodziców.

- Dobrze - powiedziałem, czując lekkie zmęczenie. - A nie będziecie urządzać wojny na poduszki?

- Nie - odparł Len bez uśmiechu. - Będziemy spać.

- Dobrze. Zaraz wam pościelę, a wy tu szybko posprzątajcie...

Pościeliłem im na tapczanie i na fotelach, a oni od razu się rozebrali i położyli. Zamknąłem drzwi do holu, zgasilem u nich światło i przeszedłem do swojej sypialni. Jakiś czas siedziałem przy oknie, słuchając, jak oni szepczą, kręcą się i przesuwają meble. Potem ucichli. Około jedenastej w domu rozległ się odgłos tłuczonego szkła. Ciocia Wajna zaintonowała jakiś marsz. Znowu brzęk szkła. Widocznie niezmordowany Peti znowu padał mordą. Z miasta dobiegało: "Dreszczka, dreszczka!". Ktoś głośno wymiotował na ulicy.

Zamknąłem okno i spuściłem rolety. Drzwi prowadzące z gabinetu do sypialni też zamknąłem. Poszedłem do łazienki i puściłem gorącą wodę. Wszystko robiłem zgodnie z instrukcją: postawiłem radio na półeczce, wrzuciłem do wody kilka tabletek devonu i kryształki soli aromatycznych, i już miałem połknąć jedną tabletkę, gdy przypomniałem sobie, że trzeba się jeszcze "rozluźnić". Nie chciałem niepokoić chłopców, zresztą nie musiałem - napoczęta butelka brandy stała w szafeczce. Upiłem kilka łyków z butelki, zakąsiłem tabletkę, rozebrałem się do naga, wszedłem do wody i włączyłem radio.

11.

Specjalnie nie ustawiłem termoregulatora i gdy woda ostygła, ocknąłem się. Wyło radio, odbłask białego światła na białych ścianach raził oczy. Zmarzłem, miałem gęsią skórę. Wyłączyłem radio, puściłem gorącą wodę i zostałem w wannie, rozkoszując się ciepłem i bardzo dziwnym, szalenie nowym wrażeniem kompletnej, kosmicznie ogromnej pustki. Czekałem na kaca, ale nie nadchodził. Było mi tylko dobrze i miałem bardzo dużo wspomnień. I bardzo dobrze mi się myślało, jak po długim wypoczynku w górach...

W połowie ubiegłego stulecia Olds i Milner zajmowali się eksperymentami stymulacji mózgu. Wszczepili elektrody w mózg białych szczurów. To była barbarzyńska technika i barbarzyńska metodologia, ale odszukali w mózgach szczurów ośrodki przyjemności i osiągnęli to, że szczury całymi godzinami naciskały dźwignię zamykającą obwód prądu, aplikując sobie do ośmiu tysięcy samopobudzeń na godzinę. Te szczury nie potrzebowały niczego realnego. Nie chciały o niczym wiedzieć, ważna była jedynie dźwignia. Ignorowały jedzenie, wodę, zagrożenie, samicę, nic ich nie interesowało poza dźwignią stymulatora. Później przeprowadzono identyczne eksperymenty z małpami i osiągnięto te same rezultaty. Krążyły słuchy, że ktoś robił takie eksperymenty z więźniami skazanymi na śmierć...

Dla ludzkości to były ciężkie czasy - czasy atomowego zagrożenia, czasy zaciekłych małych wojen na całym świecie, czasy, gdy znaczna część ludzkości głodowała. Ale nawet wtedy angielski pisarz i krytyk Kingsley Amis, gdy dowiedział się o doświadczeniach ze szczurami, napisał: "Nie będę twierdził, że obawiam się tego bardziej niż kryzysu berlińskiego czy tajwańskiego, ale sądzę, że powinno nas to bardziej przerażać".

Wielu rzeczy bał się ten mądry i zjadliwy autor "Nowych map piekła". I przewidział możliwość stymulacji mózgu w celu stworzenia iluzorycznego bytu, równie bądź znacznie bardziej atrakcyjnego niż byt rzeczywisty.

Pod koniec wieku, gdy zarysowywały się pierwsze triumfy psychotechniki falowej i zaczęły pustoszyć szpitale psychiatryczne, komentatorzy naukowcy piali peany pochwalne. Wśród ogólnych zachwytych broszurka Krynickiego i Milowanowicza zabrzmiała jak zgrzyt. W podsumowaniu pedagog Krynicki i inżynier Milowanowicz pisali tak: W ogromnej większości krajów świata wychowanie młodego pokolenia znajduje się na poziomie przełomu osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Ów system wychowania stawiał i stawia sobie za cel przede wszystkim przygotowanie społeczeństwu wykwalifikowanego uczestnika procesu produkcyjnego. System nie jest zainteresowany pozostałym potencjałem ludzkiego mózgu, dlatego poza procesem produkcyjnym współczesny człowiek pozostaje - psychologicznie -

człowiekiem jaskiniowym, człowiekiem niewychowanym. Efektem niewykorzystania tych potencjałów jest niezdolność jednostki do odbioru skomplikowanego świata we wszystkich jego sprzecznościach, niezdolność do powiązania psychologicznie niespójnych pojęć i zjawisk, jeśli nie dotyczą one bezpośrednio zaspokojenia najbardziej prymitywnych instynktów społecznych. Innymi słowy, ten system wychowania praktycznie nie rozwija w człowieku czystej wyobraźni, fantazji i - co za tym idzie - poczucia humoru. Człowiek niewychowany odbiera świat jako trywialny, rutynowy, tradycyjnie prosty proces, z którego jedynie za cenę ogromnego wysiłku udaje się wycisnąć jakieś rozrywki, również dość rutynowe i tradycyjne. Niewykorzystane potencjały pozostają wówczas ukrytą rzeczywistością ludzkiego mózgu. I zadanie pedagogiki polega na tym, by wprawić w ruch owe potencjały, nauczyć człowieka fantazji, przemienić różnorodność potencjalnych związków ludzkiej psychiki w jakościową i ilościową zgodę na różnorodność związków świata realnego. To zadanie, jak twierdzili autorzy, powinno stać się głównym zadaniem ludzkości w najbliższej epoce. I dopóki pozostaje niewykonane, mamy podstawy przypuszczać i obawiać się, że sukcesy psychotechniki doprowadzą do powstania sposobów stymulacji falowej, które ofiarują człowiekowi iluzoryczny byt, swoją barwnością i atrakcyjnością znacznie przewyższający byt realny. I jeśli pamiętać, że fantazja pozwala człowiekowi być zarówno istotą rozumną, jak i zwierzęciem, jeśli dodać do tego, że materiał psychiczny do stworzenia olśniewającego iluzorycznego bytu wyraża się u człowieka niewychowanego najciemniejszymi, najbardziej prymitywnymi odruchami, wtedy nietrudno wyobrazić sobie straszną pokusę, która czai się w podobnych możliwościach.

A tu sleg.

Już rozumiem, dlaczego słowo "sleg" piszą tu na płotach...

Teraz wszystko rozumiem... to przykre, ale rozumiem. Już lepiej byłoby, gdybym niczego nie rozumiał, gdybym ocknął się, wzruszył ramionami i wyszedł z wanny rozczarowany. Ciekawe, czy Strogow też by to rozumiał, albo Einstein, albo Petrarca? Fantazja to bezcenna rzecz, ale nie wolno jej dawać drogi w głąb. Tylko na zewnątrz... Jak smacznego robaka umocowała na wędce jakaś fabryka! I jak idealnie wybrany czas... O tak, gdybym ja dowodził Marsjanami Wellsa, nie grzebałbym się z trójnogami bojowymi, promieniem cieplnym i innymi bzdurami. Iluzoryczny byt... nie, to nie narkotyki... gdzie narkotykom do niego, to właśnie to, co powinno być. Tutaj. Teraz. Każdy czas ma coś swojego. Ziarna maku i konopie, królestwo słodkich, niewyraźnych cieni i spokoju - dla wycieńczonych biedaków, dla zaszczutych ludzi... Ale tutaj nikomu nie jest potrzebny spokój, tutaj nikogo nie gnębią i nikt nie umiera z głodu, tutaj jest po prostu nudno. Syto, ciepło,

pięknie i nudno. Świat nawet nie jest zły, świat jest nudny. Świat bez perspektyw, świat bez obietnic...

A to przecież nie karaś, to mimo wszystko człowiek... to nie królestwo cieni, to właśnie życie, prawdziwe, bez taryfy ulgowej, bez gmatwaniny snów... sleg nadciąga nad świat, a świat nie ma nic przeciwko temu, żeby poddać się slegowi. I wtedy, na jakąś setną sekundy poczułem, że zginąłem. I ta śmierć była przyjemna. Na szczęście się rozzłościłem. Wyszedłem z wanny, rozchlapując wodę, klnąc i rozpalając w sobie złość, włożyłem na mokre ciało slipki i koszulę, chwyciłem zegarek. Była trzecia. To mogła być trzecia po południu i trzecia następnej nocy, i trzecia godzina za sto lat. Idiota, pomyślałem, wciągając spodnie. Wzruszył się, wypuścił Bubę, a przecież on gotów był dać mi adres meliny... oficerowie operacyjni już by tam byli i nakrylibyśmy całe to przeklęte gniazdo. Ohydne gniazdo. Gniazdo pluskiew. Obrzydliwą kloakę... i w tym momencie po dnie świadomości niczym słoneczny zajączek przemknęła jakaś bardzo spokojna myśl. Ale jej nie uchwyciłem.

Z apteczki wziąłem potomak - najsilniejszy środek pobudzający, jaki znalazłem. Wsunąłem się do salonu, gdzie posapywali chłopcy, i wyszedłem przez okno. Miasto, rzecz jasna, odpoczywało. Na Podmiejskiej pod latarniami wystawały rżące nastolatki, po zalanych światłem magistralach włączyły się hałaśliwe tłumy. W oddali śpiewano piosenki, słychać było wycie: "Dreszczka!", gdzieś tłuczono szyby. Złapałem taksówkę bez kierowcy, znalazłem indeks ulicy Słonecznej i wybrałem na pulpicie sterowania. Samochód zaczął krążyć po mieście. W środku śmierdziało kwasem, pod nogami turlały się butelki. Na jakimś skrzyżowaniu omal nie wjechałem w korowód wyjących ludzi, na drugim rytmicznie zapalały się i gasły kolorowe światła, widocznie dreszczkę można urządzać nie tylko na placach. Oni wypoczywali, wypoczywali na całego, ci serdeczni kapłani salonów dobrego nastroju, uprzejmi celnicy, mistrzowie fryzjerscy, czułe matki i odważni ojcowie, niewinni młodzieńcy i dziewczęta, wszyscy zamienili dzienny obraz na nocny, wszyscy starali się, żeby było wesoło i żeby nie trzeba było o niczym myśleć...

Zahamowałem. W tym samym miejscu. Nawet mi się zdawało, że poczułem zapach spalenizny... Peck walnął w transporter opancerzony z grzechotki. Transporter zakręcił na jednej gąsienicy, telepiąc się na stertach potłuczonych cegieł. Wskoczyło z niego dwóch faszystów w rozchełstanych bluzach, rzucili w naszą stronę dwa granaty i pomknęli w cień. Działali umiejętnie i zwinnie, było jasne, że to nie smarkacze z królewskiego gimnazjum i nie kryminaliści ze Złotej Brygady, lecz prawdziwi starzy wyjadacze, oficerowie, czołgiści. Robert ściał ich serią z cekaemu. Transporter był wypełniony skrzynkami piwa w puszkach. Nagle przypomnieliśmy sobie, że od dwóch dni ciągle chce nam się pić. Iowa Smith wszedł

do środka i zaczął podawać nam puszki. Peck otwierał puszkę nożem, Robert oparł cekaem o burtę i przebijał puszki uderzeniem o ostry występ na pancerzu. A nauczyciel, poprawiając binokle, płątał się w pasach grzechotki i mamrotał:

- Niech pan chwileczkę poczeka, Smith, widzi pan, że mam zajęte ręce.

Na końcu ulicy jasno płońał pięciopiętrowy dom, pachniało spalenizną i gorącym metalem, my chciwie piliśmy ciepłe piwo i byliśmy mokrzy, i było bardzo gorąco, a martwi oficerowie leżeli na potłuczonych, pokruszonych ceglach, z jednakowo rozrzuconymi nogami w krótkich czarnych spodniach, koszule zwinęły im się na karku i skóra na ich plecach jeszcze połyskiwała od potu.

- To oficerowie - powiedział nauczyciel. - Chwała Bogu. Nie mogę już patrzeć na martwych chłopców. Przeklęta polityka, przez którą ludzie zapominają o Bogu.

- Jakim Bogu? - zapytał Iowa Smith z wnętrza samochodu. - Pierwszy raz słyszę.

- Nie należy z tego żartować - powiedział nauczyciel. - To wszystko niedługo się skończy, potem nigdy i nikomu nie będzie wolno truć duszy ludzkich marnością.

- To jak będą się rozmnażać? - zapytał Iowa Smith. Znowu schylił się po piwo i zobaczyliśmy wypalone dziurki na jego pośladkach.

- Mówię o polityce - rzekł nauczyciel łagodnie. - Faszyści muszą zostać zlikwidowani, to zwierzęta, ale to nie wystarczy. Jest jeszcze dużo partii politycznych i dla nich wszystkich z całą tą propagandą nie ma miejsca w naszym kraju. - Nauczyciel pochodził z tego miasta i mieszkał dwie ulice od naszego posterunku. - Socjalanarchiści, technokraci, oczywiście komuniści...

- Ja jestem komunistą - oznajmił Iowa Smith. - W każdym razie z przekonania. Jestem za komuną.

Nauczyciel popatrzył na niego zaskoczony.

- I jestem bezbożnikiem - dodał Iowa. - Boga nie ma, nauczycielu, i nic się na to nie poradzi.

Wtedy zaczęliśmy mówić jeden przez drugiego, że jesteśmy bezbożnikami, Peck powiedział, że on dodatkowo jest za technokracją, a Robert oświadczył, że jego ojciec jest socjalanarchistą, i dziadek był socjalanarchistą, i jemu, Robertowi, też pewnie przyjdzie zostać socjalanarchistą, chociaż nie wie, co to takiego.

- Gdyby na przykład piwo zrobiło się teraz lodowate - powiedział w zadumie Peck - z przyjemnością uwierzyłbym w Boga.

Nauczyciel uśmiechał się skonfundowany i przecierał binokle. Był dobry i zawsze pokpiwaliśmy sobie z niego, a on się nie obrażał. Już pierwszej nocy zauważyłem, że nie jest

zbyt odważny, a jednak nigdy nie wycofywał się z załogi. Wszyscy żartowaliśmy i gadaliśmy, gdy rozległ się trzask i zawaliła się ściana płonącego domu, i z wiru ognia, z kłębowiska iskier i dymu na naszą ulicę wypłynął - trzymając się metr nad jezdnią - czołg szturmowy Mamut. Czegoś tak przerażającego jeszcze nie widzieliśmy. Wypłynął na środek ulicy, poruszył celownikiem, jakby się rozglądał, następnie ukrył poduszkę powietrzną i ze zgrzytem ruszył w naszą stronę. Ochłonałem dopiero w bramie. Czołg był coraz bliżej, ja początkowo nie zobaczyłem nikogo z naszych, ale potem z samochodu pancernego wysunął się na całą wysokość Iowa Smith, wystawił przed siebie grzechotkę, oparł kolbę o brzuch i zaczął celować. Widziałem, jak odbicie zgięło go wpół, jak po czarnym przodzie czołgu przebiegła ognista kreska, a potem ulica wypełniła się hukami i płomieniem, i gdy z trudem uniosłem opalone powieki, ulica była pusta, tylko czołg i dym. Nie było transportera, nie było stert rozbitych cegieł, nie było przekrzywionego kiosku przy sąsiednim domu, był tylko czołg. Mamut jakby się dopiero obudził, wyrzucał wodospady ognia i ulica przestawała być ulicą, przemieniała się w plac. Peck mocno uderzył mnie w szyję i tuż przed swoją twarzą zobaczyłem jego szklane oczy, ale nie było już czasu, żeby biec do rowu. We dwóch wzięliśmy miny i pobiegliśmy w kierunku czołgu. Pamiętam tylko, że przez cały czas patrzyłem na kark Pecka, traciłem oddech i liczyłem kroki, i nagle Peckowi spadł z głowy hełm i Peck upadł, i omal nie upuścił ciężkiej miny, a ja upadłem na niego. Czołg wysadzili w powietrze Robert i nauczyciel. Nie wiem, jak i kiedy to zrobili - chyba biegli za nami z drugą miną. Przesiedziałem do rana na środku ulicy, trzymając na kolanach obandażowaną głowę Pecka i patrząc na ogromne gąsienice czołgu sterczące z asfaltowego jeziora. Tego samego ranka wszystko się skończyło. Zun Padana poddał się z całym swoim sztabem i już jako jeniec został zastrzelony na ulicy przez szaloną kobietę...

To było to samo miejsce. Nawet mi się zdawało, że pachnie spalenizną i stopionym metalem. I nawet kiosk stał na rogu, i był trochę przekrzywiony, w stylu nowej architektury. Część ulicy, którą czołg przemienił w plac, pozostała placem, a na miejscu asfaltowego jeziora był skwer i na tym skwerku kogoś bili. Iowa Smith był inżynierem meliorantem z Iowa, USA. Robert Święcicki był reżyserem z Krakowa, Polska. Nauczyciel był nauczycielem w szkole, w tym mieście. Żadnego z nich nigdy później nie widziałem, nawet martwego. A Peck był Peckiem, który teraz stał się Bubą. Włączyłem silnik.

Buba mieszkał w takim samym domku jak ja. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Zastukałem, ale nikt się nie odezwał i nie wyszedł. W ciemnym holu światło się nie zapaliło. Drzwi prowadzące na prawą połowę były zamknięte, zajrzałem do lewej. W salonie, na rozgrzebanym tapczanie spał brodaty mężczyzna w marynarce i bez spodni. Czyjeś nogi

wystawały spod przewróconego stołu. Pachniało koniakiem, dymem papierosowym i jeszcze czymś słodkim, jak ostatnio z salonu cioci Wajny. W drzwiach gabinetu wpadłem na piękną kobietę. Bynajmniej się nie zdziwiła na mój widok.

- Dobry wieczór - powiedziałem. - Przepraszam, czy tu mieszka Buba?

- Tutaj - odparła, przyglądając mi się błyszczącymi, jakby maślanymi oczami.

- Mogę się z nim zobaczyć?

- Dlaczego nie? Jeśli pan ma ochotę.

- Gdzie on jest?

- Ale z pana dziwak! - roześmiała się. - A gdzie może być Buba?

Domyślałem się gdzie, ale wolałem się upewnić.

- Nie wiem. Może w sypialni?

- Ciepło...

- Co ciepło?

- Głupiec. I w dodatku trzeźwy. Chcesz się napić?

- Nie - odmówiłem gniewnie. - Gdzie jest Buba? Jest mi pilnie potrzebny.

- Tym gorzej dla ciebie - powiedziała wesoło. - Szukaj sobie, a ja idę.

Poklepała mnie po policzku i wyszła.

W gabinecie było pusto. Na biurku stał wielki kryształowy wazon z jakimś czerwonym świństwem. Świństwo pachniało słodko i mdło. W sypialni też nikogo nie było, pogniecione prześcieradła i poduszki leżały gdzie popadło. Podeszedłem do drzwi łazienki. Strzelano do nich z pistoletu - od wewnątrz, jeśli sądzić po kształcie dziur. Zawahałem się i chwyciłem za klamkę. Drzwi były zamknięte.

Z trudem je otworzyłem. Buba leżał w wannie, po szyję zanurzony w zielonkawej wodzie. Nad wodą unosiła się para. Na brzegu wanny chrypiało i wyło radio. A ja stałem i patrzyłem na Bubę. Na byłego kosmonautę, badacza Pecka Zenaya. Na byłego zgrabnego, muskularnego chłopaka, który w wieku osiemnastu lat porzucił swoje słoneczne miasto nad brzegiem ciepłego morza i poleciał w kosmos na chwałę ludzkości, a mając trzydzieści, wrócił do ojczyzny, żeby walczyć z ostatnimi faszystami, i został tu na zawsze. Zrobiło mi się niedobrze na myśl, że godzinę temu byłem do niego podobny. Poklepałem go po twarzy, chwyciłem za rzadkie włosy. Nie poruszył się. Wtedy pochyliłem się nad nim, żeby dać mu powąchać potomak, i zrozumiałem, że on nie żyje.

Zrzuciłem radio na podłogę, rozdeptałem obcasem. Na podłodze leżał pistolet, ale Peck się nie zastrzelił. Pewnie mu przeszkadzano i strzelał w drzwi, żeby zostawili go w spokoju. Wsunąłem ręce do gorącej wody, podniosłem go i przeniósłem do sypialni na łóżko.

Leżał obwisły, straszny, z zapadniętymi oczami. Gdyby nie był moim przyjacielem... gdyby nie był takim wspaniałym chłopakiem... gdyby nie był takim świetnym pracownikiem...

Wezwałem przez telefon pogotowie i usiadłem obok Pecka. Starłem się o nim nie myśleć. Starłem się myśleć o sprawie. I próbowałem być twardy i zimny, bo przez dno mojej świadomości przebiegł ciepły, słoneczny zajaczek i tym razem wiedziałem, co to za myśl. Gdy przyjechał lekarz, już wiedziałem, co zrobię. Znajdę Ela. Zapłacę mu każde pieniądze. Może będę go bił. W razie potrzeby - torturował. On mi powie, skąd wypelza ta zaraza. Poda mi adresy i nazwiska. Opowie o wszystkim. I my znajdziemy tych ludzi. Rozgromimy i spalimy tajne zakłady, a ludzi wywieziemy tak daleko, że nie zdołają już nigdy wrócić, bez względu na to, kim są. Wyłapiemy wszystkich, którzy kiedykolwiek próbowali slegu, i ich również odizolujemy. Bez względu na to, kim są. Potem zażądam, żeby odizolowano mnie, ponieważ wiem, czym jest sleg. Ponieważ zrozumiałem, co to była za myśl, ponieważ jestem niebezpieczny dla społeczeństwa, tak samo jak oni wszyscy. Ale to będzie dopiero początek. Początek wszelkiego początku, potem nastąpi to najważniejsze: sprawić, żeby ludzie nigdy, przenigdy, nie zapragnęli dowiedzieć się, czym jest sleg. Na pewno wyda się to dziwne. Na pewno bardzo wielu ludzi powie, że to jest zbyt dzikie, zbyt okrutne, zbyt głupie, ale będziemy musieli to zrobić, jeśli chcemy, żeby ludzkość się nie zatrzymała...

Lekarz, stary, siwy człowiek, postawił białą torbę, pochylił się nad Bubą, obejrzał go i rzekł obojętnie:

- Beznadziejna sprawa.

- Niech pan wezwie policję - powiedziałem.

Powoli chował swoje instrumenty do torby.

- Nie ma takiej potrzeby - zauważył. - Nie zostało popełnione przestępstwo. To neurostymulator...

- Wiem.

- No właśnie. Drugi przypadek w ciągu tej nocy. Nie znają umiaru.

- Dawno się to zaczęło?

- Niezbyt. Kilka miesięcy temu.

- To dlaczego, do cholery, milczycie?

- Milczymy? Nie rozumiem. To szóste wezwanie w ciągu tej nocy, młody człowieku.

Drugi przypadek wyczerpania nerwowego i cztery przypadki białej gorączki. Jest pan jego krewnym?

- Nie.

- No nic, przyślę ludzi. - Postać chwilę, patrząc na Pecka. - Wstępujcie do kółek i chórów. Zapisujcie się do ligi nawróconych prostytutek...

Coś jeszcze mamrotał, wychodząc - stary, obojętny, zgarbiony człowiek. Przykryłem Pecka prześcieradłem, opuściłem rolety i wyszedłem do salonu. Pijani ohydnie chrapali, śmierdzieli przetrawionym alkoholem. Wziąłem obu za nogi, wyciągnąłem na podwórko i zostawiłem w kałuży obok fontanny. Znowu rozpałał się świt, gwiazdy gasły na blednącym niebie. Wsiadłem do taksówki i wystukałem na pulpicie indeks Starego Metra.

Teraz było tu dużo ludzi. W rejestracji nie mogłem się dopchać do barierki, chociaż blankiety wypełniały chyba trzy osoby, a pozostali jedynie patrzyli, wyciągając szyje. Ani okrągłogłowego, ani Ela za barierką nie było i nikt nie wiedział, gdzie ich znaleźć. Na dole, w przejściach i tunelach przepychali się i krzyczeli pijani, oszalani mężczyźni i rozhisteryzowane kobiety. Rozlegały się strzały - głuche, stłumione i głośne, ostre, bliskie; od wybuchów drżał beton pod nogami, cuchnęło spalenizną, prochem, benzyną, wódką i perfumami. Klaszczące w dłonie i piszczące dziewczyny cisnęły się do ociekającego krwią wielkoluda, który uśmiechał się triumfalnie; gdzieś ohydnie ryczały dzikie zwierzęta. W salach publiczność stała przed ogromnymi ekranami, a na ekranach ktoś z zawiązanymi oczami strzelał z automatu, przyciskając kolbę do brzucha, ktoś siedział zanurzony po pierś w gęstej cieczy, cały siny, i palił grube, trzeszczące cygaro, ktoś z wykrzywioną napięciem twarzą zastygł w pajęczynie mocno napiętych nici...

Potem dowiedziałem się, gdzie jest El. Obok brudnego pomieszczenia, zawałonego workami z piaskiem, zobaczyłem okrągłogłowego. Stał nieruchomo w drzwiach, twarz miał osmaloną, pachniał prochem i miał rozszerzone źrenice. Co pięć sekund pochylał się i otrząpywał kolana, nie słyszał mnie i musiałem nim mocno potrząsnąć, żeby mnie w ogóle zauważył.

- Nie ma Ela! - warknął. - Nie ma go, rozumiesz? Sam dym, rozumiesz? Dwadzieścia kilowoltów, sto amperów, rozumiesz? Nie doskoczył!

Odepchnął mnie mocno, odwrócił się i ruszył w głąb brudnego pomieszczenia, przeskakując worki z piaskiem. Rozpychał ciekawskich, przedarł się do niskich żelaznych drzwi.

- Puszczaj! - wrzeszczał. - To znowu ja! Bóg lubi trójcę!

Drzwi zatrzasnęły się za nim, ludzie odskoczyli, potykając się i przewracając. Nie czekałem, aż wyjdzie. Albo nie wyjdzie. Nie był mi już potrzebny. Został Rimeier. Była jeszcze Wuzi, ale na nią nie liczyłem. Więc tylko Rimeier. Nie będę go budził, poczekam pod drzwiami.

Słońce już wzeszło i brudne ulice były puste. Z jakichś podziemnych postojów wypęzły i brały się do pracy dozorczy-automaty. One znały tylko pracę, nie miały potencjałów, które trzeba rozwijać, ale za to nie miały pierwotnych instynktów. Obok Olimpika musiałem przystanąć, by przepuścić długą kolumnę czerwonych i zielonych ludzi, zakutych w dymiącą się łuskę, którzy, ciężko powłócząc nogami, wlekli się z jednej strony ulicy na drugą, ciągnąc za sobą zapach potu i farby. Stałem i czekałem, aż przejdą, a słońce już oświetlało bryłę hotelu i wesoło połyskiwało na metalowej twarzy Władimira Siergiejewicza Jurkowskiego, spoglądającego, tak samo jak za życia, ponad głowami innych. Gdy procesja przeszła, wszedłem do hotelu. Portier drzemał za swoją barierką. Obudził się, obdarzył mnie zawodowym uśmiechem i zapytał świeżym głosem:

- Życzy pan sobie pokój?

- Nie. Idę do pana Rimeiera.

- Do Rimeiera? Przepraszam... pokój dziewięćset dwa?

Zatrzymałem się.

- Chyba tak. O co chodzi?

- Bardzo przepraszam, ale pana Rimeiera nie ma.

- Nie ma? Jak to?

- Wyjechał.

- To niemożliwe, przecież jest chory... nie myli się pan? Pokój dziewięćset dwa.

- Wszystko się zgadza, pokój dziewięćset dwa. Rimeier. Nasz stały klient. Wyjechał półtorej godziny temu. A raczej wyleciał. Przyjaciele pomogli mu zejść na dół i wsiąść do helikoptera.

- Jacy przyjaciele? - spytałem bez nadziei.

- Powiedziałem: przyjaciele? Bardzo przepraszam, możliwe, że to tylko znajomi. Było ich trzech, dwóch z nich nie znam. Zwykli młodzi ludzie w typie sportowym. Tylko pana Pablebridge'a znam, zawsze u nas mieszka, ale już się wymeldował.

- Pablebridge?

- Tak jest. W ostatnim czasie dość często spotykał się z panem Rimeierem, z czego wywnioskowałem, że dobrze się znają. Mieszkał w pokoju osiemset siedemnaście... postawny mężczyzna, rude włosy, w sile wieku...

- Oscar...

- Zgadza się, pan Oscar Pablebridge.

- Rozumiem - powiedziałem, starając się panować nad sobą. - Więc mówi pan, że mu pomogli?

- Tak. Jest chory, wczoraj nawet wzywano do niego lekarza. Był jeszcze bardzo słaby, młodzi ludzie trzymali go pod rękę i prawie nieśli.

- A pielęgniarka? Przecież była u niego pielęgniarka?

- Była. Ale wyszła od razu po nich. Zwolnili ją.

- Jak się pan nazywa?

- Uale, do usług.

- Niech pan posłucha, Uale, nie odniósł pan czasem wrażenia, że pana Rimeiera wyprowadzono siłą?

Nie spuszczałem z niego wzroku. Zamrugał stropiony.

- Nie... - powiedział. - Zresztą teraz, kiedy pan o tym wspomniał...

- Dobrze. Niech mi pan da klucz od jego pokoju i idzie ze mną.

Portierzy, jak wiadomo, to bardzo bystrzy ludzie. A przynajmniej do pewnych rzeczy mają niesamowitego nosa. Byłem pewien, że już się domyślił, kim jestem. A może nawet skąd jestem. Zawołał szwajcara, coś mu szepnął i wjechaliśmy windą na dziewiąte piętro.

- Jaką walutą płacił? - zapytałem.

- Kto? Pablebridge?

- Tak.

- Chyba... Ach tak, markami. Niemieckimi markami.

- I kiedy do was przyjechał?

- Chwileczkę... niech sobie przypomnę... szesnaście marek... dokładnie cztery dni temu.

- Wiedział, że Rimeier u was mieszka?

- Przepraszam, tego nie mogę powiedzieć. Ale przedwczoraj jedli razem obiad. A wczoraj długo rozmawiali w westybulu. Wcześniej rano, gdy jeszcze nikt nie spał.

W pokoju Rimeiera było nienaturalnie czysto. Obejrzałem każdy kąt. W szafie ściennej stały walizki. Pościel była pomięta, ale nie zauważyłem żadnych śladów walki. W łazience też było czysto. Na półeczce leżały opakowania devonu.

- Jak pan sądzi, czy powinienem wezwać policję? - zapytał portier.

- Nie wiem. Proszę się poradzić administracji.

- Rozumie pan, znowu zacząłem mieć wątpliwości. Wprawdzie nie pożegnał się ze mną... ale wyglądało to zupełnie niewinnie. Przecież mógł dać mi jakiś znak, zrozumiałbym, znamy się od dawna... a on tylko prosił pana Pablebridge'a: "Radio, niech pan nie zapomni radia".

Radio leżało pod lusterkiem, przykryte rzuconym niedbale ręcznikiem.

- Tak? I cóż odpowiedział pan Pablebridge?

- Pan Pablebridge uspokajał go i mówił: “Oczywiście, oczywiście, niech się pan nie denerwuje”.

Wziąłem radio, wyszedłem z łazienki i usiadłem przy biurku. Portier patrzył to na mnie, to na radio. Tak, pomyślałem, teraz wie, po co przyszedłem. Włączyłem radio. Zacharczało i zaczęło wyć. Wszyscy wiedzą o slegu. Nie potrzebuję Ela, nie potrzebuję Rimeiera, mogę wziąć kogokolwiek, pierwszego lepszego człowieka. Tego portiera na przykład. Choćby teraz. Wyłączyłem radio i poprosiłem:

- Niech pan będzie tak dobry i włączy wieżę.

Portier drobnymi kroczkami podbiegł do wieży, włączył i spojrzał na mnie pytająco.

- Niech pan zostawi tę stację - powiedziałem. - Troszkę ciszej, jeśli można. Dziękuję panu.

- Więc nie radzi mi pan wzywać policji? - zapytał.

- Jak pan chce.

- Wydawało mi się, że wypytyjąc mnie, miał pan na myśli coś bardzo konkretnego.

- Tylko się panu wydawało - odparłem zimno. - Po prostu nie przepadam za panem Pablebridge'em. Pana to nie dotyczy.

Portier skłonił się.

- Zostanę chwilę - powiedziałem. - Mam przecucie, że pan Pablebridge wróci. Proszę go nie uprzedzać, że tu jestem. Może pan już iść.

- Tak jest - rzekł portier.

Gdy wyszedł, zadzwoniłem do biura obsługi i podyktowałem telegram do Marii: “Znalazłem sens życia ale jestem samotny brat nieoczekiwanie wybył przyjeżdżaj natychmiast iwan”. Potem znowu włączyłem radio, a ono znowu zacharczało i zawyło. Zdjąłem przykrywkę i wyjąłem heterodyne. To nie była heterodyna. To był sleg. Śliczny element, wyraźnie produkcji fabrycznej. Im dłużej mu się przyglądałem, tym bardziej wydawało mi się, że gdzieś, kiedyś - na długo przed przyjazdem tutaj, i to nieraz - widziałem takie elementy w jakimś bardzo znajomym przyrządzie. Próbowałem sobie przypomnieć gdzie, ale zamiast tego przypominałem sobie portiera, jego twarz, jego uśmiezek, jego pełne zrozumienia, współczujące oczy. Wszyscy są zarażeni. Nie, oni nie próbowali slegu, uchowaj Boże! Nawet go nigdy nie widzieli. To przecież takie nieprzyzwoite, to przecież świństwo nad świństwami... Ciszej, moja droga, jak można przy chłopcu?... Ale przecież mówiono mi, że to coś niezwykłego... Ja? Coś ty, przyjacielu! Chyba nie masz o mnie najlepszego zdania... Nie wiem, podobno w Oazie, od Buby, ale ja nie wiem... A dlaczego nie? Jestem w stanie

zapanować nad sobą. Jeśli poczuję, że coś jest nie tak, zdołam się zatrzymać... poproszę o pięć opakowań devonu, wybieramy się (hi, hi!) na ryby...

Pięćdziesiąt tysięcy ludzi. I ich znajomi w innych miastach. I sto tysięcy turystów każdego roku. Nie chodzi o szajkę. Bóg z nią, co to dla nas rozpędzenie jakiejś tam bandy! Chodzi o to, że wszyscy są gotowi, wszyscy pragną slegu i i nie ma sposobu, by im udowodnić, że to jest straszne, że to śmierć, że to wstyd...

...No właśnie, rzekł Rimeier. W końcu zrozumiałeś. Trzeba po prostu być uczciwym wobec samego siebie. Na początku trochę wstyd, a potem zaczynasz rozumieć, jak wiele czasu zmarnowałeś.

...Rimeier, powiedziałem. Traciłem czas nie dla siebie. Tego nie można robić, po prostu nie można, to śmierć dla nas wszystkich, nie wolno zastępować życia snami.

...Żylin, kiedy człowiek coś robi, zawsze robi to dla siebie, rzekł Rimeier. Może istnieją na świecie absolutni egoiści, ale absolutnych altruistów nie ma. Jeśli masz na myśli śmierć w łazience, to po pierwsze, w realnym świecie i tak jesteśmy śmiertelni, a po drugie, skoro nauka dała nam sleg, nauka zatroszczy się o to, żeby sleg stał się nieszkodliwy. Przecież nie jesteś żółtodziobem, doskonale rozumiesz, że te sny to też jawa. To cały świat. Dlaczego wynalazek tamtego świata nazywasz śmiercią?

...Rimeier, powiedziałem. Dlatego że ten świat jest mimo wszystko iluzoryczny, jest cały w tobie, a nie poza tobą, i wszystko, co w nim robisz, pozostaje w tobie. Jest przeciwstawny do świata realnego, jest mu wrogi. Ludzie, którzy odchodzą do świata iluzji, umierają dla świata realnego. To tak jakby umierali naprawdę. I gdy do iluzorycznych światów odejdą wszyscy - a ty wiesz, że może się tak stać - skończy się historia ludzkości...

...Żylin, historia jest historią ludzi, rzekł Rimeier. Każdy człowiek chce przeżyć wartościowe życie i sleg daje ci takie życie. Wiem, ty uważasz, że nawet bez slegu żyjesz wartościowo, ale przyznaj - nigdy nie żyłeś tak barwnie i z takim żarem jak dzisiaj w wannie. Trochę wstydzisz się tych wspomnień i chyba nie opowiedziałbyś o tym życiu innym. Nie trzeba. Oni mają swoje życie, ty masz swoje...

...Rimeier, to wszystko prawda, powiedziałem. Ale przeszłość, kosmos, szkoła, walka z faszystami i z gangsterami... czy to wszystko ma się zmarnować? Czterdzieści lat przeżyłem na próżno? A inni? Też na próżno?...

...Żylin, w historii nie ma nic "na próżno", rzekł Rimeier. Jedni walczyli i nie dożyli do slegu. A ty walczyłeś i dożyłeś...

...Rimeier, boję się o ludzkość, powiedziałem. To przecież koniec. To koniec współistnienia człowieka z przyrodą, koniec współistnienia jednostki i społeczeństwa, koniec

stosunków pomiędzy jednostkami, to koniec rozwoju, Rimeier. Miliardy ludzi w wannach, zanurzeni w gorącej wodzie, pogrążeni w sobie. Tylko w sobie...

...Żylin, to się wydaje straszne, bo jest nowe i niezwykle, rzekł Rimeier. A co się tyczy końca, to nastąpi on jedynie dla realnego społeczeństwa i dla realnego progresu. Pojedynczy człowiek nic nie straci, on tylko zyska, bo jego świat stanie się nieporównanie bardziej wyrazisty, jego związki z przyrodą - iluzoryczną oczywiście - staną się bardziej urozmaicone, a związki ze społeczeństwem - również iluzorycznym, ale przecież człowiek nie będzie o tym wiedział - staną się silniejsze i bardziej owocne. I nie warto przejmować się końcem rozwoju. Przecież wiesz, że wszystko ma swój koniec. A teraz kończy się rozwój realnego świata. Dawniej nie wiedzieliśmy, jak on się skończy. Teraz wiemy. Nie zdążyliśmy poznać całego potencjału realnego bytu, możliwe, że osiągnęlibyśmy to poznanie za sto lat, ale teraz mamy sleg, który daje ci odczucia odległych potomków i odległych przodków, odczucia, jakich nigdy nie doznasz w realnym życiu. Po prostu jesteś w niewoli starego ideału, ale myślę logicznie, ideał, który daje ci sleg, jest tak samo piękny... Przecież zawsze marzyłeś o człowieku z fantazją i gigantyczną wyobraźnią...

...Rimeier, żebyś ty wiedział, jaki jestem zmęczony, powiedziałem. Jak obrzydły mi spory. Przez całe życie spieram się i dyskutuję ze sobą i innymi ludźmi. Zawsze lubiłem dyskusje - w przeciwnym razie życie nie byłoby życiem. Ale zmęczyłem się właśnie teraz i właśnie o slegu nie chcę dyskutować...

...W takim razie idź, Iwanie Żylinie, rzekł Rimeier.

Włożyłem sleg do radia. Tak jak on wtedy. Wstałem. Tak jak on wtedy. O niczym już nie myślałem i już nie należałem do tego świata, ale jeszcze usłyszałem, jak powiedział: Tylko nie zapomnij starannie zamknąć drzwi, żeby nikt ci nie przeszkadzał.

I wtedy usiadłem.

Ach więc to tak, Rimeier! Więc tak to było! Poddajesz się. Dokładnie zaniknąłeś drzwi. A potem pisałeś kłamliwe raporty, że żadnego slegu nie ma. A jeszcze później, po minucie wahania, posłałeś mnie na śmierć, żebym ci nie przeszkadzał. Twój ideał to gówno, Rimeier. Jeśli w imię ideału człowiek robi podłe rzeczy, ten ideał jest gówno wart. Właśnie tak, Rimeier. Tak. Mógłbym powiedzieć ci dużo więcej, slegaczu. Mógłbym jeszcze długo rozprawiać o tym, że nie tak łatwo wyrwać z krwi naturalne dążenie każdego człowieka do przystanku, dowolnego przystanku - śmierci, spokoju, kryzysu. Twój sleg to ta sama bomba atomowa, tylko z opóźnionym zapłonem i dla sytych. Ale nie będę o tym mówił. Powiem ci jedno: jeśli w imię ideału człowiek robi rzeczy podłe, to taki ideał jest gówno wart...

Zerknąłem na zegarek i wsunąłem radio do kieszeni. Znudziło mi się czekanie na Oscara. Byłem głodny. I miałem uczucie, jakbym zrobił w tym mieście - nareszcie! - coś pozytywnego. Zostawiłem portierowi swój telefon, na wypadek gdyby wrócił Rimeier albo Oscar, i wyszedłem na plac. Nie wierzyłem, że Rimeier mógłby wrócić ani że go kiedykolwiek zobaczę, lecz Oscar mógł dotrzymać obietnicy i przyjść, chociaż sądziłem raczej, że trzeba go będzie szukać. Ale szukać go będę nie ja i raczej nie tutaj.

12.

W kawiarni automacie był tylko jeden klient. W rogu, przy zastawionym zakąskami i butelkami stoliku siedział smagły mężczyzna o wschodniej urodzie, ubrany elegancko, ale dziwnie. Wziąłem sobie zsiadłe mleko i sernik, i zacząłem jeść, spoglądając na niego od czasu do czasu. Jadł i pił dużo i łapczywie, jego twarz lśniła od potu, było mu gorąco w tym idiotycznym błyszczącym fraku, sapał, odchyłał się na oparcie fotela, rozluźniał szeroki pas na spodniach. W słońcu połyskiwała długa żółta kabura wisząca pod połami fraka. Kończyłem jeść, gdy mężczyzna zawołał mnie nagle:

- Halo! Pan tutejszy?

- Nie. Turysta.

- Więc pan też nic nie rozumie.

Ze szklanką podszedłem do niego.

- Dlaczego tu tak pusto? - ciągnął. Miał żywą, szczupłą twarz i wściekłe spojrzenie. - Gdzie są mieszkańcy? Dlaczego wszystko pozamykane? Całe miasto śpi, nie ma nikogo...

- Dopiero pan przyjechał?

- Tak.

Odsunął pusty talerz, podsunął pełny. Napił się jasnego piwa.

- Skąd pan pochodzi? - zapytałem. Rzucił mi wściekłe spojrzenie i pośpiesznie dodałem: - Jeśli to nie tajemnica, oczywiście...

- Nie - odparł. - Nie tajemnica. - I zaczął jeść.

Dopiłem sok i już miałem wychodzić, gdy powiedział:

- Nieźle sobie żyją, dranie. Takie jedzenie, ile chcesz i wszystko za darmo.

- No, niezupełnie za darmo - zaprotestowałem.

- Dziewięćdziesiąt dolarów! Grosze! W ciągu trzech dni zjem za dziewięćdziesiąt dolarów! - Jego oczy nagle znieruchomiały. - Dranie! - wymamrotał i znowu wziął się do jedzenia.

Znałem takich ludzi. Przyjeżdżali z maleńkich, rozgrabionych do zupełnej nędzy królestw i republik, łapczywie jedli i pili, wspominając spalone słońcem, zakurzone ulice swoich miast, gdzie w żałosnych pasach cienia nieruchomości leżały umierające nagie kobiety i mężczyźni, a dzieci ze spuchniętymi brzuchami grzebały w śmietnikach na tyłach cudzoziemskich konsulatów. Byli pełni nienawiści i potrzebowali tylko dwóch rzeczy - chleba i broni. Chleba dla swojej szajki, znajdującej się w opozycji, i broni przeciwko drugiej szajce, będącej u władzy. Byli najbardziej żarliwymi patriotami, długo i gorąco mówili o

miłości do narodu, ale wszelką pomoc z zewnątrz stanowczo odrzucali, ponieważ nie kochali niczego prócz władzy i nikogo prócz siebie, i gotowi byli dla chwały narodu i triumfu zasad unicestwić swój naród, jeśli będzie trzeba - aż do ostatniego człowieka, głodem i cekaemami.

- Chleb i broń? - zapytałem.

Stał się czujny.

- Tak - powiedział. - Chleb i broń. Tylko bez idiotycznych warunków. I w miarę możliwości za darmo. Albo na kredyt. Prawdziwi patrioci nigdy nie mają pieniędzy. A rządząca klika pławi się w luksusie...

- Głód? - zapytałem.

- Wszystko, co pan tylko chce. A wy się tu pławicie w luksusie - obrzucił mnie nienawistnym spojrzeniem. - Cały świat pławi się w luksusie, tylko my głodujemy. Ale niech pan porzuci nadzieję. Rewolucji nie da się powstrzymać!

- Tak - zgodziłem się. - A przeciwko komu ta rewolucja?

- Walczymy przeciwko krwiopijcom Badszaha! Przeciwko korupcji i zбочeniom rządzącej góry, walczymy o wolność i prawdziwą demokrację... Naród jest z nami, ale naród trzeba karmić. A wy mówicie: damy wam chleb dopiero po rozbrojeniu. I jeszcze grozicie ingerencją... Co za ohydna, kłamliwa demagogia! Oszukiwanie rewolucyjnych mas! Rozbrojenie się wobec krwiopijców oznacza zarzucenie pętli na szyję prawdziwych bojowników! Odpowiadamy - nie! Nie oszukacie narodu! Niech rozbroi się Badszah i jego zbiry! Wtedy zobaczymy, co trzeba zrobić.

- Rozumiem - powiedziałem. - Ale prawdopodobnie Badszah też nie chce, żeby zarzucono mu pętlę na szyję.

Gwałtownie odstawił kufel z piwem i odruchowo sięgnął do kabury. Ale szybko się opanował.

- Wiedziałem, że pan nic nie rozumie. Jesteście syci, ogłupiali od tłuszczu, jesteście zbyt zarozumiali, by nas zrozumieć. W dżungli nie odważyłby się pan tak ze mną rozmawiać!

W dżungli rozmawiałbym z tobą inaczej, bandyto, pomyślałem.

- Rzeczywiście, wielu rzeczy nie rozumiem - przyznałem. - Nie rozumiem na przykład, co się stanie, kiedy już odniesiecie zwycięstwo. Założmy, że zwyciężyliście, powiesiliście Badszaha, jeśli nie zdążył uciec po chleb i broń...

- Nie zdąży. Dostanie to, na co zasłużył. Rewolucyjny naród rozerwie go na strzępy! Wtedy zaczniemy pracować, zbudujemy kombinaty chemiczne i zasypimy kraj jedzeniem i ubraniami. Odbierzemy tereny zabrane nam przez sytych sąsiadów. Wykonamy program, o którym wrzeszczy teraz kłamliwy Badszah, otumaniając naród. Dopiero wtedy i tylko wtedy

się rozbroimy. Nie potrzebujemy już waszej pomocy, rozumie pan? Rozbroimy się nie dlatego, że postawiliście nam takie warunki, ale dlatego że broń nie będzie nam już potrzebna. I wtedy... - zamknął oczy, jęknął i pokręcił głową.

- Wtedy będziecie syci, będziecie pławić się w luksusie i spać do południa?

Uśmiechnął się.

- Zasłużyłem na to. Naród na to zasłużył. I nikt nie będzie śmiał nam nic zarzucić. Będziemy pić i jeść, ile zechcemy, będziemy mieszkać w prawdziwych domach i powiemy narodowi: Teraz jesteście wolni, odpoczywajcie i bawcie się!

- I nie myślcie o niczym - dodałem. - A nie wydaje się panu, że to wszystko może wam wyjść bokiem?

- Niech pan da spokój! - powiedział dobrodusznie. - To demagogia. Jest pan demagogiem. I dogmatykiem. U nas też są tacy demagodzy. Mówią: Strzeżcie się sytości! Człowiek straci wtedy sens życia! Nie, odpowiadamy, człowiek niczego nie straci, człowiek znajdzie, a nie straci. Trzeba czuć naród, trzeba samemu być z narodu! Naród nie lubi mądrali! Bo w imię czego, do diabła, dajemy się jeść drzewnym pijawkom i sami żremy robaki? - Nagle uśmiechnął się dobrodusznie. - Pewnie się pan na mnie trochę obraził. Nazwałem pana sytym i jeszcze jakoś... Proszę się nie obrażać. Dostatek jest zły, gdy sam go nie masz i gdy ma go twój sąsiad. A dostatek zdobyty w walce to wspaniała rzecz! O niego warto walczyć! Wszyscy o to walczyli. Trzeba go zdobywać z bronią w ręku, a nie wymieniać na wolność i demokrację.

- Czyli jednak waszym ostatecznym celem jest dostatek?

- Bezsprzecznie!... Cel ostateczny to zawsze dostatek. Niech pan tylko weźmie pod uwagę, że my jednak przebieramy w środkach.

- Już wziąłem... A więc dostatek. A człowiek?

- Co człowiek?

Wiedziałem, że ten spór nie ma sensu.

- Nie był pan tu nigdy wcześniej?

- A co?

- Niech się pan zainteresuje. To miasto daje doskonałe lekcje poglądowe dostatku.

Wzruszył ramionami.

- Na razie mi się tu podoba - znowu odsunął pusty talerz i przysunął sobie pełny. - Jakieś takie nieznanne zakąski... wszystko tanie i smaczne... pozazdrościć - przełknął kilka łyżek sałatki i warknął: - Wiemy, że wszyscy wielcy rewolucjoniści walczyli o dostatek. Nie mamy czasu sami teoretyzować, ale nie trzeba. Teorii jest wystarczająco dużo bez naszego

udziału. Poza tym obfitość nam nie grozi. I jeszcze długo nie będzie nam zagrażać. Są zadania znacznie bardziej pilne.

- Powiesić Badszaha - powiedziałem.

- Tak, na początek. A potem będziemy musieli zlikwidować dogmatyków. Czuję to już teraz. Następnie realizacja naszych roszczeń prawnych. Potem pojawi się jeszcze coś. A dopiero potem-potem-potem nastanie dostatek. Jestem optymistą, ale nie wierzę, że tego dożyję. Więc proszę się nie martwić, jakoś to będzie. Jeśli z głodem sobie poradzimy, to z dostatkiem też... Dogmatycy mówią, że dostatek nie jest celem, lecz środkiem. Ale dzisiaj dostatek to cel. A dopiero jutro, być może, stanie się środkiem.

- Jutro może być już za późno - zauważyłem.

Popatrzył na mnie jak na umysłowo chorego. Wyszedłem.

Przechodząc obok witryny, spojrzałem na niego jeszcze raz. Siedział tyłem do ulicy i jadł z rozstawionymi łokciami.

Gdy przyszedłem do domu, salon był już pusty. Poduszki i kołdry chłopcy zwalili w kącie. Na biurku leżała przyciśnięta telefonem kartka. Dziecięcym charakterem pisma było nabazgrane: "Niech pan uważa. Ona coś wymyśliła. Kręciła się po sypialni". Westchnąłem i usiadłem w fotelu.

Do spotkania z Oscarem, jeśli ono w ogóle nastąpi, została jakaś godzina. Kładzenie się spać nie miało sensu, poza tym było niebezpieczne. Oscar mógł przyjść nie sam, wcześniej i nie przez drzwi. Wyjąłem z walizki pistolet, wstawiłem magazynek i wsunąłem do bocznej kieszeni. Potem wszedłem za bar, zrobiłem sobie kawę i wróciłem do gabinetu.

Wyjąłem sleg ze swojego radia i z radia Rimeiera, położyłem przed sobą na stole i znowu spróbowałem przypomnieć sobie, gdzie widziałem takie elementy i dlaczego wydaje mi się, że widziałem je nie raz. I przypominałem sobie. Poszedłem do sypialni i przyniosłem stamtąd fonor. Nawet nie potrzebowałem śrubokręta. Zdjąłem z fonora obudowę, wsunąłem palec wskazujący pod kielich odoratora, podczepiłem paznokciem i wyciągnąłem próżniowy tubusoid FH-92-u, pola statycznego, pojemność dwa. Sprzedawany w sklepach z elektroniką za pięćdziesiąt centów sztuka. W miejscowym żargonie - sleg.

Tak właśnie powinno być, pomyślałem. Zbiły nas z tropu wiadomości o nowym narkotyku. Zawsze robią nam wodę z mózgu informacje o nowych, potwornych wynalazkach. Już nieraz zdarzały się analogiczne przypadki. Gdy Mhagana i Buris zwrócili się do ONZ ze skargą, że separatyści używają nowego rodzaju broni, "zamrażających bomb", rzuciliśmy się do szukania podziemnych fabryk wojskowych i nawet aresztowaliśmy dwóch najprawdziwszych podziemnych wynalazców (szesnasto - i dziewięćdziesięciosześcioletka).

A potem się okazało, że oni nie mają z tym absolutnie nic wspólnego, a potworne zamrażające bomby zostały nabyte przez separatystów w Monachium, w hurtowni chłodziarek i okazały się wybrakowanymi supermaszynkami do robienia lodów. Co prawda, ich działanie rzeczywiście było straszne. W połączeniu z molekularnymi detonatorami (powszechnie stosowanymi przez podwodnych archeologów na Amazonce w celu odstraszenia piranii i kajmanów) maszynki powodowały natychmiastowe obniżenie temperatury do stu pięćdziesięciu stopni w promieniu dwudziestu metrów. Potem długo upominaliśmy się nawzajem, by nie zapominać i zawsze pamiętać o tym, że w naszych czasach dosłownie co miesiąc pojawia się cała masa technicznych nowinek o jak najbardziej pokojowym przeznaczeniu, z nieoczekiwanymi efektami ubocznymi. Efekty te często są takie, że łamanie prawa o produkcji broni zwyczajnie przestaje mieć sens. Staliśmy się bardzo ostrożni wobec nowych rodzajów broni stosowanych przez najróżniejszych ekstremistów i dokładnie rok później wpadliśmy na czym innym. Szukaliśmy wynalazców tajemniczej aparatury, za pomocą której kłusownicy wywabiali pterodaktyle daleko poza granice rezerwatu w Ugandzie, i znaleźliśmy błyskotliwą samoróbkę z zabawki “wstań-siadaj” i pewnego instrumentu dość powszechnie stosowanego w medycynie. A teraz złapaliśmy sleg - połączenie standardowego radia, standardowego tubusoida, standardowych chemikaliów oraz niezwykle standardowej gorącej wody. Krótko mówiąc, nie trzeba będzie szukać tajnej fabryki, pomyślałem. To już coś. Trzeba będzie szukać sprytnych i pozbawionych zasad spekulantów, którzy bardzo dobrze wyczuwają, że żyją w Krainie Głupców. Jak trychiny w świńskiej nodze... Pięciu, sześciu operatywnych ludzi interesu. Niewinna willa gdzieś za miastem. Pójść do sklepu, kupić za pięćdziesiąt centów tubusoid, zerwać z niego opakowanie i przełożyć do ślicznego pudełeczka z watą szklaną. I sprzedać (Tylko panu i tylko ze względu na naszą znajomość!) za pięćdziesiąt marek. No tak, był jeszcze wynalazca. I to pewnie niejeden. A nawet na pewno niejeden. Ale ciekawe, czy przeżyli, to przecież nie przynęta na pterodaktyle... I w ogóle czy tu chodzi o spekulantów? Niechby sprzedali jeszcze czterdzieści slegów, nawet sto. Nawet w Krainie Głupców ludzie powinni się wreszcie zorientować, co i jak. I kiedy się to stanie, sleg zacznie się rozprzestrzeniać jak pożar. Zatoszczą się o to moralisci z “Radości Życia”. Potem wystąpi doktor Opir i oświadczy, że sleg korzystnie wpływa na jasność myślenia, że jest niezastąpiony w walce z alkoholizmem i złym nastrojem. A ideałem przyszłości jest ogromna balia z gorącą wodą... i słowo sleg przestaną pisać na płotach... Oto kogo trzeba brać za gardło, jeśli w ogóle kogoś brać, pomyślałem. Przecież to nie spekulanci są nieszczęściem. W końcu spekulują tylko tym

towarem, na który jest zapotrzebowanie. Cóż, Maria i tak pośle nas do łapania spekulantów, pomyślałem ze znużeniem.

Do drzwi ktoś zastukał i wszedł Oscar. Rzeczywiście, nie był sam. Za nim wszedł sam Maria, szczupły, siwy, jak zawsze w ciemnych okularach i z grubą laską, podobny do ociemniałego weterana. Oscar uśmiechał się zadowolony.

- Dzień dobry, Iwanie - powiedział Maria. - Poznajcie się, to pański dubler Oscar Pablebridge. Z wydziału południowo-zachodniego.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Nigdy nie lubiłem w Radzie Bezpieczeństwa tych wszystkich omszałych tradycji, a ze wszystkich tradycji najbardziej złościł mnie idiotyczny system podwójnej konspiracji, przez którą stale walimy się po mordach, ciągle do siebie strzelamy - zazwyczaj dość celnie. To nie praca, tylko zabawa w policjantów i złodziei... Do diabła z nimi wszystkimi...

- Planowałem dziś pana zdjąć - oznajmił Oscar. - W życiu nie widziałem bardziej podejrzanego osobnika.

W milczeniu wyjąłem z kieszeni pistolet, rozładowałem go i wrzuciłem do szuflady biurka. Oscar obserwował mnie z aprobatą.

- Domyślam się - powiedziałem, zwracając się do Marii - że śledztwo niechybnie by upadło, zanimby się zaczęło, gdybym wiedział o Oscarze? Wczoraj omal go nie okaleczyłem.

Maria ze sieknięciem opadł na fotel.

- Jakoś nie mogę przypomnieć sobie wypadku - zaczął - żeby Iwan był z czegokolwiek zadowolony. A konspiracja to podstawa naszej pracy... weźcie sobie krzesła i siadajcie... pan, Oscarze, nie miał prawa dać się okaleczyć, a pan, Iwanie, nie miał prawa pozwolić się aresztować. I tak należy patrzeć na tę sprawę... a co pan tutaj ma? - spytał, zdejmując ciemne okulary nad slegami. - Zajął się pan radiotechniką? Chwali się, chwali...

Zrozumiałem, że oni nic nie wiedzą. Oscar już kartkował swój notes, gdzie wszystko miał zaszyfrowane osobistym kodem, i najwidoczniej szykował się do przemowy, a Maria sunął mięsistym nosem nad slegami, trzymając okulary w uniesionej ręce. W tym widowisku było coś symbolicznego.

- A więc, agent Żylin w wolnym czasie zajmuje się radiotechniką - oznajmił Maria, zakładając okulary i rozpierając się w moim fotelu. - Ma teraz dużo wolnego czasu, przeszedł na czterogodzinny dzień pracy... A jak tam kwestia sensu życia, agencie Żylin? Zdaje się, że go pan znalazł? Mam nadzieję, że nie trzeba będzie wywozić pana siłą, jak agenta Rimeiera?

- Nie trzeba będzie - odparłem. - Nie zdążyłem się wciągnąć. Rimeier wam coś opowiadał?

- Ależ co pan! - wykrzyknął Maria z ogromnym sarkazmem. - Po co? Kazano mu wysledzić narkotyk, wysledził go, użył i teraz najwidoczniej uważa, że spełnił swój obowiązek. Sam został narkomanem, rozumie pan?! - wykrzyknął Maria. - Milczy! Napchał się tym zieleń po uszy i rozmowa z nim nie ma sensu! Bredzi, że pana zabił, i przez cały czas prosi o radio... - Maria zająknął się i zerknął na radiotechnikę. - Dziwne - rzekł i spojrzął na mnie. - Zresztą lubię porządek. Oscar przybył tu pierwszy i ma pewne przemyślenia. Zarówno co do operacji, jak i tego specyfiku. Zaczniemy od niego.

Zerknąłem na Oscara.

- Co do jakiej operacji?

- Zdobycie centrum - wyjaśnił Oscar. - Jeszcze nie trafił pan na centrum?

Zaczyna się polowanie, pomyślałem.

- Nie trafiłem na centrum. Ale...

- Po kolei, po kolei - rzekł surowo Maria i postukał dłonią po biurku. - Niech pan zaczyna, Oscarze, a pan, Iwanie, niech słucha uważnie i przygotowuje swoje przemyślenia, jeśli jeszcze jest pan do nich zdolny...

Oscar zaczął mówić. Był dobrym pracownikiem. Działał szybko, energicznie i skutecznie. Co prawda Rimeier owinął go sobie wokół palca tak samo jak mnie, niemniej Oscarowi udało się zrobić bardzo dużo. Zrozumiał, że miejscowy specyfik nazywają slegiem. Bardzo szybko pojął związek pomiędzy slegiem i devonem. Zrozumiał, że ani rybacy, ani persze, ani smutasy nie są z nim w żaden sposób powiązani. Doskonale zrozumiał, że w tym mieście nie można zachować żadnej tajemnicy. Udało mu się niemalże zdobyć zaufanie inteli i twardo stwierdził, że w mieście istnieją tylko dwie naprawdę tajne organizacje: mecenasi i intele. A ponieważ mecenasi byli wykluczeni, pozostawali intele.

- Co nie kłóciło się z twierdzeniem - mówił Oscar - że jedyni ludzie w mieście zdolni do prowadzenia naukowych czy quasi-naukowych badań i posiadający dostęp do laboratoriów to studenci i wykładowcy uniwersytetu. Tutejsze fabryki również posiadają laboratoria, jest ich cztery i obszukałem je wszystkie. Te laboratoria są wąsko wyspecjalizowane i zawałone bieżącą pracą. Ponieważ fabryki pracują przez całą dobę, nie było żadnych podstaw do założenia, że ich laboratoria mogą stać się ośrodkami produkcji slegu. A dwa z laboratoriów uniwersytetu są wyraźnie otoczone atmosferą tajemnicy. Nie udało mi się dowiedzieć, co się tam dzieje, ale wziąłem pod obserwację trzech studentów, którzy powinni to wiedzieć na pewno.

Słuchałem bardzo uważnie, zdumiewając się, jak dużo zdążył tu zrobić, i już wiedziałem, na czym polegał jego zasadniczy błąd. Zrozumiałem, że poszedł fałszywym

tropem, i dojrzywało we mnie wrażenie jeszcze większej pomyłki, zasadniczej pomyłki, pomyłki w początkowym schemacie Rady.

- I doszedłem do wniosku - mówił Oscar - że istnieje tu półgangsterska organizacja wertykalnego typu, z wyraźnym podziałem funkcji konkretnych grup. Grupa produkcyjna zajmuje się produkcją i udoskonalaniem slegu. Muszę wam powiedzieć, że sleg, czymkolwiek jest, jest udoskonalany; dowiedziałem się, że początkowo nie używano devonu. Dalej grupa handlowa zajmuje się rozprowadzaniem slegu, a grupa bojowa terroryzuje ludność i ucina pojawiające się rozmowy o slegu. Zastraszenie obywateli...

Wtedy wszystko zrozumiałem.

- Chwileczkę - przerwałem mu. - Oscarze, gwarantuje pan, że w mieście są tylko dwie tajne organizacje?

- Tak - odparł Oscar. - Tylko mecenasi i intele.

- Niech pan kontynuuje, Oscarze - powiedział niezadowolony Maria. - Iwanie, proszę, żeby pan nie przerywał.

- Przepraszam.

Oscar mówił dalej, ale już go nie słuchałem. W moim mózgu nastąpił wybuch. Tradycyjny, pierwotny schemat wszystkich naszych przedsięwzięć z aksjomatem o istnieniu rozgałęzionej organizacji rozleciał się w pył. Zdziwiłem się, jak mogłem wcześniej nie zauważyć całej tej głupiej komplikacji. Nie było tajnych warsztatów ochraniających przez ponurych osobników z kastetami, nie było ostrożnych, pozbawionych zasad ludzi interesu, nie było komiwojażerów z podwójnymi kołnierzykami wypchanymi kontrabandą, na próżno Oscar kreślił ten śliczny schemat z kółek i kwadracików, połączonych płataniną linii, z napisami "centrum", "sztab" i licznymi znakami zapytania. Nie było czego niszczyć i burzyć, nie było kogo brać i wysyłać na Ziemię Baffina. Był współczesny przemysł sprzętów gospodarstwa domowego, sklepy państwowe, gdzie slegi sprzedawano po pięćdziesiąt centów, było - na początku - dwóch pomysłowych ludzi skręcających się z nudów i łaknących nowych doznań, i był kraj średniej wielkości, gdzie dostatek był kiedyś celem i nigdy nie stał się środkiem. Okazało się, że to w zupełności wystarczy.

Ktoś przez pomyłkę włożył do radia sleg zamiast heterodyny i położył się w wannie z gorącą wodą, żeby posłuchać dobrej muzyki albo najświeższych wiadomości. I zaczęło się. Rozeszły się słuchy, do zsyków posypały się resztki fonorów, potem do kogoś dotarło, że slegi można uzyskać nie tylko z fonorów, ale kupować w sklepach, ktoś domyślił się, żeby użyć soli aromatycznych, ktoś puścił w obieg devon i ludzie zaczęli umierać w wannach z wyczerpania nerwowego. Wydział statystyczny Rady Bezpieczeństwa podał do Prezydium

ściśle tajny raport i od razu okazało się, że wszystkie przypadki śmiertelne dotyczą turystów, którzy odwiedzili ten kraj, i że w tym kraju podobnych przypadków śmiertelnych jest więcej niż w dowolnym innym miejscu planety. I jak się to często dzieje, na sprawdzonych faktach zbudowano fałszywą teorię i nas, zakonspirowanych, jednego po drugim wysłano tutaj, byśmy odkryli tajną szajkę handlarzy nowym, nieznanym narkotykiem. Przybyliśmy tu, robiliśmy głupstwa i jak to zwykle bywa, żadna praca nie poszła na marne i jeśli szukać winnego, to winni są wszyscy, od mera począwszy, na Rimeierze skończywszy, a skoro wszyscy, to znaczy, że nikt i teraz trzeba...

- Iwanie - powiedział z rozdrażnieniem Maria. - Zasnął pan?

Obaj patrzyli na mnie. Oscar podawał mi notes ze schematem. Wziąłem go i rzucałem na stół.

- Posłuchajcie - powiedziałem. - Oscar oczywiście odwalił kawał dobrej roboty, ale znowu daliśmy się wywieść w pole... Oscarze, tak dużo pan zobaczył, a jednak nic pan nie zrozumiał. Jeśli w tym kraju są ludzie nienawidzący slegu, to właśnie intele. Intele nie są gangsterami, to zdeterminowani patrioci. Mają jeden cel - rozruszać to bagno. Dowolnymi środkami. Dać temu miastu jakikolwiek cel, zmusić, żeby ludzie oderwali się od koryta... Oni się poświęcają, rozumiecie? Oni biorą ogień na siebie, próbują wywołać w mieście choćby jedno wspólne wszystkim uczucie, choćby tylko nienawiść... Naprawdę nie słyszał pan o gazie łzawiącym i strzelaniu do dreszczek?... W laboratoriach nie produkują slegu, robią tam bomby, przygotowują gaz łzawiący... i generalnie łamią prawo o technice wojskowej. Oni szykują pucz na dwudziestego ósmego, a sleg... proszę!

Podaliśmy każdemu z nich po jednym slegu i wyłożyłem wszystko, co na ten temat myślę.

Początkowo słuchali mnie z niedowierzaniem. Potem zaczęli wpatrywać się w slegi i nie spuszczały z nich wzroku, dopóki nie skończyłem, a gdy skończyłem, dość długo milczeli. Maria trzymała swój sleg jak szczypawkę. Na jego twarzy malowało się niezadowolenie.

- Próżniowy tubusoid... - mruknął Oscar. - Hmm... rzeczywiście... i radia... coś w tym jest...

Maria wsunął sleg do kieszeni na piersi i zdecydowanie oznajmił:

- Nic w tym nie ma. To znaczy, oczywiście, jestem z pana, Iwanie, zadowolony, najwyraźniej znalazł pan to, o co nam chodzi... Szkoda. Pan powinien pracować nie w Radzie, lecz w Komisji Problemów Światowych. Oni tam uwielbiają filozofować, ale do dziś dnia niczego pożytecznego nie zrobili. A pan pracuje u nas dziesięć lat i nie uświadomił pan sobie prostej prawdy - jeśli jest przestępstwo, to znaczy, że jest przestępca...

- To fałsz - powiedziałem.

- To prawda! - wykrzyknął Maria. - Niech pan nie próbuje ze mną dyskutować! Te pańskie wieczne dyskusje!... Proszę milczeć, Oscarze, teraz ja mówię. I ja pana pytam, Iwanie: jaki jest pożytek z pańskiej wersji? Co pan proponuje? Tylko konkrety, bardzo proszę. Konkrety!

- Konkrety... - powtórzyłem.

No tak, moja wersja im nie pasowała. Pewnie nawet nie uważali jej za wersję. Dla nich to tylko filozofia. To byli ludzie, że tak powiem, zdecydowanego działania, giganci natychmiastowych, twardych środków. Oni rozcinali węzły gordyjskie i zrywali miecze Damoklesa. Podejmowali decyzje szybko, a podjąwszy je, nie zostawiali sobie miejsca na wątpliwości. Inaczej nie umieli. To był ich punkt widzenia... i tylko ja myślałem, że ich czas minął... Cierpliwości, pomyślałem. Potrzeba mi bardzo dużo cierpliwości. Zrozumiałem nagle, że logika życia znowu odrywa mnie od moich najlepszych towarzyszy i że teraz będzie mi bardzo źle, ponieważ na rozstrzygnięcie tego sporu trzeba będzie czekać długo...

Patrzyli na mnie.

- Konkrety... - powtórzyłem. - Konkretnie proponuję stuletni plan rekonstrukcji i rozwoju światopoglądu mieszkańców tego kraju.

Oscar się skrzywił, a Maria gorzko powiedział:

- Cha, cha. Mówię poważnie.

- Ja też. Tu są potrzebni nie śledczy ani grupy operacyjne z automatami...

- Potrzeba jest decyzja! Nie dyskusje, lecz decyzja!

- Właśnie proponuję decyzję.

Maria spurpurowiał.

- Trzeba ratować ludzi - oznajmił. - Dusze będziemy ratować potem, jak uratujemy ludzi... Niech mnie pan nie drażni, Iwanie!

- Podczas pańskiej rekonstrukcji światopoglądu - wtrącił Oscar - ludzie będą umierać albo stawać się idiotami.

Nie chciałem się spierać, ale mimo wszystko powiedziałem:

- Dopóki nie zostanie zrekonstruowany światopogląd, ludzie będą umierać i stawać się idiotami, i żadne grupy operacyjne tu nie pomogą. Przypomnijcie sobie Rimeiera.

- Rimeier zapomniał o swoim obowiązku! - wykrzyknął ze wściekłością Maria.

- Otóż to!

Maria zamknął usta, zdarł okulary i przez jakiś czas przewracał oczami. Bez wątpienia ten żelazny człowiek wpędzał swoją wściekłość do pęcherza żółciowego. Minutę później był absolutnie spokojny i uśmiechał się pojednawczo.

- Tak - powiedział. - Chyba będę zmuszony stwierdzić, że wywiad jako instytucja społeczna przeżył degradację. Widocznie ostatnich prawdziwych wywiadowców wybiliśmy w czasie puczów. "Nóż" Danziger, "Bambus" Savada, "Lalka" Grover, "Koziołek" Boas... Owszem, pozwalali się sprzedawać i kupować, nie mieli ojczyzny, byli łajdakami i lumpami, ale pracowali! "Syriusz" Haram... Pracował dla czterech wywiadów, to dopiero było bydłę. Zafajdany łajdak. Ale jeśli on przekazywał informacje, to były to rzetelne informacje, jasne, dokładne i aktualne. Pamiętam, gdy kazałem go powiesić, nie czułem najmniejszego żalu, ale gdy patrzę na swoich dzisiejszych pracowników, rozumiem, jaka to była strata... No dobrze, nie wytrzymał człowiek i został narkomanem, w końcu "Bambus" Savada też został narkomanem... Ale po co pisać fałszywe raporty? Nie pisz wcale, zwolnij się, przeprós... Przyjeżdżam do tego miasta głęboko przekonany, że znam je doskonale, ponieważ od dziesięciu lat siedzi tu doświadczony, sprawdzony rezydent. I nagle dowiaduję się, że nie wiem absolutnie nic. Każdy miejscowy chłopiec wie, kim są rybacy. A ja nie wiem! Ja wiem tylko, że organizacja KWS zajmująca się mniej więcej tym samym, czym zajmują się tutejsi rybacy, została rozgromiona i zabroniona trzy lata temu. Wiem to z doniesień mojego rezydenta. A od miejscowej policji uzyskuję informacje, że towarzystwo DOC powstało dwa lata temu, a tego w raportach mojego rezydenta bynajmniej nie było! To elementarny przykład, w końcu co mnie rybacy obchodzą, ale to staje się stylem pracy! Raporty się spóźniają, raporty kłamią, dezinformują... agenci zmyślają! Jeden na własną rękę zwalnia się z Rady i nie uważa za konieczne poinformować o tym swojego przełożonego! Widzicie, znudziło mu się, chciał powiedzieć, ale jakoś ciągle nie mógł znaleźć czasu... Drugi, zamiast walczyć z narkotykami, sam staje się narkomanem... a trzeci filozofuje!

Pokiwał głową.

- Niech mnie pan właściwie zrozumie, Iwanie - ciągnął - nie mam nic przeciwko filozofowaniu. Ale filozofia to jedno, a nasza praca to zupełnie co innego. Niech pan sam powie: jeśli nie ma tajnego centrum, jeśli chodzi o spontaniczną inicjatywę własną, to skąd to ukrywanie się? Ta konspiracja? Dlaczego sleg otoczony jest taką tajemnicą? Zakładam, że Rimeier milczy, bo dręczą go wyrzuty sumienia w ogóle, a w szczególności z pańskiego powodu, Iwanie. Ale inni? Przecież sleg nie jest zabroniony przez prawo, o slegu wiedzą wszyscy i wszyscy się kryją. Oscar nie filozofuje, on sądzi, że obywateli po prostu się zastrasza. To rozumiem. A co pan sądzi, Iwanie?

- W pańskiej kieszeni jest sleg - powiedziałem. - Niech pan idzie do łazienki. Devon leży na półeczce, jedną tabletkę do ust, cztery do wody. Wódka jest w szafce. Poczekamy tu na pana. A potem wszystko nam pan opowie. Głośno - swoim pracownikom i podwładnym - o swoich wrażeniach i przeżyciach. A my, a raczej Oscar, posłucha. Ja wyjdę.

Maria założył okulary i wpatrzył się we mnie.

- Sądzi pan, że nie opowiem? Sądzi pan, że ja też wzgardzę swoim obowiązkiem służbowym?

- To, czego się pan dowie, nie będzie miało nic wspólnego z obowiązkiem służbowym. Możliwe, że obowiązek naruszy pan później. Tak jak Rimeier. To sleg, panowie. To maszynka, która budzi wyobraźnię i kieruje ją w dowolnie wybranym kierunku, a w szczególności tam, gdzie wy sami nieświadomie - powtarzam, nieświadomie - chcielibyście ją skierować. Im jest pan dalszy zwierzęciu, tym sleg jest mniej szkodliwy, ale im bliższy, tym bardziej zechce pan zachować konspirację. Same zwierzęta wolą milczeć. Robią, co chcą, i naciskają na dźwignię.

- Na jaką dźwignię?

Opowiedziałem im o szczurach.

- A pan próbował? - zapytał Maria.

- Tak.

- I co?

- Jak pan widzi, milczę.

Przez jakiś czas Maria tylko sapał.

- No cóż, nie jestem bliższy zwierzęciu niż pan... - powiedział wreszcie. - Jak to włożyć?

Załadowałem radio i podałem mu. Oscar obserwował nas z zainteresowaniem.

- Z Bogiem - rzekł Maria. - Gdzie tu jest łazienka? Od razu umyję się po podróży.

Zamknął się w łazience. Było słyhać, jak po kolei upuszcza różne rzeczy.

- Dziwna sprawa - rzekł Oscar.

- To w ogóle nie jest sprawa - zaprotestowałem. - To kawałek historii, Oscarze, a pan chce to upchnąć do teczki z tasiemkami. Tak się nie da, to nie gangsterzy. Jasne jak słońce, jak mawiał Jurkowski.

- Kto?

- Jurkowski Władimir Siergiejewicz. Był taki słynny planetolog, pracowałem z nim.

- Na placu przed Olimpikiem stoi pomnik jakiegoś Jurkowskiego.

- Tego samego.

- Naprawdę? - zdziwił się Oscar. - A zresztą całkiem możliwe. Ale pomnik postawili mu nie za to, że był słynnym planetologiem. Po prostu on jako pierwszy w historii rozbił bank w elektronicznej ruletce. Taki wyczyn należało upamiętnić.

- Spodziewałem się czegoś w tym rodzaju - wymamrotałem. Czułem zmęczenie.

W łazience zaszumił prysznic i nagle Maria wrzasnął strasznym głosem. Najpierw pomyślałem, że puścił lodowatą wodę zamiast ciepłej, ale on wrzeszczał bez przerwy, a potem zaczął potwornie kląć. Ja i Oscar popatrzyliśmy na siebie. Oscar był w sumie spokojny, pewnie myślał, że tak przejawia się działanie slegu, i na jego twarzy pojawiło się współczucie. Wściekle załomotała zasuwka, drzwi do łazienki otworzyły się z hukiem i w sypialni zaczęły mokre pięty. Nagi Maria wpadł do gabinetu.

- Coś pan, głupi?! - wrzasnął na mnie. - Co to za kretyńskie dowcipy?

Zamarłem. Maria wyglądał jak upiorna zebra. Jego tłuste ciało pokrywały jadowicie zielone pasy. Krzyczał i tupał, i leciały z niego szmaragdowe krople. Gdy już ochłonęliśmy i obejrzeliliśmy miejsce zajścia, okazało się, że prysznic zatkał jest gąbką nasączoną zielonym tuszem. Przypomniałem sobie kartkę od Lena i zrozumiałem, że to Wuzi. Incydent się efektownie rozwijał. Maria uważał, że to drwiny i chamskie naruszenie subordynacji. Oscar rżał. Ja tarłem Marię szczotką i tłumaczyłem się. Potem Maria oświadczył, że teraz już nikomu nie wierzy i wypróbuje sleg w domu. Ubrał się i zaczął omawiać z Oscarem plan blokady miasta.

A ja myłem wannę i myślałem, że moja praca w Radzie Bezpieczeństwa dobiega końca, że będzie mi źle i że już jest mi źle, i nie wiem, od czego powinienem zacząć, i że chcę włączyć się do omówienia planów blokady, i chcę nie dlatego, że uważam blokadę za konieczną, ale dlatego, że to jest proste, znacznie prostsze, niż zwrócić ludziom dusze zeżarte przez rzeczy i nauczyć każdego myśleć o światowych problemach jak o własnych. "...Odizolować to bagno od świata, odizolować stanowczo - oto cała nasza filozofia..." - głosił Maria. To odnosiło się do mnie. A może nie tylko do mnie. Przecież Maria to mądry facet. Na pewno rozumie, że izolacja to zawsze obrona, a tu trzeba atakować. Ale atakować umiał tylko grupami operacyjnymi i pewnie ciężko było mu się do tego przyznać.

Ratować. Znowu ratować. I do kiedy trzeba was będzie ratować? Czy kiedykolwiek nauczycie się ratować sami? Dlaczego wiecznie słuchacie popów, faszyzujących demagogów, idiotów Opirów? Dlaczego nie chcecie popracować mózgiem? Dlaczego tak bardzo nie chcecie myśleć? Dlaczego nie chcecie zrozumieć, że świat jest wielki, skomplikowany i pasjonujący? Dlaczego wszystko jest dla was nudne i proste? Czym różni się wasz mózg od mózgu Rabelais'go, Swifta, Lenina, Einsteina i Strogowa? Kiedyś mnie to zmęczy. Kiedyś

nie starczy mi więcej sił ani przekonania. Przecież jestem taki sam jak wy! Tylko ja chcę pomagać wam, a wy nie chcecie pomóc mnie...

Na górze krzyczała Wuzi, cienko i żałośnie zapłakał Len. W gabinecie mówił teraz Oscar. A ja pomyślałem nagle, że teraz stąd nie wyjadę. Jestem tu tylko trzy dni, nie wiem, od czego trzeba zacząć i co powinienem robić, ale nie wyjadę stąd, dopóki pozwoli mi prawo o emigracji.

A gdy przestanie mi pozwalać, złamię je.